

SIECI

**KOŁODZIEJSKI
O WIELKIEJ
OPERACJI
SZCZEPień**

**PROF. LEGUTKO
O POLSKIEJ AMBICJI,
KTÓRA WKURZA UNIĘ EUROPEJSKĄ**

**ROKITA
O BRYTYJSKIM ZWYCIĘSTWIE
NAD BRUKSEŁĄ**



**GÓRNY O SZOPCE
W WATYKANIE:
CO TO BYŁO?**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 1 (423) 2021
4-10 stycznia 2021

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)



KOLEJNE SZOKUJĄCE PROWOKACJE W MEDIACH

NIEMCY BEZCZELNIE PRZEKRACZAJĄ GRANICE

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



JEDNA SUBSKRYPCJA - TRZY TYTUŁY



SIECI + **wSIECI HISTORII** + **wPolityce.pl**

• WYGODNIE • W DNIU WYDANIA

- tygodnik Sieci i magazyn wSieci Historii w wersji cyfrowej (pdf)
- archiwum obu tytułów od 2017 r.
- dostęp do strefy Premium portalu wPolityce.pl

1 miesiąc
TYLKO **9⁹⁹** zł

ZAMÓW JUŻ DZIŚ: www.SiecPrzyjaciol.pl



Ważny test

Czy polski wymiar sprawiedliwości poradzi sobie z gwałceniem uczuć religijnych? Aktów znieważania katolików przybywa, podobnie jak fizycznych ataków na katolickie świątynie. Sprawa jest o tyle niepokojąca, że do zamachu na sacrum posuwają się nawet parlamentarzyści. I właśnie dlatego sprawa Joanny Scheuring-Wielgus jest tak ważna.

Przypomnę: 25 października 2020 r. posłanka Scheuring-Wielgus wraz z mężem zakłóciła mszę świętą. Oboje stanęli przed ołtarzem z transparentami pochwalającymi aborcję. Po dwóch miesiącach prokurator generalny skierował do marszałek Sejmu wniosek o uchylenie immunitetu posłance Lewicy. Śledczy chcą postawić jej zarzuty „złośliwego przeszkadzania publicznemu wykonywaniu aktu religijnego oraz obrażania uczuć religijnych”. I choć wydawać by się mogło, że sprawa jest na właściwej drodze, trudno uwierzyć, że zakończy się sprawiedliwie. Obawę tę wyraziła prof. Krystyna Pawłowicz. „Spokojnie, żaden sąd jej krzywdy nie zrobi... Będzie jakaś »pomrocność jasna« lub coś o wolności głoszenia uprawnionych przekonań. Jeszcze sąd doda od siebie, że Kościół zasłużył. A i kosztami obciąży skarżącego się na J.W.” – napisała na Twitterze sędzia Trybunału Konstytucyjnego.

Od tego, jak potoczy się ta sprawa, zależy bardzo wiele. Sprawiedliwość albo usankcjonowana zgoda na bezprawie.

Marzena Nykiel

Dał Polsce ambicję i moc

Jakaż jest siła w tej postaci, w jej dorobku, że nawet dziesięć lat po śmierci władze stolicy uciekają się do oszukańczych sztuczek, byle tylko nie nazwać ulicy jego imieniem? I to pomimo publicznej obietnicy złożonej w czasie kampanii wyborczej przez Rafała Trzaskowskiego. Jakby uznał, że lepiej narazić się na zarzut wiarołomstwa, niż złożyć taki hołd. Dlaczego?

Odpowiedź tylko częściowo tkwi w przeszłości. Bo prezydentura śp. Lecha Kaczyńskiego, której 15-lecie inauguracji właśnie minęło, i myśl polityczna tego męża stanu odciskają ogromne piętno na naszej współczesności. To dzięki niemu (oraz oczywiście Jarosławowi Kaczyńskiemu) „sprawiedliwość, solidarność, uczciwość” – trzy słowa, które wybił w przemówieniu inauguracyjnym – są sztandarem ideowym obozu politycznego rządzącego Polską od 2015 r. To dzięki niemu „cynizm i draństwo”, przed którymi przestrzegał, nie zwyciężają w naszej ojczyźnie. Gdziekolwiek spojrzymy – od polityki regionalnej, przez sprawy bezpieczeństwa energetycznego i militarnego, po programy społeczne – dostrzeżemy, iż to właśnie jego program jest realizowany.

Potwornie był za życia atakowany. Dziś lepiej widzimy dlaczego. To dzięki niemu Polska nabrała ambicji i mocy. Ale to wszystko tworzy też zobowiązanie, by o nim, jego dorobku i ofierze pamiętać.

Michał Karnowski




34

**Permanentny
przewrót**
Stanisław Janecki


49

**Nawalny uderza
w Putina
w Dzień Czekisty**
Marek Budzisz


58

**Białe postrach
czerwonoarmistów**
Wojciech Lada

NA POCZĄTEK

- 6** **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8** **KONCERT (ICH) ŻYCZEŃ**
Krzysztof Feusette
- 9** **POZWÓLCIE ZASZCZEPIĆ SIĘ
MAMOM WCZEŚNIAKÓW!**
Dorota Łosiewicz
- 10** **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12** **CHYBA SZUKAJĄ HAKÓW?**
Jan Pietrzak
- 12** **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13** **NEUROZA WYKLUCZENIA**
Bronisław Wildstein
- 14** **WALIZKA MAESTRA
PATRICKA FOURNILLIERA**
Michał Korsun
- 16** **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17** **EUROPA WARTOŚCI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

TEMAT TYGODNIA

- 20** **ICH WALKA**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 24** **BIEDNI NIEMCY, TACY UTRUDZENI**
Maciej Pawlicki

KRAJ

- 27** **WIELKIE SZCZEPIENIE**
Konrad Kołodziejski
- 30** **Z RYSZARDEM LEGUTKĄ**
rozmawia Michał Karnowski
- 34** **PERMANENTNY PRZEWROT**
Stanisław Janecki
- 37** **Z ANDRZEJEM PRZYŁĘBSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski
- 40** **NIEBEZPIECZNE REFERENDUM**
Goran Andrijanić
- 42** **WESPRZYJ BUDOWĘ POMNIKA
ŻOŁNIERZY NIEZŁOMNYCH**
Jaromir Kwiatkowski

OPINIE

- 45** **BOGU JUŻ DZIĘKUJEMY**
Aleksander Nalaskowski

ŚWIAT

- 49** **NAWALNY UDERZA W PUTINA
W DZIEŃ CZEKISTY**
Marek Budzisz

- 52** **BREXITOWE WIGILIJNE CUDA**
Jan Rokita

- 56** **INSTALACJA CZASU ZARAŻY**
Grzegorz Górny

HISTORIA

- 58** **BIAŁE POSTRACH
CZERWONOARMISTÓW**
Wojciech Lada

SIECI KULTURY

- 61** **KRÓTKIE SPIĘCIE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 63** **Z GRAŻYNĄ KASPRZYCKĄ-ROSIKOŃ
I JANUSZEM ROSIKONIEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 66** **UŚMIECHNIĘTA ROZPACZ**
Robert Tekieli
- 67** **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 68** **POLECA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

- 71** **BIZNES CHCE SIĘ SZCZEPIĆ**
Jadwiga Marcińska
- 72** **ILE MOŻE WIELKI**
Piotr Filipczyk

KUCHNIA

- 74** **PRZEDWOJENNA WARSZAWA
NA TALERZU**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 75** **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszczyk

NA KONIEC

- 76** **NOWOROCZNY FELIETON?**
Wojciech Reszczyński
- 77** **POD OKIEM STEFANA**
Wiktor Świetlik
- 77** **Z ŻYCIA KOŚCIOŁA**
Agnieszka Ponikiewska
- 78** **20/21**
Aleksander Nalaskowski
- 79** **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz
- 80** **BAZA LUDZI ZASZCZEPIONYCH**
Ryszard Makowski
- 81** **O ŚPIEWIE ANIOŁÓW...**
Leszek Długosz
- 82** **LITERACKIE ODSŁANIANIE ŚWIATA**
Andrzej Zybortowicz



Tarcza Finansowa PFR 2.0

**35 mld zł dla firm poszkodowanych
podczas drugiej fali COVID-19**

Z programu
Tarcza Finansowa PFR 1.0
dla mikro, małych i średnich firm
ze wsparcia skorzystało ponad

347 tys. przedsiębiorstw

z całej Polski,
zatrudniających ponad

3,2 mln pracowników.

Otrzymały one wsparcie
w postaci subwencji finansowych
na łączną kwotę:

60,5 mld zł.

Teraz, w obliczu 2 fali pandemii rząd
premiera Mateusza Morawieckiego
i Polski Fundusz Rozwoju przygotowały
Tarczę Finansową 2.0.

To nowy program wsparcia finansowego
w postaci subwencji umarzalnych nawet
do 100 proc. dla firm z prawie 40 branż,
które musiały ograniczyć lub zawiesić
działalność w związku z COVID-19.
Wartość pomocy dla mikro, małych
i średnich przedsiębiorstw to ok.
10 miliardów zł, a dla dużych firm
ok. 25 mld zł.



Tarcza Finansowa PFR 2.0

Sygnalista nadaje

🔊 Ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce złożyła rezygnację. Jak wyjaśniła, wynika to z zasad obowiązujących dyplomatów nominowanych politycznie przez prezydentów, którzy odchodzą. **Georgette Mosbacher** podkreśliła jednak: „Chciałabym być i będę jednak nadal zaangażowana w regionie, nie opuszczam więc Polski na dobre”. Zabrzmiało dość groźnie.

🔊 Tegoroczny Turniej Czterech Skoczników rozpoczął się skandalem: próbą wykluczenia Polaków pod pretekstem pozytywnego wyniku testu u jednego z zawodników. Rzecz o tyle skandaliczna, że gdy w połowie grudnia pozytywny wynik miał niemiecki zawodnik, wykluczono jedynie jego, a nie cały zespół. Ale w sumie także rzecz cenna, bo „Wyborcza” znów rozbawiła Polaków, stwierdzając: „To nie Niemcy nas wykluczyli. To wirus”. To silniejsze od nich. To jest jak instyngt.

🔊 Szybko się okazało, że to nie wirus, ale Niemcy, ponieważ w wyniku presji – także ze strony rządu – decyzję cofnięto. Wcześniej ze sprawy zdążył zapisać także Roman Giertych: „Nie dość męczeństwa dzieci głogowskich, bezeceństw Krzyżackich (pomińmy na chwilę, że to zakon był), okrucieństw pruskich, Hakaty, Hitlera i innych? Czyż musieli dorzucać do tego bezmiaru krzywd jeszcze wykluczenie naszego Murańki z zespołem?”. Cóż, mało to śmieszne. Ofiarom Hitlera i także Hakaty nie było wesoło. Polak powinien o tym pamiętać.

🔊 Odezwał się także Leszek Moczulski. Twórca Konfederacji Polski Niepodległej ma taką oto diagnozę sytu-

acji politycznej: „Ludzie PiS to z reguły nieudacznicy. Kiedy byli w opozycji, to się tak nie rzucało w oczy, ale jak ktoś o słabszym umyśle bierze się do rządzenia państwem, to efekty są widoczne. Reszta członków PiS to ci, którzy poszli tam po pieniądze”. Sądząc po losie KPN, zbyt wielu udaczników tam nie było.

🔊 Moczulski w rozmowie z „Wyborczą” przypominał, że Adam Michnik nazwał go w dawnych czasach antysemitą. Dziś jednak panowie są w bardzo dobrych relacjach: „Adama wtedy nie znałem, chociaż w latach 60. podczas jakiejś dyskusji historycznej podszedł do mnie chłopak, nie wiedziałem, jak się nazywa, prosił o jakieś wyjaśnienia. Rozmawialiśmy długo, bo chłopak był inteligentny, łapał rozmaite rzeczy. Potem się spotkaliśmy w więzieniu, a dzisiaj się przyjaźnimy”. Tyle zostało z KPN. Porzuceni sztandar podnieśli inni.

🔊 Ruszyły szczepienia. Gdy pewien internauta stwierdził, że chętnie zobaczyłby „wspólne szczepienie Donalda Tuska z Jarosławem Kaczyńskim”, ten pierwszy odpowiedział: „Dla dobra sprawy gotów byłbym osobiście ukłuć Pana Prezesa”. Wypowiedź wyjątkowo żenująca, ale także cenna. Były premier naprawdę stał się internetowym trollem. Może zawsze był?

🔊 Wcześniej Tusk złożył świąteczne życzenia: „Szybkiego szczepienia wszystkim! I niech ta szczepionka uodporni nas nie tylko na koronawirusa, ale inne choroby 2020 roku: kłamstwo, złość i pogardę. Rodzinnych (+5 gości) Świąt!”. O tak! Miejmy nadzieję, że w Brukseli szybko zaszczepią wszystkich notabli.

🔊
Wice-
przewodnicząca
Komisji

Europejskiej
Věra Jourová

zapowiada, że już
wkrótce „zajmie się
Polską i Węgrami”.

„Nie chcę tracić czasu”

– powiedziała, grożąc
Polsce m.in. w sprawie
Izby Dyscyplinarnej Sądu
Najwyższego. Zapewniła

także: „To nie ma nic
wspólnego z ideologią. Ani
z tym, czy jest się w polityce
na lewo czy na prawo”. Zgoda.

To wszystko zależy od tego, czy się
stawiasz, czy grzecznie słuchasz –
tak jak pani Jourová – poleceń.

Fakt, że szczepionki kupiliśmy za pośrednictwem Unii, wprowadził opozycję w ekstazę: „Czy ktoś wytłumaczył premierowi, że szczepionki zostały kupione i dostarczone do Polski dzięki temu, że jesteśmy członkiem UE? Tak, tej Unii, którego obóz polityczny od 5 lat osłabia od wewnątrz, podważa sens jej istnienia i wartości, na których została zbudowana”. Dobrze. Oni naprawdę sądzą, że bez Unii świat by stanął w miejscu. Może powiedzą to Brytyjczykom, którzy szczepienia rozpoczęli już parę tygodni temu?

Jerzy Owsiak skorzystał z pandemicznej okazji, by szczytną Kościół: „Byłem przekonany, że w czasie pandemii Kościół udzieli niesamowitego wsparcia duchowego. Że wezwie wiernych do chrześcijańskiej posługi na rzecz potrzebujących, na rzecz ludzi, którzy żyją przecież obok nas. Nie słyszałem ani jednego takiego apelu. Zamiast tego Kościół mówił o wojnie ideologicznej”. Jak ktoś nie chce, to nie usłyszy. Jak ktoś chce, to zawsze kopnie.

Owsiak ocenił także – w skali od 1 do 10 – działania polskich polityków nakierowane na walkę z pandemią koronawirusa: „Dałbym im tylko jeden punkt, i to tylko za to, że w ogóle istnieją. Bo jakbym dał im zero, to wtedy w ogóle wypadliby z obiegu. I ten jeden punkt dotyczy całego okresu pandemii, aż do dziś. Mówię o rządzących, o opozycji, o wszystkich, którzy reprezentują nas, z różnym światopoglądem, różnymi opcjami politycznymi”. Tyle zostało z „propaństwowości” z czasów Komorowskiego: dość tandetny populizm.

Z kolei Janina Ochojska błysnęła taką oto refleksją: „Dostarczenie szczepionek do Polski powinno być nadzorowane przez niezależne media („Gazeta Wyborcza”, TVN24) oraz niezależną instytucję. Rządowi, premierowi Morawieckiemu oraz Michałowi Dworczykowi nie wierzę ani trochę. Nie chcę dostać rosyjskiej szczepionki kupionej od handlarza bronią”. Tak to się kończy, gdy ktoś ogląda wyłącznie „niezależne” media: w końcu pojawiają się omamy.

Jacek Żakowski: „Zapaść cywilizacyjna i izolacja międzynarodowa spowodowane bezradnością władzy wobec epidemii są dziś największym zagrożeniem dla suwerenności i przyszłości Polski. Nie Timmermans. Nie Niemcy. Nie protesty kobiet i przedsiębiorców. Nie sędziowie związani podobno z opozycją. I nie kilkaset przypadków aborcji w ciągu roku, których zakazu chce prezes”. Nie, największym zagrożeniem dla niepodległości Polski są ci Polacy, którzy nie chcą niepodległej Polski. A jest ich naprawdę wielu.



Fundacja Otwarty Dialog – ta od pana Kramka i pani Kozłowskiej – rusza z akcją „Lista hańby PiS” i apeluje: „Prosimy o wsparcie finansowe! Udostępniajcie zbiórkę razem z tagiem #ListyHańby. Stwórzmy rejestr funkcjonariuszy publicznych odpowiedzialnych za łamanie prawa w państwie PiS. Wkrótce odpowiedzą za swoje czyny!”. No patrz pan, jacy zawzięci. Nie mogą naprawiać swojego Kazachstanu albo Rosji? Muszą jątrzyć w Polsce?

Kozłowska i Kramek tak oto rozwijają swoją myśl: „Eskaluje policyjna przemoc wobec uczestników pokojowych protestów. Dlatego musimy wziąć sprawę w swoje ręce. (...) Uważamy, że powinniśmy publicznie publikować ich wizerunki, krytykować i ośmieszać, skazując na społeczne potępienie i ostracyzm”. Po pierwsze, to nielegalne działania. Po drugie, jak tacy odważni, to niech jadą na Białoruś. Bo tak to tylko nędzny pastisz.

Ekspert Fundacji Batorego ubolewają nad stanem samorządowych budżetów: „Obecny kryzys finansów sprawia, że polskie samorządy znalazły się w najtrudniejszej sytuacji od czasu swojego odrodzenia trzydzieści lat temu. Sympatomy ich coraz trudniejszej sytuacji finansowej mogliśmy obserwować już od pewnego czasu, kiedy to skutki uboczne rządowych programów i polityk fiskalnych zaczęły mocno uderzać w budżety samorządów”. Dziwne. Jeśli samorządy mogą prowadzić własne polityki zagraniczne, to chyba potrafią ogarnąć miejski budżet?

Na koniec dwa cytaty z rozmowy z kard. Gerhardem L. Müllerem, prefektem Kongregacji Nauki Wiary w latach 2012–2017, dla „Naszego Dziennika”. Najpierw o atakach na Polskę: „Berlin nie ma ani moralnego, ani stanowionego prawa do stawiania Polski pod pręgierzem rzekomych deficytów demokracji. To z pruskiego, a następnie »wielkoniemieckiego« Berlina wyszły polskie rozbiory (...), jak również germanizacja na zaanektowanych terenach etnicznie polskiego narodu za Bismarcka itp., co było poważną formą łamania praw człowieka”. Mądry człowiek.

A na koniec ważne wezwanie kardynała: „Nie dajmy się ponownie zniewolić staremu i nowemu komunizmowi lub ogłupić kapitalistycznemu konsumpcjonizmowi, ponieważ to właśnie słowo i mądrość Boga objawiły się w Chrystusie jako światło każdego człowieka”. Pamiętajmy: kolejny rok to kolejne wyzwania, ale i kolejne szanse. Wszystko przed nami.

W imieniu swojej nieskromnej osoby w nowym 2021 roku najserdeczniej życzę niżej wymienionym, by nareszcie spełniły się ich najskrytsze, skrywane w skrytości ducha i nie tylko, marzenia. A zatem:

Panu Tuskowi – by ziścił się w końcu jego najskrytszy sen o zostaniu kancle-rzem Niemiec. W końcu będzie mógł politycznie batożyć kogo tylko zechce. A najbardziej niewdzięczników znad Wisły, którzy niedocenili, iż wnuk żołnierza Wehrmachtu jednak wybrał Polskę. Może jako kolonię, może land, może poletko rozgrywek dla możniejszych, a może tylko wyspę nienormalności, ale jednak. A taki „kanclerz niemiecki” to już nie jest byle owczarek (choć nazwisko to samo) i na-wet dla pisowskiego rządu musi coś znaczyć.

Panu Budce – by udało mu się nareszcie, choćby w gabinecie cieni (bo przecież nie w cieniu gabinetu), stworzyć Europejski Urząd do spraw Kontroli Trybunałów: Konstytucyjnego, Stanu, Sprawiedli-wości i w Hadze. I żeby został Jego Ekscelemcją, u którego stóp pisowskie matki błagać będą o niewyrzucanie ich dzieci ze szkół i przedszkoli. Niech z całego świata zjeżdżają eksperci, ba-dacze i studenci, by podziwiać pracę Najwyższego Komisarza. A najbardziej z Korei Północnej i Iranu.

Panu Grodzkiemu – objęcia ponownie posady trzeciej osoby (to się zmienić nie może), tyle że nie w kraju, a dowolnie wybranym oddziale Poczty Polskiej. Miałby wtedy codzienny kontakt z tym, co kocha najbardziej. Tymi wszystkimi kopertami, przekazami pieniężnymi, opłatami, wypłatami, przesyłkami i awizo, z całym pocztowym światem, który tak mocno zawładnął jego wyobraźnią, że i wtedy, gdy mowa jest o ludzkim życiu, jak i wtedy, gdy o śmierci, wszędzie widzi wyłącznie koperty. Zabój-cze przy 300 zakażeniach dziennie, a przy kilku tysiącach – zupełnie bezpieczne (podobnie jak spacer w tłumie). Na poczcie mógłby też jeszcze piękniej oszlifować orędiową koordynację dłoni (np. przy waleniu pieczętkami).

Panu Wałęsie – by przestał być bankrutem i objął stanowisko przewodniczącego Jednoosobowej Rady Mędrców, stanowiącej swoistą, moralno-intelektualną Wyrocznię, która za odpowiednią opłatą udzielałaby, zdalnie albo niezdarnie, porad, podpowiedzi, wyjaśnień, a nawet pouczeń (płatne gotówką). Jak słuchać kolegów? Jak wygrać w totka bez pomocy młotka? Jak i gdzie zamontować „judasza”? Zresztą pan Wałęsa już zaczął, bo w Wigilię poinformował, ile dokładnie spożył alkoholu (!) w czasie internowania w Arłamowie – blisko 40 lat temu. Wyliczył co do kieliszka, a haczyk prawdopodobnie jest taki, iż reszta trunków została „obalona z gwintu”. Niestety zachowały się relacje innych uczestników owych „wieczorków integracyjnych” w Arłamowie, więc i tę bajkę ciężko będzie sprzedać. A taki TW (Totalna Wyrocznia) nie musiałby wydierać kartek ani szarpać się z szafami żon ludzi honoru.

Koncert (ich) życzeń



KRZYSZTOF FEUSETTE

Panu Trzaskowskiemu – by nareszcie odpoczął. Najpierw mordercza, dwumiesięczna kampania wyborcza, potem niekończące się pasmo problemów z wyciekami do Wisły tego, co wcześniej wyciekało tylko z niektórych artykułów „Wyborczej”. A na koniec – ruch oddolny, do którego nikt nie chce się zapisać, ta Nowa Solidarność, tfu, Wspólna Polska, tfu... Naprawdę trzeba więcej odpoczywać. Jeszcze więcej.

Pani Dulciewicz – by spełnił się jej sen o wpływającej do Gdańska na wycieczkowcu „Scheu-ring-Wielgus” wycieczce niemieckich marynarzy, historyków, intelektualistów albo po prostu – żołnierzy, którzy zaprowadzą w jej mieście prawdziwie europejską demokrację, przywrócą dawną nazwę i klimat, a na samym Westerplatte postawią statuę przyjaźni niemiecko-niemieckiej (NRD-RFN).

Panu Węglarczykowi – życzę pierwszego orderu od któregoś z nieoficjalnych niemieckich stowarzyszeń kombatanckich za artykuł na kierowanym przez niego półniemieckim Onecie – o wigili-jnym dramacie żołnierzy w czasie II wojny światowej, tyle że żołnierzy... Hitlera. Wszystko to w rocznicę rzezi

w Ochotnicy Dolnej, gdzie te same gnidy mordowały polskie matki z malutkimi dziećmi. To się panu, herr Wenglartschig, po prostu należy, jawohl?

Panu Nitrasowi – by udało mu się spełnić marzenie o przemianie polskiego Sejmu w autentyczny arabsko-chiński cyrk. Na kółkach albo bez. Z brokatowymi akrobatkami, krowami na łyżwach, połykaczami ognisk i tańcem na gumie bez zabezpieczenia. Z konfetti i proszkiem do prania w każdej toalecie. Na końcu, wiadomo, wejdzie on. Cały na biało, bo obsypany nie tylko brawami.

Panu Kosiniakowi-Kamyszowi – by chociaż w takim cyrku został tygrysem.

Wreszcie „Wyborczej” – by i jej udało się nareszcie coś stworzyć. Jeśli nie jeszcze głupszego Rodaka Antypolaka (albo, co gorsza, kolejnego Bartoscha Wielinskiego), jeśli nie Leminga Dzbana, ślepo posłusznego jej przekazom, to chociaż jakąś niewielką osadę Czerskie Marzenie. Kolonię na skraju lasu, w której niedojrzali i przygłupi (nawet mimo czytania „GW”!) Rodacy Antypolacy podjęliby próbę wprowadzenia w życie postulatów michnikowego organu. Zwłaszcza tych o wolnej aborcji i wstydzie, jaki nigdy nie powinien ich opuścić w związku ze zbrodniami Niemców, Sowieców czy Żydów, gdyż te prawie nigdy nie miały miejsca, polskie zaś owszem. Ale najważniejsze, by każdy tam mógł sobie wybrać pleć. I orientację. Poranną, południową i północno-zachodnią. Oraz gatunek. Oraz kolor skóry. I by nie mógłby zmienić tylko jednego: miejsca zamieszkania, czyli Polski. Bo przecież gdyby któregoś dnia skończyło się plucie na nią Rodaków Antypolaków z ulicy, to i plucie z zagranicy będzie zmuszone wygasnąć...

Tego z kolei życzę nam wszystkim.

Wiele mam wcześniaków wciąż nie może widywać swoich dzieci. Szczepionka może skrócić ich gehennę. Błagam, by Ministerstwo Zdrowia pozwoliło tym kobietom jak najszybciej przyjąć szczepionkę.

„Dzień dobry, mój syn jest ciągle w szpitalu. Dziecko miało kilka procent szans na przeżycie, lista chorób i powikłań jest gigantyczna i czekają go kolejne operacje. Święta były koszmarem, od dwóch miesięcy widziałam malego w sumie 23 godziny, mój mąż około godziny od chwili urodzenia syna. W święta usłyszałam od położnej, że mam szczęście, że w ogóle mogę oglądać dziecko. Jestem na skraju kolejnego załamania. Moje macierzyństwo to koszmar, który polega na podpisywaniu kolejnych dokumentów medycznych i zawożeniu mleka do lodówki. Błagam o pomoc, bo nie wiem, jak to się skończy. Z tego, co wiem na dziś, syn wyjdzie ze szpitala najwcześniej w lutym. Nie jestem w stanie budować żadnej więzi z dzieckiem, kiedy tylko raz, 6 grudnia, miałam go na 15 minut na rękach i to wszystko. Syn urodził się we wrześniu! To nie jest walka o wizyty, a o przetrwanie moje, męża i dziecka, jako rodziny. Rokowania są skrajnie złe po wylewach 4 stopnia, dalej jest aktywne wodogłowie, mózg jest uszkodzony na tyle, że syn będzie najprawdopodobniej miał cztero-kończynowe porażenie mózgowie i będzie skazany na moją całodobową opiekę. Więcej nie jestem w stanie już na siebie przyjąć, szczególnie jeśli dodatkowo na oddziale słucham kaśliwych uwag” – taki esemes od kobiety, której synek urodził się w Krakowie, właśnie trafił do mnie.

Rozmawiałam także z panią Anią, która miesiąc temu urodziła w 27. tygodniu ciąży w Zabrzu córeczkę Zuzię. – Zaraz po urodzeniu dowiedziałam się, że nie ma odwiedzin. Raz w tygodniu wożę do szpitala mokre chusteczki i pieluchy, i tyle. Informację dostaję wyłącznie przez telefon. Dwa razy dostaliśmy zgodę na zrobienie zdjęcia i to wszystko. Pracownicy szpitala zdjęć nie chcą wysyłać – opowiadała pani Ania. – Gdyby szczepionka umożliwiła mi kontakt z dzieckiem, to natychmiast bym się zaszczepiła, choć wobec samej szczepionki jestem dość sceptyczna.

Pozwólcie zaszczepić się mamom wcześniaków!

Mój syn jest ciągle w szpitalu. Od dwóch miesięcy widziałam malego w sumie 23 godziny, mój mąż około godziny od chwili urodzenia syna

Rady Rodziny oraz Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej.

O ile po nagłośnieniu tamtych wydarzeń sytuacja w Łodzi się poprawiła, co zapowiedziało Centrum Zdrowia Matki Polki, o tyle w innych częściach Polski dramat trwa w najgorsze. Dowodzą tego historie mam z Zabrza i Krakowa.

Fundacja Rodzić po Ludzku alarmuje zaś w sprawie sytuacji z Puław. Sytuacja na porodówce jest tam tak dramatyczna, że poinformowano Ministerstwo Zdrowia oraz Rzecznika Praw Pacjenta. „Ministerstwo podjęło interwencję w sprawie szpitala, gdzie dokonywane są cięcia cesarskie mimo braku wskazań medycznych, dzieci izolowane są od matek, brak jest kontaktu »skóra do skóry«, brak jest możliwości karmienia dzieci mlekiem matki oraz dzieci przetrzymywane są w szpitalu wbrew woli i decyzji matek. Teraz sprawą zajmie się Starostwo Powiatowe w Puławach, które przeprowadzi kontrolę w tym szpitalu m.in. pod kątem zgodności działań podmiotu leczniczego z przepisami prawa” – informuje Fundacja.

Wiem z doświadczenia, jakim cierpieniem jest dla matki niemożność bycia przy chorym dziecku. Wiemy też przecież, że rodzic powinien być traktowany jako członek zespołu leczącego, bo jego rola w procesie zdrowienia jest nieoceniona. Żaden lekarz nie da dziecku tego co matka. Te maleństwa potrzebują czulego dotyku, głosu i miłości. Dlatego proszę wszystkie osoby, które mogą podjąć taką decyzję, by pozwolić zaszczepić się mamom wcześniaków tak szybko, jak to możliwe.

Dorota Łosiewicz



Sądzę, że zawiedliśmy. Wiele osób umarło i to jest „straszne” – powiedział podczas bożonarodzeniowego wystąpienia król Szwecji. Karol XVI Gustaw odnosił się oczywiście do szwedzkiej strategii wobec pandemii koronawirusa.

W Szwecji zaraziło się do tej pory 400 tys. osób, z czego ponad 8 tys. zmarło. Więcej niż 90 proc. ofiar stanowią osoby powyżej 70 lat, z czego połowa to pensjonariusze domów opieki. Wskaźnik zgonów jest kilkukrotnie wyższy niż w pozostałych krajach skandynawskich. Norwegia, Finlandia oraz Dania uznały stan epidemii w sąsiedniej Szwecji za bezpośrednie zagrożenie. Nic więc dziwnego, że premier Szwecji Stefan Löfven zgodził się z oceną króla. „Jeśli tyle osób umiera, to trudno to nazwać inaczej niż porażką”. Według niego eksperci źle ocenili siłę drugiej fali pandemii. Nie chciał się jednak odnieść do słuszności liberalnej strategii obranej przez Sztokholm wobec koronawirusa. Na to będzie, jego zdaniem, czas, gdy pandemia się skończy.

A strategia ta polega na braku obostrzeń, aby ochronić gospodarkę przed zapaścią – restauracje i hotele pozostają otwarte – oraz na poczuciu odpowiedzialności obywateli, że we własnym interesie będą nosić maseczki i zachowywać dystans społeczny, co ostatecznie doprowadzi do wytworzenia odporności stadnej.

Jednak skutkiem jest rosnąca liczba zakażeń. Niektóre lokalne władze zaczęły więc wprowadzać restrykcje, np. w regionie sztokholmskim wiele szkół przeszło na zdalne nauczanie. Mieszkańcy stolicy mają unikać podróży komunikacją publiczną i spotkań w zamkniętych pomieszczeniach. Obowiązuje także zakaz imprez masowych oraz sprzedaży alkoholu po godzinie 22 w barach, restauracjach i dyskotekach. Nie wolno też odwiedzać krewnych przebywających w domach opieki.

Choć jeszcze w listopadzie główny epidemiolog kraju Anders Tegnell przekonywał, że brak obostrzeń jest właściwym działaniem, to szwedzki model walki z pandemią okazał się – zdaniem

Błędna strategia



Szwecja

portalu Euronews – katastrofą. W rozprzestrzenianiu koronawirusa nie pomogło bowiem to, że ponad połowa Szwedów żyje samotnie, a gęstość zaludnienia jest stosunkowo mała w porównaniu z innymi krajami Europy. Szwedom nie udało się także uchronić gospodarki, choć był to jeden z głównych celów „szwedzkiej drogi”. Według „Financial Times” PKB kraju zmalał w drugim kwartale 2020 r. o 8,6 proc. Dla porównania PKB Finlandii skurczył się w tym samym okresie tylko o 3,2 proc., a Danii o 7,4 proc. Szef Riksbanku Stefan Ingves przyznał więc, że szwedzka gospodarka uciepiała o wiele bardziej wskutek pandemii, niż prognozowali eksperci. A premier Löfven znalazł się pod ogromną presją. Według niego kraj musi się zmierzyć z sytuacją, która może się stać „naprawdę dramatyczna”.

Aleksandra Rybińska

Na Węgrzech wielka radość wśród tamtejszej opozycji. Po raz pierwszy od ponad 13 lat w niektórych rankingach popularności Fidesz nie znajduje się na pierwszym miejscu. Co najmniej dwa sondaże pokazały, że partia Viktora Orbána mogłaby przegrać ze swym głównym konkurentem: 46 do 48 proc. lub 47 do 49 proc.

Kim jest ów rywal, który niespodziewanie wyrósł rządzącym? Otóż przed świętami Bożego Narodzenia wszystkie liczące się partie opozycyjne ogłosiły wspólny start w wyborach parlamentarnych w 2022 r. i wystawienie jednego kandydata na premiera. Do sojuszu weszło sześć ugrupowań: dwa postkomunistyczne (Koalicja Demokratyczna i Węgierska Partia Socjalistyczna), dwa zielone (Dialog na rzecz Węgier i Polityka Może Być Inna), liberalne (Ruch

Fidesz kontra reszta świata

Momentum) oraz nacjonalistyczne (Jobbik). Uzgodniły one, że nie stworzą razem jednej partii, lecz wystawią wspólne listy w 106 jednomandatowych okręgach wyborczych. Wśród ich kandydatów nie może być nikogo, kto w jakikolwiek sposób w przeszłości współpracował z Fideszem. Jako prawdopodobnych pretendentów do kierowania rządem wymienia się dwie osoby. To burmistrz Budapesztu Gergely Karácsony i europosłanka Klara Dobrev – żona byłego premiera Ferenc Gyurcsány, odpowiedzialnego za doprowadzenie Węgier do kryzysu

finansowego w 2009 r. To właśnie on jest dziś głównym liderem zjednoczonej opozycji.

Wielu wyborców zaskoczonych jest udziałem Jobbiku w tym aliansie. Jeszcze niedawno nacjonaliści deklarowali, że nie wejdą w żadną koalicję ze „zdrajcami” i „bolszewikami”, postkomuniści i liberalowie zaś zarzekali się, że niemożliwa jest jakakolwiek współpraca z „neonazistami”. Dziś obie strony tłumaczą, że tym, co ich zjednoczyło, jest odpowiedzialność za los kraju.

Arytmetyka polityczna nie jest jednak tak prosta. Porozumienie szefów partii nie oznacza automatycznego przepływu elektoratów. Wyborcy nie muszą słuchać wcale partyjnych liderów. Niemniej jednak, jeśli nowa koalicja dotrwa do roku 2022, Fideszowi wyrośnie groźny rywal.

Grzegorz Górny



USA

Big Tech chce więcej

Prezydentura Donalda Trumpa była wyjątkowo przychylna wielkim korporacjom. Od stycznia 2018 r. stawka podatku korporacyjnego w USA spadła z 35 do 21 proc. Mimo to Big Tech, czyli największe technologiczne koncerny z Doliny Krzemowej, w czasie kampanii wyborczej poparły Joego Bidena.

Przyczyn może być kilka. Po pierwsze, Dolina Krzemowa jest uzależniona od produkcji części w Chinach, a administracja Trumpa zaostrzyła politykę wobec Pekinu. Po drugie, Departament Sprawiedliwości złożył pozew przeciwko firmie Google za nadużywanie pozycji rynkowej, a sam prezydent otwarcie oskarżał Facebooka i Twittera o cenzurę i szerzenie fałszywych informacji. Poza tym decydenci z Doliny Krzemowej nie ukrywali, że liczą na inną politykę migracyjną. Wielkie korporacje chętnie korzystają bowiem z pracy wykwalifikowanych imigrantów.

Joe Biden, który pozytywnie odpowiedział na te postulaty, mógł więc liczyć na ogromne wsparcie w kampanii wyborczej. Apple, Amazon, Microsoft, Google, Tesla, Facebook i Netflix są dziś warte prawie 8 trylionów (sic!) dol. Współzałożyciel Facebooka Dustin Moskovitz, którego majątek osobisty jest wyceniany na ponad 17 mld dol., wpłacił na rzecz sztabu Bidena 25 mln. Twórca LinkedIn Reid Hoffman przekazał Bidenowi 17 mln dol., a na same antytrumpowe memy wydał 4 mln. Tak sute czeki nie trafiłyby do Bidena, gdyby nie Kamala Harris, która jeszcze jako senator z Kalifornii zbudowała bliskie relacje z Doliną Krzemową. Jej kampanie od lat wspierał m.in. Amazon, należący do najbogatszego człowieka na świecie Jeffa Bezosa, posiadającego, uważa, 70 mld dol.

Wygląda jednak na to, że same dobre relacje Bidena i Harris nie są wystarczającym gwarantem dla wielkich korporacji. Reuters podał, że wokół rządowych agencji widać coraz więcej menedżerów związanych od niedawna z Doliną Krzemową. Dotyczy to również Departamentu Sprawiedliwości, który prowadzi sprawę przeciwko Google oraz Federacji Komisji Handlu, badającej, czy Big Tech nie nadużywa władzy. Facebook i Microsoft odmówili komentarza Reutersowi, który wymienia nazwisko byłego dyrektora generalnego Google Erica Schmidta, mającego osobiście lobbować za zatrudnieniem określonych osób w Departamencie Obrony. Google w ostatnich latach mocno wchodzi na rynek zbrojeniowy.

Nawet Antony Blinken, sekretarz stanu w administracji Bidena, ma mieć bliskie związki z Amazonem i Google. Trudno przechodzić obojętnie obok tych informacji w czasie, gdy pandemia koronawirusa niszczy kolejne gałęzie gospodarki. Największymi jej wygranymi są dziś korporacje z Big Tech. Elon Musk i Jeff Bezos w tym roku zarobili ponad 450 mld dol.

Lukasz Adamski

Sojusznicza pomoc

Rosja i Rwanda wysłały swoje oddziały wojskowe do Republiki Środkowoafrykańskiej, aby wesprzeć zagrożony rząd Faustina-Archange Touadéra. Moskwa oficjalnie potwierdziła rozmieszczenie 300 uzbrojonych „instruktorów”, którzy według miejscowych źródeł dysponują również bronią ciężką, a z Rwandy przybyło 900 żołnierzy. Oficjalnie powodem interwencji miała być ochrona wyborów prezydenckich i parlamentarnych, przeprowadzonych 27 grudnia.

Do wyborów nie został dopuszczony były prezydent François Bozizé, obalony w 2013 r. przez rebeliantów z ugrupowania Seleka. Teraz, powróciwszy do ojczyzny, chciał ponownie się ubiegać o urząd, jednak miejscowy Sąd Konstytucyjny nie dopuścił jego kandydatury. Sędziowie powołali się na zniewolzoną ordynację, w której znajduje się klauzula warunkująca bierne prawo wyborcze od zamieszkiwania kandydatów w Republice Środkowoafrykańskiej minimum na rok przed wyborami, co automatycznie eliminowało Bozizé przebywającego wcześniej na emigracji.

Wezwał on w związku z tym zbrojną opozycję do połączenia wysiłków i obalenia rządu. W efekcie powstała Koalicja Patriotów na rzecz Zmian, złożona zarówno z przedstawicieli ugrupowania Seleka, które wcześniej obaliło Bozizé, jak i reprezentującej chrześcijan formacji Antybalaka powołanej właśnie po to, aby po 2013 r. walczyć z muzułmańską Seleką.

Oddziały sił opozycyjnych rozpoczęły koncentryczny marsz na stołeczne Bangi, zajmując m.in. położone 107 km od stolicy miasto Mbaiki. Po tej porażce władze zwróciły się z oficjalną prośbą „do zaprzyjaźnionych krajów” – Rosji i Rwandy – o przesłanie pomocy wojskowej. W zasobnej w surowce Republice Środkowoafrykańskiej co najmniej od początku 2018 r. znajdują się najemnicy z rosyjskiej Grupy Wagnera. O ich obecności zrobiło się głośno po tym, jak w sierpniu 2018 r. zostali zamordowani trzech rosyjscy dziennikarze, którzy pojechali do Republiki Środkowoafrykańskiej kręcić film na temat tutejszych interesów Moskwy.

Obecna akcja Rosji, nazywana przez kremłowskie elity „eksportem bezpieczeństwa”, wskazuje na to, że Moskwa zmierza umacniać swoją obecność w tej części świata.

Marek Budzisz



Fot. Trump57/Shutterstock.com



Republika Środkowoafrykańska

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Chyba szukają haków?

Od początku III RP byłem zwolennikiem lustracji. Poprosiłem też o swoje akta i po kilku latach otrzymałem je w paru transzach. To bardzo ciekawa lektura, moje równoległe życie pisane przez podłych ludzi. Na podstawie donosów, meldunków, raportów wydałem książkę pt. „Jak obalilem komunę”. Tak uważali ubeccy donosiciele, meldując: „Całość programu dyskredytowała, ośmieszała, wyszydzała i poniżała PZPR, ustrój socjalistyczny, władzę, organy ścigania itd.”. Od IPN otrzymałem status pokrzywdzonego. Ponadto zostałem dokładnie zlustrowany w 1995 r. z powodu kandydowania w wyborach prezydenckich.

Występuję publicznie od 1960 r. Moje poglądy znają miliony ludzi. Są raczej stabilne. Choć, przyznaję, nieraz się myliłem w ocenie sytuacji i postaci, czego w burzliwych czasach trudno uniknąć. Jednak lustracja, jakiej dokonano na mnie ostatnio, nie dotyczy twórczości, dotyczy dzieciństwa i młodości. Mają mi za złe, że wojskowa szkoła, w której wylądowałem po wojnie, nosiła imię gen. Świerczewskiego. Oburza ich również



**Jan
Pietrzak**

to, że zaocznie (pracując w fabryce) studiowałem socjologię w Wyższej Szkole Nauk Społecznych, która była związana z PZPR. Słyszę, co obecnie wygadują lewacy profesorowie UW. Oni są dużo bliżej komuchowatego betonu niż tamta uczelnia, którą notabene w 1968 r. rozwiązano za rewizjonizm. Po prostu uczęszczałem do takich szkół, jakie były dla mnie finansowo dostępne.

Dwadzieścia kilka lat mego życia to gruzy i koszary. Niemcy i Sowieci pisali ten życiorys, nie matka z ojcem. Ojciec po kampanii wrześniowej znalazł się w jenieckim obozie, z którego uciekł i z kolegami z wojska brał udział w akcjach dywersyjnych na kolei. W ogóle go nie widywałem. Kiedy Niemcy go zamordowali w 1942 r., po raz pierwszy od 1939 r. spotkałem się z ojcem. Leżał zmasakrowany w trumnie. Miałem pięć lat i nie mogłem patrzeć, chciałem uciec. Ciocia Janka trzymała mnie mocno. „Nie odwracaj się. Musisz zapamiętać na całe życie”. Zapamiętałem, ciociu. Dlatego ciekawi mnie, dlaczego zagraniczni właściciele portali szukają na mnie haków, a pewne instytucje im pomagają? Tak się boją emerytowanego kabareciarza? 

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Lekarzu, zaszczep się sam

Mamy kłopot z zawodami zaufania publicznego. Ci, którzy powinni być opoką III RP, jej fundamentem, zapatrzeni są w siebie, we własne sprawy i sprawki.

Najpierw – już nie mam siły tego powtarzać, ale trzeba, bo to jest wyjątkowe psucie państwa – niegodni wspomnianego na wstępie zaufania okazali się sędziowie, dla których partyjna lojalność okazała się silniejsza od lojalności wobec Polski. Piszę „okazała się silniejsza”, ale nie mam wątpliwości, że wielu sędziów wobec państwa nigdy lojalnych nie było. Żyli w symbiozie z lokalnymi samorządowymi bonzami, którzy hojnie się im odwdzięczali za zamiatanie pod dywan ich korupcyjnych afer.

Pamiętamy wszyscy tę historię (choć ze względu na tragiczne okoliczności śmierci nie przypominamy nazwiska jej bohatera), gdy prezydent dużego miasta tłumaczył się w żenujący i całkiem niewiarygodny sposób z pozyskania swojego majątku, a decyzje sądów w jego sprawie uragały podstawom sprawiedliwości i przyzwoitości, jak i inteligencji przeciętnego Polaka.

Dziś bardziej mnie boli zachowanie przedstawicieli innego zawodu publicznego zaufania. Myślę o lekarzach. Wszyscy zawsze wiedzieli, jak z nimi jest. Pokaż lekarzu, co masz w garażu... W połowie lat 90. koleżanka zaciągnęła mnie na popijawę do znajomego medyka, młodego człowieka, niedługo po studiach,

nie żadnego słynnego profesora. Powiedziała, żeby nie kupować alkoholu, przynieśliśmy tylko popitkę. Gospodarz otworzył szafę, stało w niej kilkadziesiąt, jeśli nie kilkaset, butelek z brandy i koniakiem. „Prezenty” od pacjentów. Niezapomniane wrażenie. „Trzeba było iść na medycynę” – pomyślałem.

Daleki jestem od snucia teorii spiskowych, ale kiedy słyszę, że w dniach, gdy w szpitalach lekarzy jest niewielu, umiera najmniej covidowych pacjentów, to się lekko dziwię. Normalnie w dni powszednie odchodzi z tego świata po kilkaset osób, w weekendy i w święta – zaledwie kilkadziesiąt.

Tym bardziej mnie szokuje, kiedy się dowiaduję, że wielu lekarzy nie chce się szczepić. Jak namówić zwyczajnego Polaka buraka, cebularza z Jarosławia, paprykarza spod Radomia, Grażynę i Janusza z Rzeszowa, jak namówić Julki z Warszawy, Krakowa i Gdańska, skoro sami medycy odmawiają przyjęcia covidowej szczepionki? Trudno sobie wyobrazić zachowanie bardziej szkodliwe, bardziej antypaństwowe. Bardziej obrzydliwe i niewybaczalne. 

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Neuroza wykluczenia



Minęły święta Bożego Narodzenia o wyjątkowo rodzinnym charakterze. Ta tradycja wyrasta z samej ich najgłębszej treści i odsyła do niej. Bóg się wcielił, a więc przyjął na siebie postać człowieka, czyli urodził się w warunkach takich jak inni – chociaż w sposób cudowny – w rodzinie, dzięki której mógł dorosnąć.

Monogamiczna rodzina jest uniwersalną formą ludzkiego istnienia, a chociaż spotykamy i inne jej modele, są one dużo rzadsze i specyficzne dla określonych elitarnych grup społecznych. Dominująca dziś ideologia emancypacji uderza we wszelkie naturalne formy egzystencji człowieka, które go ograniczają. Rzeczywiście, wszystko, co nadaje kształt – ogranicza. Nazwanie dowolnego bytu (poza Bogiem), to wskazanie jego granic, inaczej nie byłibyśmy w stanie wyróżnić go ze strumienia zjawisk, które usiłujemy jakoś uporządkować.

Rodzina krępuje tym bardziej, że definiują ją ustalone raz na zawsze stopnie pokrewieństwa. Możemy metaforycznie nazwać bratem czy siostrą kogoś, kto do naszej rodziny nie należy, ale doskonale zdajemy sobie sprawę z odmienności takiego określenia od stanu faktycznego. Wprawdzie intensywniejsze związki uczuciowe mogą łączyć mnie z ludźmi spoza rodziny, ale nie zmienia to jej szczególnego dla mnie statusu. Gdy relacje rodzinne znaczyły dużo więcej niż dziś, istniały ceremoniały, dzięki którym można było wprowadzić do rodziny kogoś, kto do niej z urodzenia nie należał. Akt taki traktowany był serio, a więc pozycja rodzinna, którą zdobywała adoptowana osoba, oraz wszelkie związane z nią prawa i obowiązki miały być identyczne, jak w wypadku człowieka, który status ten uzyskiwał z urodzenia.

Znaczenie rodziny jest tak wielkie, że nawet przedstawiciele ideologii emancypacji wstrzymują się od bezpośrednich na nią ataków. A przecież w sposób jednoznaczny jej członkowie przeciwstawieni są tym, którzy do niej nie należą. Adopcja to rzecz wyjątkowa i nie można stosować jej w nieskończoność. Wykluczenie jest fundamentem rodziny.

Rzecz w tym, że wszelkie ludzkie instytucje, cała kultura mniej lub bardziej do owej kategorii musi się odwoływać. Definiowanie zaczyna się od abstrahowania, a więc wyłączenia z nieskończonej wielości, w której jesteśmy pogrążeni, określonego fenomenu. Wyłączanie, a więc wykluczenie przekłada się na budowanie ludzkiego porządku.

Walka z nim stała się dziś obsesją, która prowadzi do zakwestionowania tradycyjnej, a więc tej jaką znamy kultury. Wykluczenie wskazuje jej negatywny aspekt. Przypomina, że stanowi ona zbiór, do którego jedni należą, a inni – choćby chcieli – nie. Określają nas tożsamości, w jednych się odnajdujemy, w innych nie. Powtarzanie bez końca o potrzebie „inkluzywności”, czyli otwarcia na innych, którzy przy tym podejściu innymi być przestają, ma charakter zaklęcia i, jak to przy tego typu podejściu, mistyfikuje rzeczywistość. Wyobrażenie, że wystarczy akt woli, aby być, kim się pragnie, prowadzi do absurdów, które stały się przedmiotem wielkiej liczby żartów, niemniej jego ideologiczni zwolennicy próbują zrobić wszystko, aby infekować nim język i myślenie. Najbardziej uderzające jest to w odniesieniu do płci i prowadzi do próby usunięcia ze słownika nazw „kobieta” i „mężczyzna”. Istnieje maleńki odsetek ludzi, których trudno do określonych płci przypisać, ale próba zasadniczej (i przymusowej) rewizji ludzkiej cywilizacji, a więc i życia w imię domniemanego komfortu jakiejś nielicznej grupki odsłania totalitarną mentalność, która wyrasta z ideologicznych utopii.

Jesteśmy istotami społecznymi, stajemy się ludźmi dzięki zbiorowemu dziełu, jakim jest kultura. Występuje ona w partykularnych odmianach. To one tworzą wspólnoty, bez których ludzie nie potrafią egzystować. Są źródłem naszej tożsamości. Jak wszystko w ludzkim świecie prowadzić mogą do ekscesu, którym jest zakwestionowanie uniwersalnej moralności. Tyle że samo jej zachowanie, czyli zakaz krzywdzenia innych, to za mało, aby budować ludzkie przedsięwzięcia. Nie wystarczy do tego także zwykła umowa, którą zawieramy, mając na względzie własny interes i możemy wypowiedzieć, kiedy przestanie być dla nas korzystna. To dopiero więź, która spleta nasze losy i ze zbiorowości tworzy wspólnotę, pozwala nam kreować wspólny, a więc ludzki świat.

Wizja, że wspólnotą taką stanie się cała ludzkość, jest nie-realna. Kosmopolici to etymologicznie obywatele świata, ci jednak, których spotykamy, odrzucają wspólnotę w imię indywidualnego interesu – inna sprawa, czy pojmują go właściwie.

Nie wszyscy jesteśmy tacy sami, ale uznanie tego wcale nie musi czynić nas wrogami. To neurotyczne podejście do odmienności, które cechuje ideologię emancypacji i usiłuje zniwelować wszelkie odmienności, stanowi prawdziwe zagrożenie.



Walizka maestra Patricka Fournilliera

*Dyrektora muzycznego
Teatru Wielkiego Opery Narodowej*

Jako dyrygent współpracujący z teatrami i operami na całym świecie bardzo dużo podróżuję. Tylko w 2019 r. miałem około 70 koncertów. Na mapie moich wyjazdów służbowych znajdują się m.in. San Francisco, Chicago, Waszyngton, Nowy Jork, Tokio, Pekin, Sydney. W Europie często dyrygowałem w wiedeńskim i berlińskim Staatsoper, także w Lipsku, Hamburgu, mediolańskiej La Scali czy helsińskiej Ooppera Baletti. Od 20 września 2020 r. jestem dyrektorem muzycznym Teatru Wielkiego – Opery Narodowej (TWON).



ZŁOTA KARTA

Podejrzewam, że jestem jednym z lepszych klientów Air France. Ta karta daje mi trochę przywilejów – niedopłacanie do przekroczonej wagi bagażu czy miejsce w business class za cenę w economy.

PARASOL

Liczne podróże to różna pogoda, dlatego np. po słonecznej Italii nie zaskoczy mnie deszcz w zamglonym Londynie.



PARTYTURA

„Rigoletto” Verdiego to mój następny projekt w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej. Do obejrzenia już w styczniu. W każdy występ wkładam dużo energii.

Bardzo mi zależy, żeby publiczność z koncertów wynosiła w sercach coś pięknego i unikatowego.

Jest takie powiedzenie: „Można żyć bez muzyki, ale lepiej się żyje z muzyką”, i to motto przyświeca mojej pracy.

BATUTA

Przedłużenie mojej ręki. Batuty mogą być wykonane z drewna, bambusa. Ja preferuję te z włókna szklanego. Dla lepszej ergonomii zakończona elipsoidą wykonaną z korka dociążonego małym kamieniem nacre. Jasny kolor batuty dobrze kontrastuje na tle mojego czarnego fraka, dzięki czemu jest bardziej widoczna dla orkiestry. Używam jej, gdy muzyka jest energiczna i wymaga precyzji. W przypadku łagodnych i relaksujących utworów wystarczą same dłonie.





PIÓRNIK

Trzymam w nim przybory do pisania, którymi nanoszę notatki na nutach.

BATON CZEKOLADOWY

Moja niezbędna porcja energii. Najczęściej spożywam je, popijając kawą podczas przerw w próbach, koncertów czy spektakli. Proszę mi wierzyć, do dyrygowania przez cztery godziny potrzeba dużo energii.



LEKTURA

„Comme un chant d'espérance” (Jak pieśń nadziei) – ostatnia książka francuskiego pisarza, dziennikarza i filozofa Jeana d'Ormessona. Jej ponadczasowa treść stała się bardzo aktualna i można ją odnieść do współczesnych wydarzeń w czasach pandemii. Najogólniej mówiąc, książka jest o nadziei na lepsze jutro.



MASKI

Zdrowie i bezpieczeństwo przede wszystkim. Mimo że w maskach stajemy się anonimowi, po moich można poznać, co jest moją pasją.



ZAPACH

Gdy Azzaro Pour Homme pojawił się 40 lat temu na rynku perfumierskim, z miejsca się w nim zakochałem i od tego czasu używam tylko tej konkretnej wody toaletowej. To bardzo ułatwia moim przyjaciółom kupowanie mi prezentów np. pod choinkę.



Fot. Andrzej Wiktor

IPAD

Trzymam tu wszystkie swoje nuty, których nie byłbym w stanie wozić ze względu na ich ciężar w wersji papierowej. Tablet pozwala mi pracować w dowolnym miejscu. Używam do tego specjalnej aplikacji IMSLP. Oglądam na nim także filmy podczas wielogodzinnych lotów.



SŁUCHAWKI

Bezprzewodowe, czyli bez problematycznych kabli. Do słuchania muzyki i oglądania w spokoju filmów.

PAMIĘĆ USB

Wideospektakl „Tosca” w Helsinkach w 2018 r. Muszę go sobie przypomnieć, bo ponownie będzie grany we wrześniu w stolicy Finlandii.



DZIEWICA MARYJA

Zawsze zabieram z sobą tryptyk z wizerunkiem Dziewicy Maryi. Matka Boska jest mi szczególnie bliska, tak jak pochodząca z Włoch moja mama, która jest Jej

imienniczką. W jednym tryptyku są zatem dwie najważniejsze dla mnie kobiety. Przed koncertami proszę Matkę Boską i Boga o inspirację oraz siłę do wykonania z muzykami najlepszego występu.



ZDJĘCIA RODZINY

Mam trójkę dzieci. Moja starsza córka Clara jest śpiewaczką operową. Imię ma po świetnej pianistce Clarze Schumann, która dokonała publicznie prawykonania wielu kompozycji swojego męża i Johannes Brahmsa. Constance była żoną Mozarta i takie imię nadałem z kolei najmłodszej córce, która jest na ostatnim roku prawa. Mój syn Romain przez jakiś czas był kierowcą Formuły 2, później brał udział w rajdach GT, obecnie jest biznesmenem. Moja żona lubi prywatność, dlatego jej zdjęcia nie mogą pokazać.



Wysłuchał i spisał:
Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Parada (nie)rozgarniętych

W irackiej telewizji Al-Ghadir miała miejsce dosyć ciekawa, aczkolwiek dla Europejczyka zaskakująca rozmowa. W pewnym momencie prezenter Salam Sakr Al-Chaledi stwierdził, że Hitlera i nazizmu nie można winić za ich czyny, ponieważ to Żydzi, syjoniści i masoni stoją za konfliktami na świecie. „Nawet jeśli dwa koguty walczą, bądźcie spokojni, że jest tam Żyd, mason lub syjonista za nimi. Nie żyjemy nienawiści ani niechęci do żadnego narodu. (...) chcę, żeby [religia] syjonistycznego kraju pozostała jedyną religią. [Wierzą, że są] wybranym narodem i że wszystkie inne religie są fałszywe”. Było też o koronawirusie. Prawnik Abu Jakeen Al-Musawi sądzi, że „koronawirus jest jednym z narzędzi masonerii. Teraz mówią o szczepionce i będzie obowiązkowe jej przyjęcie. Tym sposobem ludzie będą kontrolowani przez satelity. (...) Chcą zredukować populację świata i stworzyć jeden, zjednoczony reżim, który będzie rządził i kontrolował świat”. Zaczynam powoli rozumieć, skąd u naszych konfederatów i antyszczepionkowców ciągoty do takich krajów, jak Iran czy Irak.

N a początku 2020 r. polska policja wystąpiła do przestępców z apelem „o zawieszenie działalności gospodarczej na czas pandemii”. Nie wiadomo, ilu dokładnie ze stojących po drugiej stronie prawnej barykady przyłączyło się do apelu (nikt nie przeprowadził sondażowych badań). Znani są tylko ci, którzy w czasie zarazy dalej uprawiali kryminalny proceder i wpadli. Według mnie dwa przypadki z samego tylko Trójmiasta zasługują na zwrócenie uwagi i pochylenie się nad problemem. Przypadek pierwszy: po uruchomieniu cichego alarmu w jednej z gdańskich myjni samochodowych na miejsce udali się policjanci. Tam zastali mężczyzn z zapalonymi czyszczącymi tapicerkę samochodu. Niby nic szczególnego, w końcu myjnia i obsługa przy pracy, gdyby nie nałożone na głowę kominiarki i leżący obok łom. Przypadek drugi obrazuje skutki wciągania nosem amfetaminy. 38-latek został zatrzymany w środku nocy na jednej z ulic Gdańska. Okazało się, że od kilku godzin krąży naćpany po mieście i nie zamierza przestać. Gościowi się bowiem wydawało, że gdzie przejeżdżał swoim samochodem, tam w kilka sekund urastał budynek. Wyciągnął z tego logiczny wniosek, że jest po prostu



największym budowniczym w historii Gdańska i należy mu się jeszcze nagroda. Mimo wszystko przypomnę fragment apelu polskiej policji do świata przestępczego z początków minionego roku. „Docenimy spodziewaną współpracę związaną z powstrzymaniem się od popełniania przestępstw i wykroczeń i już z góry dziękujemy za współpracę oraz zrozumienie. Powiadomimy oddzielnym komunikatem, kiedy będzie można wrócić do codziennej działalności przestępczej”.

R ównie rozgarnięty, co wspomniani wyżej przedstawiciele trójmiejskiego świata przestępczego, okazał się prezydent stolicy Rafał Trzaskowski, który z dumą poinformował o finalizowaniu przez miasto nowej inwestycji. To zakup i montaż aż sześciu fotoradarów na moście Poniatowskiego, na które warszawiacy przeznaczają ponad 1,8 mln zł. Projekt ruszy wiosną 2021 r. A już myślałem, że klimaty z „Misia” Barei minęły bezpowrotnie wraz z transformacją komunizmu na kapitalizm. Jak pokazuje ten przykład, byłem w błędzie.

W końcu po trzech latach procesu został skazany Maciej Maleńczuk. Sąd Rejonowy w Krakowie uznał go winnym naruszenia nietykalności cielesnej działacza Fundacji Pro – Prawo do Życia. Muzyk uderzył w twarz uczestnika manifestacji pro-life. Maciej M. został skazany na grzywnę w wysokości 6 tys. zł, zapłatę zadośćuczynienia w wysokości 1 tys. zł na rzecz pokrzywdzonego oraz został obciążony kosztami procesowymi w kwocie 1848 zł. Pokrzywdzonego reprezentowali prawnicy Instytutu Ordo Iuris. Ta historia zaczęła się 17 grudnia 2016 r. Tego dnia odbywały się manifestacje środowisk pro-life oraz Komitetu Obrony Demokracji. W trakcie wydarzenia Maleńczuk zaatakował jednego z wolontariuszy Fundacji Pro. Piosenkarz wyrwał mężczyźnie transparent, po czym uderzył go w twarz i uciekł z miejsca zdarzenia. Kara nieco niska, ale dobre i to.

Andrzej Rafał Potocki

Europa wartości

Powszechnie znany – i tak chętnie eksponowany zwłaszcza przez środowiska lewicowe i lewackie – okrąg składający się z 12 gwiazd umieszczonych na niebieskim tle, stanowiący oficjalny symbol Unii Europejskiej, to nawiązanie do Apokalipsy św. Jana, gdzie zapisano, że nad głową Maryi ukazał się wieniec z gwiazd dwunastu (por. Ap 12, 1). Autor flagi europejskiej Arsène Heitz otwarcie deklaruje, że czerpał inspirację opisaną symboliką właśnie z Pisma Świętego oraz Cudownego Medalika z objawień św. Katarzyny Labouré. Jednogłośnie zatwierdzenie flagi europejskiej według projektu maryjnego przez Komitet Ministrów Rady Europy odbyło się 8 grudnia 1955 r., w uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP. Pierwszym budynkiem, nad którym umieszczono flagę europejską, była zaś katedra Najświętszej Marii Panny w Strasburgu.

Widoczny na unijnych flagach symbol przypomina o tym, że to chrześcijaństwo pozostaje katalogiem wartości najgłębiej wpisanym w idee, które legły u podstaw procesu integracji europejskiej. Najważniejsi architekci wspólnoty powołanej na Starym Kontynencie słynęli ze swej religijności. Konrad Adenauer, Alcide de Gasperi, Robert Schuman mieli chrześcijański światopogląd i konserwatywne poglądy. Schuman w maju 1950 r. na posiedzeniu francuskiego rządu przedstawił plan utworzenia Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali (deklaracja Schumana), która stała się pierwszym etapem integracji powojennej krajów Europy Zachodniej. „Moja idea nie polega na tym, aby połączyć kraje w celu stworzenia superpaństwa. Nasze kraje europejskie są historyczną rzeczywistością. Z psychologicznego punktu widzenia byłoby to niemożliwe i nierozsądne, aby się ich pozbyć. Ich różnorodność jest dobrą rzeczą i nie ma sensu, aby je usuwać lub dokonywać zrównywania albo unifikacji. Polityka europejska na pewno nie może być w sprzeczności z patriotycznymi ideałami. Powinna ona zachęcać wszystkich do szczególnego i prawdziwego umiłowania swojej ojczyzny, co będzie sprzyjać rozwijaniu miłości, która jako taka ze swojej natury nie będzie działać na niekorzyść innych krajów. Takie podejście prowadzi do osiągnięcia jedności z pełnym zachowaniem różnorodności”. Schuman uważał, że zjednoczenie Starego Kontynentu powinno być czynnikiem rozkwitu, a nie schyłku narodów europejskich. Kościół katolicki powinien zaś stanowić autorytet moralny, który mając uznanie większości obywateli Europy, propagowałby „solidarność wierzących wszystkich krajów”. Według Schumana „wartość Europy to Europa wartości”, a demokracja zawdzięcza swoje przetrwanie chrześcijaństwu. „Demokracja musi być chrześcijańska albo nie będzie jej wcale” – mówił. Za swoją życiową postawę i dokonania społeczne Robert Schuman ma szansę zostać wyniesiony na ołtarze. Jego proces beatyfikacyjny jest na etapie watykańskim.

Zdaniem drugiego z ojców założycieli zjednoczonej Europy, Alcide de Gasperi, integracja europejska powinna



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

nawiązywać do inspirowanego przez chrześcijaństwo ideału jedności. Wyrażał przekonanie, że chrześcijaństwo stanowiło jeden z fundamentalnych czynników, które ukształtowały Europę. Podobnie jak Schuman de Gasperi jest w trakcie procesu beatyfikacyjnego.

Przez dziesięciolecia postępująca integracja państw europejskich odbywała się z powodzeniem dla jej uczestników. Unia, do której zdecydowaliśmy się przystąpić w 2004 r., jawiła się jako jednoznaczna przeciwwaga dla osłabiających nasz potencjał, drenujących nasze państwo i społeczeństwo doświadczeń zza żelaznej kurtyny. W 2001 r. św. Jan Paweł II na audjencji dla przewodniczących parlamentów Unii Europejskiej stwierdził: „Unia Europejska jest nadal twórczym placem budowy, co stanowi najlepszą gwarancję, że będzie z powodzeniem służyła dobru swoich obywateli, których różnorodność kulturową pragnie zachować, bronić zarazem wartości i zasad, do których przywiązani byli jej ojcowie założyciele i które stanowią ich wspólne dziedzictwo”. Oby słowa te pozostały aktualne.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 21 grudnia 2020 r. zmarł w Warszawie

ŚP. WOJCIECH JAN BOROWIK

urodzony 24 czerwca 1956 r. w Warszawie.

W latach 1976-1981 członek warszawskiego KIK, współpracownik KOR, następnie KSS KOR, SKS, ROPCio i KPN.

W okresie PRL działacz NZS i NSZZ „Solidarność”.

Dziennikarz, drukarz, składacz, introligator,

współorganizator druku i kolportażu wydawnictw bezdebitowych.

W latach 1977-1989 współpracownik niezależnej oficyny NOWa oraz czasopism drugiego obiegu: „Zwrot”, „Robotnik”, „Vacat”, „Czas Przyszły”.

W 1980 r. założyciel i wydawca niezależnego wydawnictwa „Odnova”.

13 grudnia 1981 r. internowany w ośrodku odosobnienia na Białolece, zwolniony w lipcu 1982 r. na postawie amnestii.

W latach 1989-90 redaktor naczelny i dziennikarz „Robotnika”.

W 1990 r. współzałożyciel Ruchu Obywatelskiego Akcja Demokratyczna. Od 1991 do 1992 r. wiceprzewodniczący Ruchu Demokratyczno-Społecznego.

W 1992 r. współzałożyciel i do 1997 r. wiceprzewodniczący Unii Pracy.

W latach 1992-1997 poseł na Sejm RP.

Od 2008 r. prezes Stowarzyszenia Wolnego Słowa.

Członek Rady Programowej Polskiego Radia.

Od marca 2018 roku Zastępca Przewodniczącego Rady do Spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej oraz Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych.

Uchonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Wolności i Solidarności oraz innymi odznaczeniami.

Był zawsze oddany Rzeczypospolitej i sprawom drugiego człowieka.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

**RYSUJE
ANDRZEJ
KRAUZE**



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

AUTORIZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOŃSKI, MICHAŁ KARNOŃSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB AUGUSTYN

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,
MARIOLA BARCOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWKOWSKA-SMOLINSKA, JANUSZ ZYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYKTA: ANNA ŁABECKA, ANIA ŁABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOŃSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN
POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA,
WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA,
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI,
WIKTOR ŚWIEŹLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN,
PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOZNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

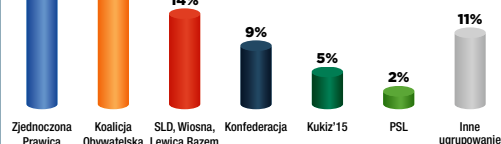


FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, GRZEGORZ GAŁĄŻA/SIPA/STOCK, SHUTTERSTOCK (63)

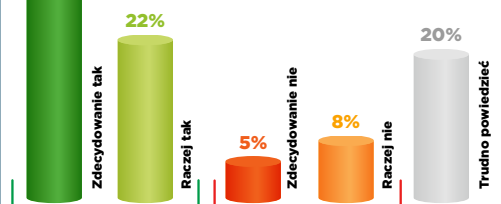


pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

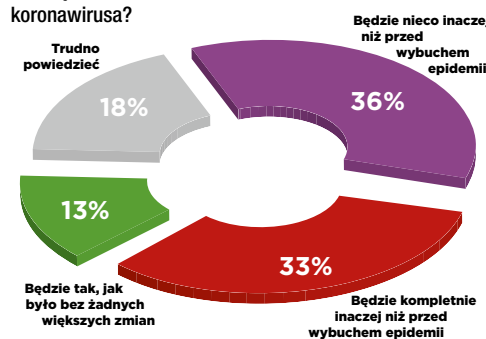
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddalby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



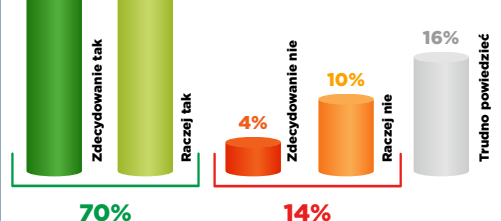
Czy według Pani/Pana Marta Lempart jako liderka protestów związanych z tzw. Strajkiem Kobiet powinna poinformować opinię publiczną, że jest zarażona koronawirusem?



Jaki będzie świat po pokonaniu epidemii koronawirusa?



Czy osobiście wierzy Pani/Pan, że tzw. globalne ocieplenie stanowi poważne zagrożenie dla ludzkości?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1096.
Zakres czasowy badania 18-21 grudnia 2020 r.



**JUSTYNIE I RAFAŁOWI
MATUSIAKOM**

*szczerze wyrazy współczucia i słowa pocieszenia
w trudnych chwilach po stracie*

Ojca i Teścia

Przekazują:

*Rada Nadzorcza,
członkowie zarządu i pracownicy
Krajowej Spółdzielczej Kasy
Oszczędnościowo-Kredytowej*

44/1220/F

Pozostajemy poruszeni nagłą śmiercią naszego Przyjaciela

Ś.P. KSIĘDZA LESZKA SURMY

zmarłego 20.12.2020, w wieku 57 lat,

*wieloletniego pracownika i współpracownika TVP3 Lublin,
dziennikarza, redaktora, reżysera, scenarzysty, komentatora,
twórcy programów telewizyjnych o tematyce religijnej i społecznej,
popularnych cykli, m.in. „Dziedzictwo”, „Przystanek Ziemia”,
„Wojczyźnie Jezusa”,
wielokrotnie nagradzanego za swoją pracę dziennikarską,
pielgrzymą do Ziemi Świętej.*

*Był gorliwym i wrażliwym kapłanem,
miał dar przekładania Słowa Bożego na realia współczesnego życia i człowieka.*

*Towarzyszył nam nie tylko w pracach zawodowych,
ale też w wydarzeniach radosnych i trudnych, osobistych i rodzinnych.
Nigdy nie pozostawał obojętny wobec drugiego.*

*„Przystanek Ziemia” ks. Leszek ma za sobą,
przeżył już prawdziwy adwent w drodze na spotkanie z Chrystusem.
Księżu Leszku, pozostaniesz w naszych sercach, pamięci i modlitwie.*

R.i.P.

Przyjaciele i współpracownicy z TVP3 Lublin

50/1220/F



**JUSTYNIE I RAFAŁOWI
MATUSIAKOM**

*najszczerze wyrazy współczucia
z powodu śmierci*

Taty

składa

*Zarząd i pracownicy
Spółdzielczego Instytutu Naukowego*

51/1220/F



***Pani Justynie Matusiak
wraz z Mężem i całą Rodziną***

*Wyrazy głębokiego współczucia i słowa otuchy
w trudnych chwilach po stracie*

Taty

Przekazują

zarząd i pracownicy

Saltus Ubezpieczenia oraz Asekuracja sp. z o.o.

54/1220/F

onet WIADOMOŚCI

Na froncie, w obozie, pod okupacją... Najsmutniejsze Święta Bożego Narodzenia

19 minut temu

Ten tekst przeczytasz w 10 minut



Żołnierze Wehrmachtu w czasie Wigilii w jednym z bunkrów polowych na froncie wschodnim

Tekst opatrzony zdjęciem żołnierzy Wehrmachtu ukazał się w Onecie dzień przed Wigilią. Tego samego dnia, po fali krytyki, portal postanowił usunąć materiał ze swojej strony

Czy artykuł Onetu o smutnych świątach Bożego Narodzenia żołnierzy Wehrmachtu to tylko wpadka redakcji, czy szerszy medialny plan?

Ich walka

Redaktor naczelny Bartosz Węglarczyk przeproszał, twierdząc, że „tekst »Na froncie, w obozie, pod okupacją... Najsmutniejsze Święta Bożego Narodzenia« nie powinien się być ukazać w Onecie”. Czy uwierzmy w jego refleksję? W poczucie winy? Raczej nie. Nie chodzi przecież o sam tekst (o nim za chwilę), ale o pewną narzuconą przez redakcję grę w upiorne skojarzenia. Bo jak inaczej rozumieć słowa o wojennym smutku i ilustrującą je nostalgiczną fotografią żołnierzy Wehrmachtu przy choince? Czyż to nie jest relatywizowanie okupacyjnych okropności i wymuszanie współczucia dla zbrodniarzy, których „ludzka twarz” ma nas zmiękczyć?



MAREK PYZA **MARCIN WIKŁO**

Nic dziwnego, że opinia publiczna przeżyła szok, gdy zrozumiała, że to zabawa bólem, gra w durnia najtragiczniejszą kartą w polskiej historii. Węglarczyk albo więc nie rozumie, co tak naprawdę wydarzyło się w jego redakcji, albo przeciwnie – rozumie doskonale, ale wciąż testuje, na ile może sobie pozwolić.

SMUTNE ŚWIĘTA

Artykuł na stronach Onetu widniał krótko, zaledwie kilka godzin. Zdecydowana reakcja komentatorów oraz internautów spowodowała, że go zdjęto, a redakcja przeprosiła. Podkreślmy: za tekst. Publikacja wciąż jest aktywna na witrynie

„Ciekawostki historyczne”, skąd zaczerpnięto go do Onetu. Autorzy Łukasz Grześkowiak i Paweł Szymański (wg informacji redakcji to pseudonim) wyrywkowo opisują, jak święta Bożego Narodzenia wyglądały w latach 1939–1944.

Początek wojny to tragedia, ale i nadzieja. We wspomnieniach polskich rodzin czytamy, że „podczas składania życzeń i dzielenia się opłatkiem odczuwalny był wielki optymizm”. Mówiono, że „kolejne Święta będą już w wolnej Polsce”, ale morale obniżały takie przypadki, jak „prałata Czesława Wojtyńskiego, zastępcy biskupa polowego Wojska Polskiego, zamordowanego w dniu wigilijnym w sowieckim więzieniu”.

Boże Narodzenie roku 1940 to przede wszystkim tragiczne wspomnienie z Auschwitz. „Ze wspomnień więźnia Karola Świętorzeckiego wiemy, że Niemcy postawili na placu apelowym choinkę oświetloną elektrycznymi lampkami, a pod drzewkiem ułożyli zwłoki więźniów zmarłych z zimna i wycieńczenia podczas pracy oraz w czasie trwającego apelu”. Dalej czytamy: „Wigilia 1941 roku także nie przyniosła nadziei Polakom w okupowanym kraju i tym zmuszonym do opuszczenia ojczyzny. (...) Złowrogię nazwy »Pawiak« i »Aleja Szucha« były już dobrze znane. Tych, którzy byli w tym czasie uwięzieni w obozie koncentracyjnym Auschwitz, czekała kolejna straszliwa lekcja życia. Aż 300 skrajnie wyczerpanych więźniów z radzieckiego komanda zostało zabitych w drodze z pracy”.

We wspomnieniach święt z roku 1942 znów jest mowa o tragedii więźniów obozów koncentracyjnych, o niezwyklej brutalności oprawców bez względu na wyjątkowość czasu. Ale to też okres okupacji Stalingradu przez wojska niemieckie. I o ich „smutku” rozpisują się autorzy.

„Gromadzili jedzenie i napoje alkoholowe, by Wigilia i Boże Narodzenie różniła się od ponurych dni w ruinach. Pododdział z 297 Dywizji Piechoty zabił konia pociągowego na tyle wcześniej, żeby zrobić z niego »końską kielbasę« na świąteczne podarunki. Wieńce adwentowe splatano z trawy stepowej zamiast z choinkowych gałązek, a bożonarodzeniowe drzewka wycinano z drewna, by choć odrobinę poczuć domową atmosferę”. Rok później, w święta 1944 r. wszyscy już czuli, że koniec wojny jest blisko. Armia Czerwona wypierała Niemców z Budapesztu, a Amerykanie lądowali na Filipinach.

ZA CO PRZEPRASZAĆ?

Jak widać, w jednym tekście poruszono wiele historii wojennych świąt. Autorzy nie piszą tylko o Niemcach, choć ten odosobniony przypadek może zniesmaczać. Jeśli po-

stawimy go wśród innych, jest do przyjęcia. Jednak Onet, przedrukowując artykuł, postanowił całą publikację zilustrować zdjęciem Wehrmachtu. To jest to, co przede wszystkim rzuca się w oczy. W redakcji uznano, że nie ma co wyróżniać cierpiących katusze więźniów Auschwitz, narażających życie duchownych, walczących z wrogiem czerwonoarmistów, bijących się na odległych frontach amerykańskich marynarzy czy brytyjskich lotników. To świąteczny dyskomfort hitlerowców ma zająć uwagę polskiego czytelnika. I za to Węglarczyk powinien przeprosić zdecydowanie bardziej niż za samo ukazanie się tekstu.

Usunięcie publikacji wydawało się oczywistością, stało się to pod naporem powszechnej krytyki. „Ten smutek świąt poza rodziną w pamięci niemieckich rodzin może być oczywiście zasadny. Natomiast niekoniecznie w polskoję-

Onet, przedrukowując artykuł, postanowił całą publikację zilustrować zdjęciem Wehrmachtu. To świąteczny dyskomfort hitlerowców ma zająć uwagę polskiego czytelnika. I za to Węglarczyk powinien przeprosić, zdecydowanie bardziej niż za samo ukazanie się tekstu

zycznej wersji portalu. Redakcja powinna mieć na względzie wrażliwość podstawowego odbiorcy, bo oczywiście w języku polskim to Polacy są tymi odbiorcami” – mówi w wywiadzie dla portalu wPolityce.pl historyk prof. Jan Żaryn.

Tym bardziej dziwią reakcje osób takich jak Waldemar Kuczyński (rocznik 1939), minister przekształceń własnościowych w latach 1990–1991 i jednocześnie bardzo aktywny użytkownik Twittera. „To jest rejterada pod naciskiem pamięci o II WŚ, która po tylu latach przerasta w obsesję wiecznej wrogości do Niemca” – napisał. Zastanawia niezrozumienie, że przecież największa tragedia XX w. to wciąż niezabliźniona rana, która nie doczekała się ani rozliczenia, ani

zadośćuczynienia. Były minister pisze o sobie, że w czasach Hitlera był dzieckiem, a teraz jest „żarliwym wrogiem reżimu” (w domyśle rzekomego reżimu PiS). To przerażające, że bycie antypisowcem skłania do wspierania tak obrzydliwych publikacji. Tylko dlatego, że robi to portal, który obecnej władzy nie sprzyja. Bez refleksji, że to po prostu relatywizacja wojennych zbrodni, niczym w artykułach, które od dawna napotykałyśmy w mediach niemieckich.

Jak bardzo Onet staje się ich kalką? Jak mocno – czy świadomie, nie rozstrzygamy – wpisuje się w politykę historyczną Berlina, która ma na celu, poprzez pomieszenie ról katów i ofiar, rozmycie wyłącznej niemieckiej odpowiedzialności za zbrodnie III Rzeszy?

RECYDYWA

To nie pierwsza publikacja dotycząca II wojny światowej, za którą Onet przeprasza. Na początku sierpnia ub.r. portal zamieścił (podobnie jak Fakt.pl, należący do tego samego

„Tekst »Na froncie, w obozie, pod okupacją... Najsmutniejsze Święta Bożego Narodzenia« nie powinien się być ukazać w Onecie. Przepraszam w imieniu swoim i redakcji Onetu. Spokojnych i zdrowych Świąt Bożego Narodzenia” – oświadczył redaktor naczelny portalu Bartosz Węglarczyk



Fot. Kamili Piklikiewicz / DDTV / East News

koncernu) tekst zatytułowany „Oto najładniejsze dziewczyny Powstania Warszawskiego”, ilustrowany zdjęciem Anny Kanińskiej w stroju kąpielowym. Redakcja po fali krytyki przyznała, że niestosownością było ekspozowanie urody kobiet żołnierzy wobec setek tysięcy poległych w powstaniu warszawiaków.

Bartosz Węglarczyk kajał się wówczas znajomo dziś brzmiącymi słowami: „Ten tekst nie powinien być się znaleźć na łamach Onetu. Z tego powodu materiał został zdjęty”. Najwyraźniej tamto wydarzenie niczego go nie nauczyło.

Podobnie jak inne, z marca 2016 r., jeszcze bardziej skandaliczne. Opublikowano wtedy wywiad z Mirosławą Karetą, autorką książki „Pokochałam wroga”, o romansach polskich

W kontekście niemieckiego mieszania ról sprawców i ofiar, polskiego upominania się o należne zadośćuczynienie, a także pilnowania prawdy historycznej trzeba podkreślić, że źródło kapitału w mediach ma zasadnicze znaczenie

kobiet z najeźdźcami oraz wojennej prostytucji. Rozmowę zatytułowano: „Związki Polek z niemieckimi żołnierzami podczas II wojny światowej. »Dla wielu ludzi to wciąż nie do pomyślenia«” i zilustrowano zdjęciem żołnierzy Wehrmachtu prowadzących kobiety na egzekucję w podwarszawskich Palmirach. W jednej z nich dostrzegł swoją mamę Krystian Brodacki, który w momencie palmirskiego mordu miał dwa lata. Pozwał Onet i po trzech latach proces wygrał. Prawomocny wyrok krakowskiego sądu apelacyjnego zapadł 2 sierpnia 2019 r., gdy

trwała burza o „najładniejsze dziewczyny Powstania Warszawskiego”. Onet musiał zapłacić 100 tys. zł zadośćuczynienia i przez tydzień publikować na stronie głównej przeprosiny dla Brodackiego.

W ich treści czytaliśmy m.in. „Maria Brodacka – wcześniej aresztowana i torturowana przez Gestapo za ukrywanie Kazimierza Kota – Polaka żydowskiego pochodzenia, szefa wydziału bojowego konspiracyjnej organizacji PLAN, do której sama należała i która pomimo tortur nie wydała nikogo”. Przypomnijmy, jej zdjęcie opatrzone następującym komentarzem redakcji: „Romans z niemieckim żołnierzem był surowo zakazany, ale w Polsce żyją dzieci będące owocem takich związków”.

NAZISTOWSKIE KORZENIE

Onet jest tylko jednym z wielu trybów (choć wśród tych najważniejszych) w potężnej maszynie koncernu Ringier Axel Springer Polska. Spółka ma w swoim portfolio kilkanaście tytułów prasowych (m.in. „Newsweek”, „Fakt”, „Forbes”, „Auto Świat”, „Przegląd Sportowy”) i blisko 30 serwisów internetowych (poza Onetem m.in. gratka.pl, jakdobjade.pl, sympatia.pl, plejada.pl, morizon.pl czy vod.pl). Do kogo należy medialne imperium RASP? Warto to wyjaśnić, bo stosowane często określenie „szwajcarsko-niemiecki portal” nie jest do końca precyzyjne.

Właścicielem RASP jest spółka Ringier Axel Springer Media, której prezesem (podobnie jak polskiej odnogi) jest Austriak Mark Dekan. RASP poza Polską jest obecny na Słowacji, Węgrzech, Litwie, Łotwie, w Estonii i Serbii. Udziałowcami (po 50 proc.) tej mającej siedzibę w Zurychu spółki są szwajcarski koncern Ringier AG oraz berliński Axel Springer SE. Najważniejszą postacią w Axlu jest Friede Springer, od dwóch dekad wiceprzewodnicząca rady nadzorczej. To 78-letnia wdowa po założycielu wydawnictwa Axel Springerze. Jego biografia jest z pewnością kłopotliwa dla koncernu nawet po wielu latach. Był on bowiem członkiem podległego NSDAP Narodowosocjalistycznego Korpusu Motorowego. Jego pierwsze małżeństwo zakończyło się po wprowadzeniu przez Hitlera tzw. ustaw norymberskich, zgodnie z którymi Elsa Mayer została zaliczona do pół-Żydówek. W połowie lat 60. XX w. Springer poznał Friede (wtedy noszącą nazwisko Riewerts), którą zatrudnił jako nianię dla swoich dzieci. Z czasem niania stała się kochanką, a ostatecznie – w 1978 r. – piątą żoną medialnego magnata.

Dzisiaj jest jedną z najbogatszych i najbardziej wpływowych Niemek. Przyjaźni się z Angelą Merkel, ma legitymację partyjną CDU, a w 2004 r. brała nawet udział w Zgromadzeniu Federalnym wybierającym prezydenta Niemiec.

W tym kontekście wyjątkowo obłudnie brzmią słowa Marka Dekana, wypowiedziane w czasie konferencji we Wrocławiu w 2016 r., gdy wymądrzał się na temat niedostatku pluralizmu informacji w Europie Środkowo-Wschodniej i tak mówił o swojej konkurencji: „Zbyt często ci nowi gracze powiązani są z partiami politycznymi, ludźmi wykazującymi nieskrywane ambicje polityczne czy oligarchami reprezentującymi określone grupy biznesowe. Pozwólcie, że wyrażę się jasno: jest to nieuczciwa konkurencja”.

Ringier Axel Springer jako spółka brzydząca się oligarchią? To teza groteskowa, a jeszcze bardziej po 2019 r., gdy pakiet udziałów w spółce Axel Springer SE zakupił amerykański fundusz inwestycyjny Kohlberg Kravis & Roberts, który kontrolują pochodzący z żydowskich rodzin jedni z najbogatszych Amerykanów. Choć posiadają oni największy pakiet udziałów w Axel Springer SE, żadna ważna decyzja w spółce nie może być podjęta bez zgody Friede Springer. To ona, wspólnie z KKR, wciąż kontroluje berlińskiego giganta medialnego, o czym spółka wprost pisze w swoim najnowszym rocznym sprawozdaniu.

Wróćmy na nasz polski grunt. Jeszcze bardziej kuriozalne w kontekście powyższych informacji wydają się wynurzenia Bartosza Węglarczyka na Twitterze z 14 grudnia ub.r.: „Przeczytałem felieton pani z tzw. Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Radiu Maryja. Pani cieszy się, że Orlen kupił Polska Press. Pierwszy raz od upadku ZSRR widzę dziennikarzy zachwyconych tym, że będą nimi rządzić politycy”. Albo to ślepotą na jedno oko, albo godną odnotowania lojalność.

W kontekście niemieckiego mieszania ról sprawców i ofiar, polskiego upominania się o należne zadośćuczynienie, a także pilnowania prawdy historycznej trzeba podkreślić, że źródło kapitału w mediach ma zasadnicze znaczenie. Oczywista jest odpowiedź na pytanie, czy prasa w Polsce powinna stać na straży interesu Rzeczypospolitej. Mniej oczywista pozostaje kwestia, czyje interesy wspierają swoimi publikacjami media koncernu RASP. Bo czyich nie wspierają, to widać gołym okiem.

*Z głębokim smutkiem i żalem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci*

TADEUSZA ZWIERZYŃSKIEGO

wiceprezesa PERN S.A.

*doświadczonego menadżera i fachowca,
znającego od podszewki branżę naftową,
a przede wszystkim życzliwego Kolegi,
Współpracownika i Przełożonego.*

*Tadeusz Zwierzyński był związany z PERN S.A.
od wielu lat, odpowiadając za najważniejsze inwestycje,
w tym także strategiczny projekt Megainwestycji.*

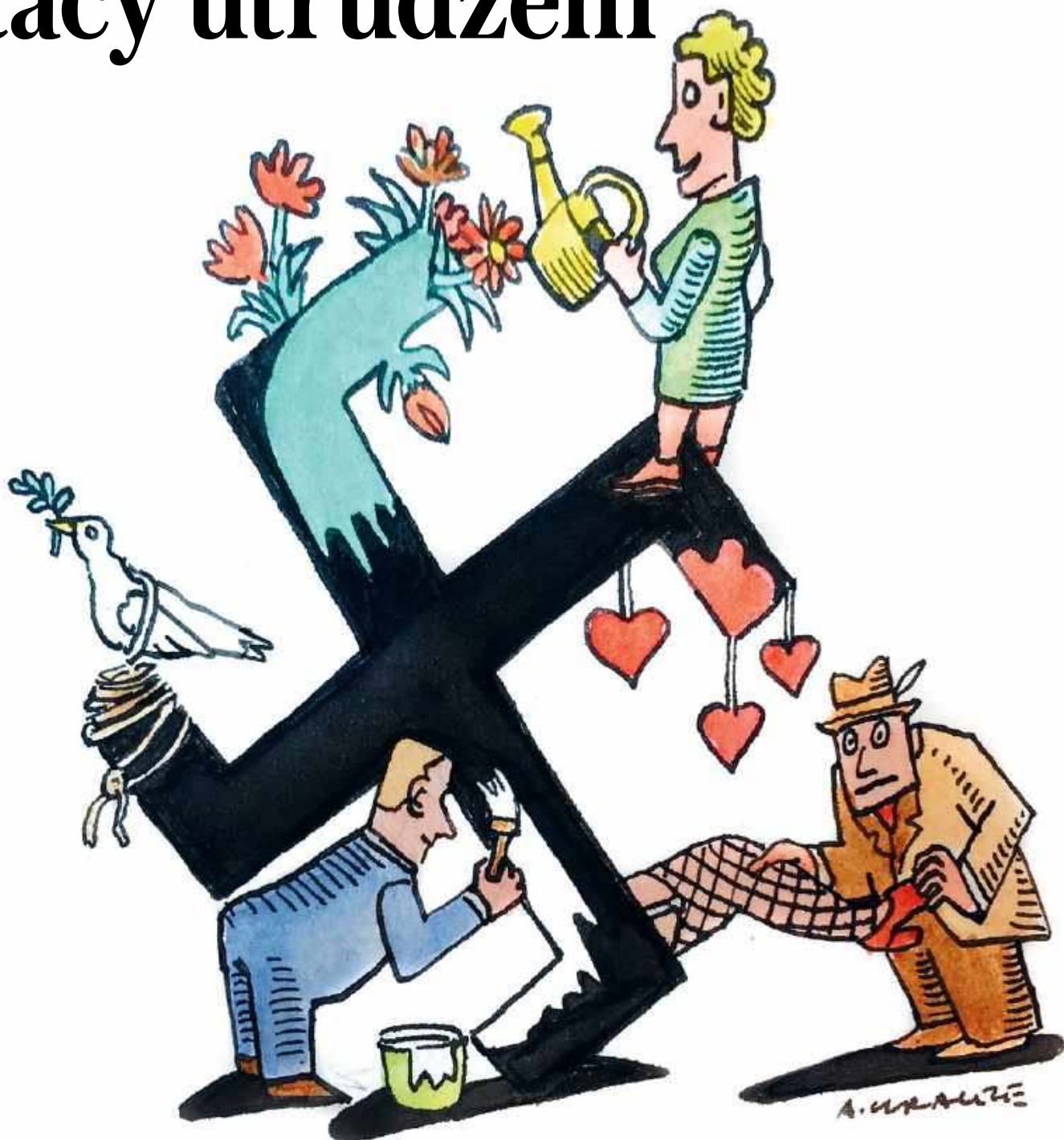
*To niepowetowana strata dla nas wszystkich.
Trudno wyrazić w słowach uczucia, które nam teraz towarzyszą.*

Chcielibyśmy złożyć wyrazy głębokiego żalu i współczucia

Rodzinie i Bliskim Zmarłego.

Rada Nadzorcza, Zarząd i Pracownicy PERN S.A.

Biedni Niemcy, tacy utrudzeni



Wydawany przez firmę z niemieckim kapitałem portal dla Polaków zaprosił, byśmy użalili się nad dolą Wehrmachtu na froncie wschodnim. 23 grudnia Onet zamieścił tekst o „smutnych świętach” niemieckich żołnierzy Hitlera i ich zdjęcia z choinką i wbitym w chleb bagnetem. Nie wiadomo, ilu podludzi smutni Niemcy tym bagnetem zamordowali i czy abażur widocznej w tle lampy jest z ludzkiej skóry

Zresztą wcale nie tacy znowu smutni ci Niemcy ze zdjęcia. Pierwszy z lewej nostalgicznie patrzy gdzieś w dal, pewnie mordował wschodnich podludzi z niejakim zakłopotaniem, może nawet niechętnie. Ale pozostali czterej wyglądają na butnych i bezwzględnych rzeźmieszków, właśnie mają chwilę odpoczynku po ciężkiej pracy, którą wykonali rzetelnie. Gdy tylko odpoczną – z dotychczasową, niemiecką skrupulatnością, ale i widoczną w oczach ochotą wykonają kolejne rozkazy, których straszliwe efekty odczuło, i do dziś odczuwa, kilkadziesiąt milionów Polaków.

Ze jestem złośliwy? Że nie umiem współczuć siłą wcielonym do armii chłopcom, którzy na Wigilię chcieliby wrócić do swoich Fraulein, zjeść świąteczną golonkę i napić się piwa w bierstube? Może trochę jestem, może nie umiem. I w takim kontekście nigdy nie będę umiał, i sądzę, że nikt z nas nie powinien umieć, bo Niemcy nigdy, absolutnie nigdy nie odzyskają moralnego prawa, by proponować Polakom współczucie dla swoich ojców – agresorów, morderców, barbarzyńców i złodziei, którzy odebrali życie, zdrowie, majątki, szczęście i nadzieję milionom naszych ojców i matek. A przez to, w jakiejś mierze, także nam, naszym dzieciom i dzieciom naszych dzieci. Nie proponuję – jak Churchill – by co 50 lat Niemców bez powodu, profilaktycznie bombardować, ale trudno nie rozumieć, co miał na myśli, jaką obawę. Że prędzej czy później niemiecka buta odradza się jak lby hydry lernejskiej i znowu zaczyna być groźna. Dziś – poza kwestiami gospodarczymi i politycznymi – objawia się ona między innymi wielkim kłamstwem, które ma wymazać pamięć o prawdzie II wojny światowej, kto był kim i co robił. Jego elementem mogła być przedświąteczna akcja Onetu.

Po fali obrzydzenia i oburzenia tekst i zdjęcia usunięto, a redaktor naczelny portalu z kapitałem niemieckim polskich czytelników przeprosił. Nie wyjaśnił, jaka była przyczyna ekscesu. Sprawy zatem nie ma? Niefortunna pomyłka? Myślę, że to nie była pomyłka. W tak ważnych i delikatnych sprawach niemiecki portal nie podejmuje decyzji na poziomie początkującego stażysty ani nie zatrudnia kretynów, którzy nie zdają sobie sprawy z wymowy takiego materiału pokazanego Polakom. Sądzę, że była to decyzja



MACIEJ PAWLICKI

w pełni świadoma, rodzaj testu, czy jesteśmy już zbiorowiskiem należycie wytresowanym, posłusznym i zastraszonym, albo apatycznym, skołowanym i obojętnym, więc nie zareagujemy na tak daleko posuniętą bezczelność. Czy też jeszcze nie jesteśmy i jednak zareagujemy.

WALEC JEDZIE

Niemiecka propagandowa machina jedzie jak walec. W precyzyjnie zaplanowanej, rozpisanej na dziesięciolecia i konsekwentnie, z wielkim sukcesem realizowanej operacji w światowej opinii publicznej wyczyszczono już Niemców z winy za II wojnę światową, podmieniając ich na bezpaństwowych nazistów. W oczach znacznej części świata mającego o II wojnie światowej wiedzę ujemną – najpewniej chodzi o antysemitów Polaków. Sama Frau Kanzlerin niedawno była łaskawa podrzucić świeżą – jeszcze niedawno kabaretową, ale zapewne wkrótce obowiązującą – narrację, że naród niemiecki był pierwszą ofiarą nazistów, te nazistowskie potwory zaatakowały najpierw właśnie biednych Niemców.

Słynny serial państwowej telewizji ZDF „Nazi matki, nazi ojcowie” (o przepraszam, tytuł był „Nasze matki, nasi ojcowie”) pokazano w ponad 100 telewizjach świata, niemieccy żołnierze Hitlera są w nim romantycznymi bohaterami, a polscy partyzanci z AK antysemitickimi bandziorami współdziałającymi w Holokauście. Serial nadal jest w intensywniej, międzynarodowej eksploatacji, 75 lat po klęsce Niemiec rządzonych przez demokratycznie wybranego i cieszącego się ogromnym poparciem niemieckiego narodu kanclerza Adolfa Hitlera. Władze dzisiejszych Niemiec rzekomo odcinają się od tamtej „nazistowskiej nocy”. Ale jednocześnie z ich polecenia z całą mocą pracuje państwowa machina propagandowa, by przeszłość zafalszować, także obrażając mordowane przez Niemców polskie ofiary. Jak sowiecka i komunistyczna propaganda w najgorszym okresie, gdy zabijanych Polaków zabijano jeszcze raz – nie pamięcią i kłamstwem.

Producenci serialu ZDF za nic mają wyrok polskiego sądu wydany w procesie wytoczonym z prywatnego powództwa 96-letniego dziś żołnierza Armii Krajowej, kapitana

Zbigniewa Radłowskiego. Nie chcą przeprosić za niemieckie kłamstwa państwowego serialu, nie chcą ich sprostować. Od wyroku się odwołali, powołując na swobodę twórczą, a 8 grudnia 2020 r. na posiedzeniu sądu drugiej instancji zażądali wyłączenia jednego z sędziów, doskonale wiedząc, że opóźni to wydanie wyroku o kolejne miesiące. Innymi słowy – państwowa telewizja dzisiejszych Niemiec nadal stoi na stanowisku, że Armia Krajowa była bandą plugawych morderców, kolaborujących w Holokauście. Kilkanaście dni później niemiecki portal każe się Polakom wzruszać ciężką dolą niemieckich żołnierzy z mozołem cywilizujących dziki Wschód.

Ten przykład doskonale ilustruje, że zakupienie przez Orlen od niemieckiego koncernu kilkudziesięciu polskich gazet jest znakomitym ruchem, który zresztą powinien był nastąpić dawno temu. Oby był to znak, że w kwestii rynku medialnego zaczynamy odzyskiwać asertywność, że rozpoczyna się proces przywracania Polakom informacyjnej niepodległości. Że wkrótce przestaniemy być medialnie skolonizowani. Nie rozwijam wątku intelektualnego i kulturowego poziomu niemieckich mediów dla Polaków, masowe wprowadzenie topornego stylu, prymitywnych gustów i prostackich obyczajów miało i ma destrukcyjny wpływ na poziom całego rynku mediów i niestety w ogóle kulturę Polaków.

NIEMCOM WOLNO WIĘCEJ?

Bardzo długo wmawiano nam, że kapitał nie ma narodowości, a o treści w mediach decydują wyłącznie dziennikarze i redaktorzy. Dowodów na wyznaczanie bardzo konkretnej, politycznej linii programowej przez niemieckich wydawców w mediach dla Polaków mieliśmy aż nadto, a próby ich otwartego opisania skutkują wytaczaniem procesów sądowych. Ale jakoś tak się składa przez trzy minione dekady, że niemiecka prasa i media zawsze, absolutnie zawsze, reprezentują interes Niemiec, także wtedy, a może zwłaszcza wtedy, gdy jest on sprzeczny z interesem Polski. Bardzo często operacja ta przeprowadzana jest nie wprost, ale z odegraniem teatryku rzekomej troski o dobro publiczne.

Pierwszy z brzegu przykład: wynagrodzenia polskich parlamentarzystów. Główne (wszystkie?) media z niemieckim kapitałem wydawane dla Polaków gwałtownie zaangażowały się w kampanię ośmieszania pomysłów, by polscy

posłowie zarabiali nieco więcej. Nie bacząc, że parlamentarzyści niemieccy zarabiają sześć- czy siedmiokrotnie więcej od parlamentarzystów polskich. Zatem ma być tak, że Niemcy wybrani przez swój naród, by stanowić prawo w Niemczech, mają zarabiać sześć razy więcej od Polaków wybranych przez swój naród Polaków, by stanowić prawo w Polsce. Ciekawe dlaczego? Co byłoby, gdyby polskie gazety drukowane dla Niemców gwałtownie zaangażowały się

w kampanię obniżenia wynagrodzeń dla polityków niemieckich?

Podobnie było u progu polskiej niepodległości z kwestią lustracji i dekomunizacji. Niemieckie media dla Polaków zwalczały ją w Polsce z zaciekleścią odwrotnie proporcjonalną do entuzjazmu, z jakim popierały ją w Niemczech, słusznie traktując jako procesy oczywiste i konieczne, by oczyścić życie publiczne i uzdrowić państwo.

Podobnie jest dziś z kwestią mianowania sędziów przez gremia polityczne czy mechanizmem stawiania sędziów przed odpowiedzialnością zawodową. Próba wprowadzania w Polsce rozwiązań istniejących w Niemczech od dekad zwalczana jest przez niemiecką prasę dla Polaków z furją i wściekłością. Wygląda to tak, jakby niemieckie media dla Polaków skrupulatnie dbały, by polskie sądy pozostały poza strukturą demokratycznego państwa, w chorych korporacyj-

nych mechanizmach nieodpowiedzialności i uzależnieniach postkomunistycznych. Myślę, że nie tylko lewackie sympatie niemieckich szefów medialnych koncernów odgrywają tu rolę, lecz przede wszystkim świadomość, że sprawiedliwe sądy i prawdziwa praworządność radykalnie wzmocnią gospodarkę. A polska gospodarka ma przecież pozostać w roli służebnej wobec niemieckiej. Niemieckie media dla Polaków pilnują więc, by zdrowy system sądowniczy polskiej gospodarki się nie wzmocnił. Powszechne w Niemczech, ale i w innych krajach, przyzwyczajenie, że Niemcom wolno więcej, jak rak toczy Europę. I jej zagraża.

Eksces Onetu, wydawanego przez firmę z niemieckim kapitałem, ma mocne podstawy w niemieckich operacjach propagandowych prowadzonych na Polakach. Mocna reakcja dała efekt, ale w szerokiej skali operacja będzie trwać. Jak reagować? Rozpocząć kampanię żądania zwrotu zrabowanych Polakom przez Niemców dóbr kultury. Zwłaszcza z „kolekcji” prywatnych. Obrazy, srebra, porcelana, książki i zegary z polskich domów stoją w salonach dzieci i wnuków pięciu panów ze zdjęcia. Może właśnie tym zajmie się Onet?

Wielkie szczepienie

Żeby powstrzymać pandemię, konieczne jest zaszczepienie minimum 60–70 proc. populacji. Oznacza to, że w samej Polsce powinno się zaszczepić ponad 20 mln ludzi, w całej UE – 300 mln. Biorąc pod uwagę to, że w przypadku większości dostępnych dziś szczepionek konieczne jest podanie dwóch dawek, liczby te należy jeszcze pomnożyć. To pokazuje ogromną skalę rozpoczętej właśnie operacji

Fot. Anna Kaczmarska/Dziennik Polski/Polska Press

W poświęconą niedzielę 27 grudnia rozpoczęło się w Polsce wielkie szczepienie przeciwko COVID-19. Pierwszą zaszczepioną osobą była naczelnia pielęgniarka szpitala MSWiA w Warszawie Alicja Jakubowska. Od tej pory, w ramach tzw. etapu zero, udało się już zaszczepić 10 tys. osób – są to pracownicy służby zdrowia, sanitariusze oraz opiekunowie społeczni. Do końca grudnia otrzymali oni pierwszą dawkę szczepionki genetycznej firmy Pfizer, kolejną dostaną w połowie stycznia.

Akcja ruszyła tego samego dnia w niemal całej Unii Europejskiej, która koordynuje program oraz zakupy i dostawy szczepionek do krajów członkowskich. Chodzi o to, aby w podobnym czasie wyszczepić większą część miesz-



KONRAD KOŁODZIEJSKI

kańców UE, co zapewni przyhamowanie pandemii na całym jej obszarze i pozwoli na całkowicie swobodny przepływ ludzi przez wewnętrzne granice.

TRZY ETAPY PLUS ZERO

W wielu krajach europejskich, podobnie jak w Polsce, szczepienia rozpoczęto od personelu medycznego oraz pracowników opieki społecznej, a więc od tych grup zawodowych, które pełnią kluczową funkcję w walce z pandemią i jednocześnie są najbardziej narażone na zakażenia. Drugą grupą wymagającą pilnych szczepień są osoby starsze i najmniej odporne.

Polski program szczepień zakłada trzy kolejne etapy poprzedzone dodatkowo rozpoczętym właśnie etapem zero, w którym – jak już wspomniałem – szczepieni są pracownicy służby zdrowia i opieki społecznej. Następnie



do szczepień – w ramach etapu pierwszego, który powinien rozpocząć się w styczniu – mają przystąpić pensjonariusze domów opieki oraz osoby powyżej 60. roku życia (licząc w kolejności od najstarszych). Oprócz nich szansę zaszczepienia uzyskają również nauczyciele oraz służby mundurowe (policja, wojsko, Straż Graniczna, Straż Miejska itp.).

W etapie drugim szczepionkę poda się osobom poniżej 60. roku życia cierpiącym na udokumentowane choroby przewlekłe, które mogą zwiększać ryzyko ciężkiego przebiegu choroby koronawirusowej lub wywołanego nią zgonu (chodzi m.in. o cukrzycę, nadciśnienie tętnicze, nowotwory, choroby nerek, przewlekłą obturacyjną chorobę płuc, otyłość, choroby układu odpornościowego, wątroby, serca itd.). Szczepienia obejmą także pracowników usług publicznych i komunalnych, którzy stykają się na co dzień z większą liczbą osób (kierowcy, monterzy, urzędnicy itp.). Wreszcie – na koniec – w etapie trzecim znajdą się wszyscy powyżej 18. roku życia, którzy wyrażą gotowość poddania się szczepieniom.

DLA KAŻDEGO CHĘTNEGO

Opisany kalendarz przewiduje, że w pierwszej kolejności szczepionki zostaną podane najbardziej zagrożonym grupom. Zdaniem doradcy premiera prof. Andrzeja Horbana, wyszczepienie pracowników służby zdrowia, nauczycieli oraz osób najstarszych i najmniej odpornych pozwoli zdjąć większość obecnych restrykcji. Młodszy i zdrowsi będą mogli poczekać, bo prawdopodobieństwo ciężkiego przebiegu choroby jest w ich przypadku niskie. Nieco odmienną opinię ma wirusolog prof. Włodzimierz Gut, który uważa, że dopiero po zaszczepieniu większej części populacji – a więc najwcześniej w czerwcu – będzie można myśleć o rezygnacji z obostrzeń.

Szczepienia są darmowe i dobrowolne. W przypadku niektórych zagrożonych grup zawodowych przewidzianych do szczepień w etapach pierwszym i drugim będą one organizowane za pośrednictwem zakładów pracy. Z kolei osoby zgłaszające się indywidualnie będą musiały się umówić poprzez infolinię lub internet. Możliwe będzie również uzyskanie skierowania podczas wizyty lekar-

skiej. Przy czym, co ważne, do uzyskania skierowania wystarczy podanie danych osobowych, nie będzie wymagane ubezpieczenie zdrowotne. Akcja indywidualnych zapisów ma ruszyć 15 stycznia.

Bezpośrednio przed szczepieniem lekarz przebadają pacjenta i przeprowadzi z nim krótki wywiad, aby wykluczyć ewentualne przeciwwskazania do szczepienia. Taki wywiad będzie musiał być przeprowadzony osobiście, teleporady są wykluczone. Przeciwwskazaniami do szczepień są ciąża, karmienie piersią, występowanie w przeszłości silnej reakcji alergicznej na składniki szczepionki oraz gorączka lub zaostrzenie choroby przewlekłej. W dwóch ostatnich przypadkach podanie szczepionki zostanie przesunięte do czasu poprawy stanu zdrowia. Nie jest natomiast przeciwwskazaniem przebieg choroby koronawirusowej. Z tego powodu chętnym do zaszczepienia nie będzie się przeprowadzać testów na obecność przeciwciał.

PÓŁTORA MILIONA W STYCZNIU

Większość szczepionek wymaga dwóch dawek, druga następuje – w zależności od producenta preparatu – po trzech lub czterech tygodniach od pierwszej. Dopiero po siedmiu dniach od przyjęcia drugiej dawki uzyskuje się odporność.

Taka procedura wymaga bardzo starannej logistyki. Pierwsze dawki szczepionki Pfizer (10 tys. fiolek) z belgijskich zakładów koncernu w Puurs przybyły do Polski 26 grudnia. Umieszczono je w magazynie pod Tomaszowem Mazowieckim, skąd zostały rozwiezione do punktów szczepień. W następnym rzucie dotarła partia 100 tys. fiolek. Z tej liczby zostanie odjętych 10 tys. przeznaczonych na drugą dawkę dla zaszczepionych w grudniu, a reszta zostanie podzielona na dwie partie liczące po 45 tys. fiolek – czyli po dwie kolejne dawki dla następnych grup do zaszczepienia. Od tej pory wszystkie transporty będą od razu dzielone na dwie równe dawki. Do końca stycznia do Polski ma trafić 1,5 mln dawek.

Przed dotarciem do Polski każda seria szczepionki jest – według oficjalnych zapewnień – badana pod kątem jakości i bezpieczeństwa. W przypadku dostarczanej obecnie szczepionki Pfizer konieczne jest zachowanie bardzo ni-

skiej temperatury podczas transportu i przechowywania (-70 stopni Celsjusza). Dopiero przed podaniem – jednak nie wcześniej niż 5 dni naprzód – tę temperaturę można podwyższyć do -20 stopni. Z tego powodu szczepionki muszą być dostarczane do punktów szczepień w całej Polsce bezpośrednio przed użyciem. W przeciwnym razie nie będą się nadawały do użytku (przy czym nie oznacza to, że będą szkodliwe, po prostu spadnie ich skuteczność). Taki problem mieli pierwszego dnia Niemcy. Pojedyncze partie szczepionki dotarły w zbyt rozmrożonych pojemnikach, co zakłóciło start akcji szczepień w Bawarii.

Trzeba jednak wiedzieć, że nie wszystkie preparaty wymagają tak niskich temperatur. Np. szczepionki wektorowe firmy AstraZeneca zachowują swoje właściwości już przy 2-8 stopniach Celsjusza.

CERTYFIKAT SWOBODY

Punkty szczepień mają się znajdować w przychodniach lekarskich i w szpitalach, w tym również rezerwowch (takich jak np. na Stadionie Narodowym w Warszawie). Tam, gdzie pojawi się taka potrzeba, zostaną podstawione mobilne punkty.

Procedura ma być prosta. Po zgłoszeniu się na szczepienie, chętny zostanie zarejestrowany w systemie i będzie czekał, aż nadejdzie jego kolej. O terminie szczepienia zostanie powiadomiony e-mesem. Jeżeli nie należy do grupy zwiększonego ryzyka, zostanie zaszczepiony na końcu, w trzecim etapie, a więc zapewne nie wcześniej niż za kilka miesięcy. Bezpośrednio przed podaniem szczepionki każdy zostanie przebadany przez lekarza. Po zaszczepieniu odczeka jeszcze 15-30 min, aby wykluczyć możliwość reakcji alergicznej, i wróci do domu. Przed drugą dawką otrzyma przypominającego e-mesesa.

Fakt przyjęcia dwóch dawek zostanie odnotowany w specjalnym zaświadczeniu oraz potwierdzony w kodzie QR, który będzie można pobrać na smartfona. Dzięki tym certyfikatом osoba zaszczepiona nie będzie podlegać niektórym restrykcjom. Już dziś wiadomo, że zaszczepieni będą zwolnieni z kwarantanny po powrocie z zagranicy oraz w przypadku

zachorowania kogoś z domowników. Będą mieli ułatwiony dostęp do opieki medycznej oraz zostaną wyłączeni z dopuszczalnych limitów dotyczących spotkań towarzyskich. Szczegółowa lista przywilejów ma zostać podana w rozporządzeniu rządu około 18 stycznia.

Warto dodać, że fakt zaszczepienia może być użyteczny także poza granicami Polski. Przykładowo niektóre linie lotnicze (np. australijskie Qantas) zapowiadają, że będą wpuszczać na pokłady samolotów wyłącznie osoby zaszczepione, a Międzynarodowe Zrzeszenie Przewoźników Powietrznych (IATA) pracuje nad tzw. CommonPass, czyli certyfikatem o zaszczepieniu pobieranym na smartfona. Niewykluczone, że część linii może go uznać za przepustkę do lotu samolotem. Podobne certyfikaty są również możliwe w innych branżach.

GENETYCZNE I WEKTOROWE

Spośród szczepionek zamówionych przez Komisję Europejską Polska zakontraktowała preparaty pięciu firm: szczepionki genetyczne (mRNA) produkowane przez Pfizera, Modernę oraz CureVac, a także wektorowe firm AstraZeneca i Janssen Pharmaceutica. Łącznie ponad 62 mln dawek za sumę 2,4 mld zł. Największe partie, liczące blisko 17 mln dawek, dostarczy Pfizer i Janssen, nieco mniej – bo 16 mln – wyprodukuje dla nas AstraZeneca, a resztę – odpowiednio 6,69 mln oraz 5,69 mln – zostało zakupionych w Modernie i CureVacu.

Do końca grudnia dopuszczono do obrotu preparaty amerykańskich firm Pfizer i Moderna, wszystkie fazy testów klinicznych przeszła już też brytyjsko-szwedzka szczepionka AstraZeneca. Nieco dłużej będzie za to trzeba poczekać na szczepionki niemieckiego laboratorium CureVac oraz belgijskiej firmy Janssen Pharmaceutica należącej do koncernu Johnson & Johnson.

Preparaty Pfizera (opracowane w niemieckim laboratorium BioNTech), podobnie jak Moderny oraz CureVacu należą do szczepionek genetycznych. Wykorzystuje się w nich jeden lub więcej genów wirusa w celu wywołania odpowiedzi układu odpornościowego. Twórcy

szczepionki podkreślają, że cząsteczki RNA nie wnikają do jądra komórkowego, gdzie znajduje się DNA, i nie wpływają na genom osoby zaszczepionej. Niektórzy obrazowo porównują to do zjedzenia kurczaka, które nie powoduje przecież, że zamieniamy się w kury.

Z kolei szczepionki wektorowe (AstraZeneca oraz Janssen) używają do pobudzenia reakcji układu immunologicznego fragmentów innych wirusów. W przypadku szczepionki firmy AstraZeneca współpracującej z uniwersytetem w Oxfordzie są to – przykładowo – fragmenty adenowirusa o kryptonimie ChAdOx1 wywołującego przebiegienie u szympanśów. Nie są one w stanie spowodować choroby u człowieka, lecz służą jako rodzaj nośnika informacji dla organizmu osoby zaszczepionej.

Do uzyskania skierowania na szczepienie wystarczy podanie danych osobowych, nie będzie wymagane ubezpieczenie zdrowotne. Akcja indywidualnych zapisów ma ruszyć 15 stycznia

Szczepionki wektorowe są łatwe w przechowywaniu i stosunkowo tanie (4 dol. za dawkę preparatu firmy AstraZeneca). Dla porównania szczepionka Pfizera wymagająca bardzo niskiej temperatury kosztuje 20 dol. za dawkę, a Moderny aż 33 dol., przy czym – w odróżnieniu od produktu Pfizera – szczepionkę Moderny można przechowywać przez pół roku w temperaturze -20 stopni.

Trzy z wymienionych szczepionek mają potwierdzoną wysoką skuteczność. W przypadku Pfizera i Moderny przekracza ona 90 proc. Jeśli zaś chodzi o preparat firmy AstraZeneca, to – w zależności od wielkości dawki – skuteczność waha się pomiędzy 62 i 90 proc. Dla porównania – większość sezonowych szczepionek przeciwko grypie nie osiąga nawet 50 proc. skuteczności.

Polska nie zdecydowała się natomiast na kupno bardziej „klasycznej” szczepionki testowanej właśnie przez konsorcjum złożone z francuskiego koncernu Sanofi i brytyjskiego GlaxoSmithKline. Testy tej szczepionki, zawierającej oczyszczone, najbardziej immunogenne białka wirusa, nie przyniosły dotąd – jak głosi oficjalny komunikat – „zadowalających” rezultatów.

SZCZEPIĆ SIĘ CZY NIE?

Na razie Polacy są podzieleni w kwestii szczepień. Według grudniowego sondażu przeprowadzonego dla „Rzeczpospolitej” przez pracownię IBRiS szczepieniom chce się poddać 47 proc. ankietowanych, a więc zbyt mało, aby osiągnąć zamierzone minimum (przynajmniej 60 proc.).

Gotowość do szczepień jest wyższa u mężczyzn i rośnie, co zrozumiałe, wraz z wiekiem.

Największe obawy budzi tempo opracowania szczepionek. Wiele osób obawia się, że nie zostały one dostatecznie przetestowane. Ma zresztą powstać specjalny fundusz wypłacający odszkodowania w przypadku niepożądanych skutków ubocznych. Jednak w rzeczywistości problem nie polega na powikłaniach – większość z nich ma typowy charakter: zaczerwienienia, bóle głowy i mięśni, co w porównaniu z ryzykiem rozstroju zdrowia lub nawet zgonu wskutek choroby koronawirusowej wydaje się błahostką – lecz na tym, że większość ankietowanych po prostu nie odczuwa strachu przed zakażeniem koronawirusem i nie jest solidarna z ludźmi starszymi oraz bardziej zagrożonymi. Nawet wśród tych, którzy chcą się zaszczepić, połowa robi to tylko dlatego, aby móc „wrócić do normalności”. Zaledwie 14 proc. obawia się zakażenia siebie lub swoich bliskich (20 proc.).

Być może z czasem to się zmieni. Zwłaszcza gdy się okaże, że bez szczepienia nie da się wyjechać na zagraniczne wakacje (bo nie wpuszczą tam do samolotu lub hotelu) ani pójść do kina czy do knajpy. Tak naprawdę wszystko więc zależy będzie od skuteczności szczepień. Jeśli szczepionki zadziałają, wątpliwości będą znikać. Odliczanie właśnie się zaczęło.

Targowica występuje w naszej historii w różnych kostiumach, ale zawsze pod hasłem walki z „absolutum dominium” (władzą nieograniczoną) dąży do odebrania Polsce suwerenności, oddania się pod protekcję jakiegoś zewnętrznego imperium.

Mimo tego osiągnęliśmy bardzo wiele na naszej drodze do samodzielności, do dobrych rządów



To nasza ambicja doprowadza ich do furii

Michał Karnowski rozmawia z prof. **Ryszardem Legutką**,
filozofem, współprzewodniczącym grupy Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy

Panie profesorze, czy zgodzi się pan z tezą, że myślenie polskich patriotów o Unii Europejskiej coraz mocniej rozpięte jest między świadomością, iż jest to wspólnota dająca szansę na skok cywilizacyjny, rozwój, dostęp do jednolitego rynku i technologii, bezpieczeństwa, a z drugiej struktura coraz bardziej opresyjna, zaborczo próbująca pochłaniać kolejne obszary wolności i suwerenności? Narasta niemiecka dominacja. Nikt już na-

wet nie udaje, że Tallin ma w niej taki sam głos jak Berlin. Jak się w tym odnaleźć? Jak odczytać narodowy interes?

Ryszard Legutko: Najważniejsze, by zacząć od opisu stanu rzeczy. Za mało o Unii Europejskiej rozmawiamy, za często się do niej modlimy. W wielu środowiskach wytworzył się stosunek nabożno-religijny wobec tej instytucji i każde stwierdzenie, na dowolny temat, zaczyna się od tego, że „Unia jest jak zdrowie, oby

żyła wiecznie...”. Wystarczy, że ktoś wypowie zdanie, które nie ma w sobie tego elementu ślepego zachwyty, jest próbą rzeczowej dyskusji albo podania informacji, a natychmiast słyszy oskarżenia, że chce polexitu. Jest coś chorego w tym zakazie normalnej rozmowy.

To zjawisko dotyczy tylko Polski?
Oczywiście nie. W samej Unii też panuje podobna atmosfera ciągłej rewolucyjnej mobilizacji, oczekiwa-

nia wyłącznie ślepego entuzjazmu, niechęci do normalnej politycznej rozmowy. Tę blokadę wzmacnia sztuczny język, który przyjęto, z kłucowym hasłem wytrychem „pogłębiania integracji” na czele. To ślepa ulica, dlatego przynajmniej w Polsce spróbujemy rozmawiać o Unii normalnym językiem. O tym, co nam dała, a co chce zabierać, jaki jest bilans naszej w niej obecności. I o najważniejszym: jaki jest jej obecny stan.

Jak pan profesor ocenia tę ostatnią kwestię?

To, co widzę, jest coraz bardziej niepokojące i nie można udawać, że tego nie ma. Trzeba się wyzwolić z religijnego kultu Unii, trzeba dostrzegać, że to jest struktura bardzo ziemiska, obarczona wszystkimi grzechami ludzkiej konstrukcji. Im dłużej będziemy zapominać o tym fakcie, udawać, że tych grzechów nie ma, tym trudniej będzie się później z tych błędów wyzwolić.

Wróciłbym jeszcze do wątku niepokojącego pana profesora, czyli kierunku rozwoju Unii. Co przede wszystkim jest jego źródłem? Nieukrywana już dominacja niemiecka? Deptanie litery i ducha traktatów? Prymat ideologii nad wszystkim?

Wszystkie te rzeczy, które pan wymienił, są niepokojące. Ale poszedłbym w swojej diagnozie trochę głębiej. Wszyscy mniej więcej mamy oparty sposób funkcjonowania państwa narodowego. Wiemy, jak ono działa – czasami lepiej, czasami gorzej. Znamy mechanizmy, umiemy używać środków zabezpieczających. Tymi narzędziami, zabezpieczającymi nasze prawa, interesy i wolności, nie dysponujemy w odniesieniu do Unii Europejskiej rozumianej jako struktura o narastających cechach państwa. Prosty przykład: mówi się wiele, że w każdym państwie musi być trójpodział władzy. Dobrze. Ale w Unii Europejskiej nie ma takiego podziału. Jeżeli weźmiemy pod lupę Komisję Europejską, to zobaczymy,

że jest ona ciałem wykonawczym, ustawodawczym, a po części także sądowniczym. Pełni funkcję sędziego, prokuratora, a w niektórych przypadkach egzekutora. Na dodatek ma nikłą legitymację demokratyczną, bo nie jest wybierana w wyborach, lecz powoływana i zatwierdzana przez inne instytucje. Z punktu widzenia nauki i wiedzy o państwie to istne horrendum. Nie ma też żadnych ciał kontrolnych. Wraca stare pytanie: kto jest strażnikiem strażników? Quis custodiet ipsos custodes?

Ktoś jest?

Nikt. Tam rządzi jedna większość polityczna, która opanowała wszystkie instytucje i nie ma żadnego mecha-

Trzeba się wyzwolić z religijnego kultu Unii, trzeba dostrzegać, że to jest struktura bardzo ziemiska, obarczona wszystkimi grzechami ludzkiej konstrukcji

nizmu, który potrafiłby ich jakoś ograniczyć. Podkreślam jeszcze raz: z punktu widzenia naszej wiedzy politycznej o bezpiecznych dla praw obywateli, nowoczesnych strukturach politycznych, Unia Europejska jest całkowitym zaprzeczeniem tego dorobku. Została zbudowana i funkcjonuje w opozycji do tego, jak struktury państwowe powinny funkcjonować.

Z zewnątrz wybija się wrażenie rozmytej, pełnej sprzeczności struktury władzy.

Z wewnątrz tę niejasność widać jeszcze wyraźniej, jawi się jako notoryczna, świadomie budowana. Zarówno ta budowana w traktatach, już bardzo pogmatwana. Ale i ta nieformalna, wewnętrzna, nigdzie nieopi-

sana, a wynikająca z natury rzeczy, z układu sił. Z tego, że żaden człowiek przytomny nie może uznać, iż Estonia jest krajem tak samo wpływowym jak Niemcy. Ta nierównowaga mocy i potencjałów powoduje powstawanie układów, które tę zapisaną w traktatach równość omijają. Bo Niemcy to potężny kraj z wielkimi interesami, z wolą, by ich bronić, a Estonia nie jest krajem potężnym.

A co, gdy do tego równania przyłożymy Polskę?

No właśnie, problem z Polską polega na tym, że nie jest krajem potężnym, ale nie jest też krajem małym. Jesteśmy państwem średnim, które długo akceptowało przypisanie do grupy słabych, ale od czasów śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, z przerwą na rządy PO-PSL, wykazuje ambicje, próbuje się z tego wyzwolić, odzyskać głos. To doprowadza wielu do furii, jest uważane za złamanie nieformalnych, nigdy nam nieogłoszonych reguł. Tu jest źródło potężnego napięcia: gdy my się powołujemy na to, co jest zapisane w traktatach, zderzamy się ze zdziwieniem. Bo dla potężnych sił w Unii nie one, a nieformalne ustalenia i wpływy, są rozstrzygające. Zapisane prawo jest dla nich wtórne w stosunku do tego, co tworzy realną władzę.

Czy dominacja ideologii lewicowo-liberalnej w wydaniu tęczowym jest też takim nieformalnym prawem?

Tak, to ważny element. Zapisano w traktatach i szeroko przed rozszerzeniem Unii przekonywano obywateli, że sprawy związane ze światopoglądem leżą wyłącznie w gestii państw narodowych, ale dziś reaguje się wściekłością, gdy okazało się, że my to bierzemy na serio. Sięgamy do Karty praw podstawowych Unii Europejskiej i wskazujemy art. 9: „Prawo do zawarcia małżeństwa i prawo do założenia rodziny są gwarantowane zgodnie z ustawami krajowymi regulującymi korzystanie z tych praw”. Jest to napisane tak jasno, że jaśniej nie można.

Co się dzieje, gdy pada ten cytat?

Nic. To nie ma znaczenia, bo realną władzę w Unii mają ci, którzy wyznają pewną ideologię i świadomie dążą do narzucenia jej wszystkim. Wobec tego zamiaru litera i duch zapisów prawnych okazują się bezsilne, zwłaszcza w kontekście tego, o czym już wspomnieliśmy: braku podziału władz. To jest problem poważny, bo zderzamy się tu z siłą, która potrafi nie tylko prawo złamać, ale i tak je zinterpretować, by znaczyło co innego, niż znaczy. Dlatego przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, znając ten art. 9 Karty, może sobie rzucić, że „jeśli jesteś rodzicem w jednym kraju, jesteś rodzicem w każdym kraju”.

Przecież to oczywista sprzeczność z Kartą?

Wszyscy to wiedzą, ale na tym polega siła grup rządzących Unią, że mają pewność, iż tak to zostanie zinterpretowane, że wyjdzie na to, iż tej sprzeczności nie ma.

Tu słowem wytrychem są „wartości europejskie”, które pojawiają się w momentach kluczowych rozstrzygnięć. Odwołują się do nich jak do jakiejś konstytucji, na którą rzekomo się zgodziliśmy.

Obserwujemy spektakularną karierę artykułu II Traktatu o Unii Europejskiej.

Przypomnijmy: „Unia opiera się na wartościach poszanowania godności osoby ludzkiej, wolności, demokracji, równości, państwa prawnego, jak również poszanowania praw człowieka, w tym praw osób należących do mniejszości. Wartości te są wspólne Państwom Członkowskim w społeczeństwie opartym na pluralizmie, niedyskryminacji, tolerancji, sprawiedliwości, solidarności oraz na równości kobiet i mężczyzn”.

Tam jest napisane, że wartości tych mają przestrzegać wszyscy, a sama Unia Europejska przede wszystkim.

Zinterpretowano to jednak w ten sposób, że instytucje europejskie mogą te wartości interpretować i tę swoją interpretację narzucać innym. Więcej nawet – że mogą łamać prawo, by wprowadzić to, co oni uważają za zasadę „państwa prawa”, tej słynnej już praworządności. To, co miało ograniczać samowolę władzy, stało się narzędziem wzmacniania tej samowoli. Doprowadzili do tego, że gdy słyszymy o praworządności, to

Słysząc w kółko, że „w Polsce jest łamana praworządność, bo wymiar sprawiedliwości jest upolityczniony”.

I kropka. Nie można

o tym w ogóle rozmawiać, bo wszyscy przecież wiedzą, że „jest upolityczniony”.

A wszyscy wiedzą, bo wszyscy powtarzają, bo napisały o tym gazety francuskie, niemieckie, hiszpańskie, które z kolei dowiedziały się o tym w Parlamencie Europejskim.

I tak w kółko

skóra cierpieć. Bo to może oznaczać absolutnie wszystko, usankcjonowanie dowolnej arbitralnej decyzji.

Mówią „bronimy praworządności”, gdy chcą powiedzieć „mamy siłę”?

Tak, rządzi siła osłaniająca się tym świętoszkowatym i sztucznym językiem. Ten nieprawdziwy, nieopisujący rzeczywistości język odbiera nam wolność także w tym sensie, że uniemożliwia opisanie tego, co naprawdę dzieje się w Polsce. Polska

jest opisana za pomocą kilku frazesów językowych i nikt nie chce wiedzieć, czy są one prawdziwe, nikt nie chce tej wiedzy pogłębić. Wystarczy im wielkie pudło rezonansowe, w którym powtarza się kilka brząka-del, przez które nie sposób się przebić. Słysząc w kółko, że „w Polsce jest łamana praworządność, bo wymiar sprawiedliwości jest upolityczniony”. I kropka. Nie można o tym w ogóle rozmawiać, bo wszyscy przecież wiedzą, że „jest upolityczniony”.

A wszyscy wiedzą, bo wszyscy powtarzają, bo napisały o tym gazety francuskie, niemieckie, hiszpańskie, które z kolei dowiedziały się o tym w Parlamencie Europejskim. I tak w kółko.

Podobny mechanizm pamiętam z okresu po pierwszych rządach Prawa i Sprawiedliwości, kiedy się okazało, że w zarzutach o nadużywanie prawa nie było ziarna prawdy. Jeden z komentatorów wcześniej bijących na alarm, rzucających oskarżenia, bez wstydu stwierdził, że „taka była atmosfera”. Wiedział, co mówi – sam ją tworzył. Ale wracając do Parlamentu Europejskiego: widzimy i słyszymy, że pan i inni posłowie starają się przedstawić, jak jest naprawdę, obnażyć sztuczność opisu łamania praworządności. Nie przebija się?

Rzadko. Naszych polemistów prawda nie interesuje. To jest typowa tyrania większości, która opanowała w pełni instytucję, czuje się pewnie, nie jest zainteresowana tym, jak jest. Im wystarczy, że wiedzą, jak ma być. Zwłaszcza w Parlamencie Europejskim jest przyzwolenie na łamanie prawa. Tak odczytują hasło „ever closer Union”, czyli „ciągle jednocząca się Unia”. Ono naprawdę oznacza, że regulacje, które dziś mamy, są tymczasowe i stale jesteśmy w drodze do głębszej i głębszej integracji. W tej optyce, im szybciej, tym lepiej. Uważają, że jeśli nawet łamią traktaty w imię celu wyższego – szybszego i mocniejszego

jednoczenia Unii – to robią dobrze. I na odwrót: tych, którzy próbują odwoływać się do traktatów, by postrzegać proces siłowej integracji, postrzegają jako czyniących zło.

Napisał pan profesor w poprzednim wydaniu tygodnika „Sieci”: „Powstała klasyczna, niemal podręcznikowa, tyrania większości, a więc jedno z najbardziej niebezpiecznych i perfidnych politycznych schorzeń życia politycznego. Ta konstelacja polityczna objęła swoim posiadaniem wszystkie instytucje europejskie, nadając im jednoznacznie stronnictwo, partyjny charakter”. Z czego wynika przyzwolenie na to łamanie prawa? Po czucia, że w grę wchodzi wyższa konieczność ideologiczna?

Pamiętam książkę francuskiego filozofa Maurice’a Merleau-Ponty’ego, którą napisał o procesach moskiewskich w latach 30. Zawarł tam tezę, że może sądzić tam byli niewinni z punktu widzenia prawa sowieckiego z tego okresu, ale byli winni z perspektywy komunizmu przyszłości, gdy już zostanie zbudowany. Takie analogie są oczywiście zawsze ryzykowne, ale sposób myślenia jest podobny. Pozwala rozgrzeszać łamanie prawa, deptanie umów w imię tego, co ma się wydarzyć w przyszłości.

Te analogie z komunizmem pod jednym względem są celne: narody, które doświadczyły komunizmu, lepiej chyba rozpoznają fałsz języka, postępujące po cichu zniewolenie? Mamy też świadomość, że państwo francuskie będzie w stanie zrzucić te pięta, jeśli uzna za stosowne, a my niekoniecznie.

Ta pamięć ma znaczenie, ale też wie pan doskonale, że Europa Środkowo-Wschodnia ma rozdartą duszę. Z jednej strony silne pragnienie samodzielności, także dlatego, że długo była ona dławiona przez poddaństwo wschodnie i niemieckie. Z drugiej pragnienie bycia na Zachodzie, włączenia się w ten krwiobieg. Tu dobrze oddaje nastrój powiedzenie kiedyś odnoszone do „Tygodnika Powszechnego” – że chcieliby wypompować wodę z Wisły

i wpompować tam wodę z Sekwany. Problem w tym, że obecny Zachód nie jest już tamtym Zachodem wolnościowym, ale staje się coraz bardziej despotyczny, zarówno na poziomie myśli, jak i politycznym oraz prawnym. Paradoks polega na tym, że Polska jest dzisiaj krajem, w którym jest znacznie więcej wolności, w którym można powiedzieć i zrobić znacznie więcej niż we Francji, w Niemczech czy nawet w Wielkiej Brytanii, która jest już poza Unią.

Tu dochodzimy do momentu, w którym pojawia się pytanie: i co z tym zrobić? Czy w ogóle można – choćby intelektualnie – rozważać wariant wyjścia z Unii? Nawet zadawanie tego pytania niesie jednak poważne konsekwencje polityczne. Czy zatem powinno to być rozważane podczas naszej debaty?

Wszystko powinno być rozpatrywane podczas debaty. Publicyści, intelektualiści, ludzie, którzy posługują się rozumem, mają obowiązek rozważać różne rzeczy. Polityk jest tu z zasady oczywiście bardziej ograniczony, bo może się poruszać tylko w obszarze, w którym realna zmiana jest możliwa. Tę rozmowę o kształcie Unii powinniśmy rozpocząć od Parlamentu Europejskiego. Tu jest bowiem duży problem.

W jakim sensie?

Musimy pytać, jak to jest, że obecnie mamy 705 posłów do Parlamentu Europejskiego, którzy w coraz większym stopniu chcą decydować o sprawach Polski i Polaków, a tylko 52 z nich jest odpowiedzialnych przed wyborcami w naszym kraju? Przecież to jest absolutne kuriozum. Jedną z podstawowych zasad parlamentaryzmu jest to, że przedstawiciele są odpowiedzialni przed wyborcami. Tu nie są – dramatycznie nie są. Politycznie jest to absolutny skandal. Jeżeli mówimy o reformie Unii, to zrobimy z tym coś. Instytucja nominalnie przedstawicielska, kompletnie nieodpowiedzialna przed wyborcami, popada zawsze w patologię i szaleństwo. Coś z tym trzeba zrobić. I nie tylko Polacy zaczynają to dostrzegać.

Parlament Europejski w minionym roku wielokrotnie wywierał na Polskę potężną presję, podobnie jak inne instytucje unijne. Celem podskórnym, ale dobrze wyczuwalnym, było przymuszenie Polaków do zmiany wyborów politycznych. Ale mimo użycia z całą mocą „ulicy i zagranicy”, pomimo trudności wywołanych epidemią, ten polski wybór został podtrzymany, zarówno w wyborach prezydenckich, jak i parlamentarnych. W sumie dość optymistyczne doświadczenie?

Jestem bardzo szczęśliwy, że doczekałem takich czasów. A to są wyjątkowe czasy, bo kilka razy Polska była w centrum walki o wolność i teraz znowu mamy taki moment. To jest wielka partia, którą rozgrywamy. Jak zwykle w historii Polski to są jednak zapasy nad przepaścią. Nie jest tak jak w innych krajach o nieco bardziej fortunnej sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej, że wybory zwykle niosą niewielką korektę. U nas przegrana obozu Zjednoczonej Prawicy oznaczać będzie runięcie w przepaść braku wszelkich ambicji, całkowitego podporządkowania siłom zewnętrznym, bezwoli i słabości intelektualnej. Słowem, w jakąś nową formę poddaństwa. I znowu będziemy musieli zaczynać od początku. Tak jak po Solidarności, jak po roku 1989.

Ten taniec nad przepaścią wynika z siły wewnętrznego obozu kapitulackiego?

Z silnej Targowicy, która w naszej historii występuje w różnych kostiumach, ale zawsze pod hasłem walki z „absolutum dominium” (władzą nieograniczoną), dąży do odebrania Polsce suwerenności, oddania się pod protekcję jakiegoś zewnętrznego imperium. Mimo tego osiągnęliśmy bardzo wiele na naszej drodze do samodzielności, do dobrych rządów. To w ogromnej mierze dzieło premiera Jarosława Kaczyńskiego, który scalil i skutecznie prowadzi polityczne żywioły wolnościowe, propolskie. Każdy, kto wie, jak funkcjonują partie polityczne, jak wyglądają od środka, jak pełne są ambicji i sprzeczności, rozumie, jak trudne to było i jest zadanie.

Permanentny przewrót

*Co może się wydarzyć w 2021 r.
w polskiej polityce?*



STANISŁAW JANECKI

2021 r. jest już piątym i trzecim z rzędu, gdy ma dojść do politycznego przewrotu. Nie politycznej zmiany, lecz przewrotu właśnie. Politycznej zmiany demokratycznymi metodami nie udało się bowiem przeprowadzić od maja 2015 r. Po raz pierwszy przewrót miał się udać w grudniu 2016 r. Nie udało się. Podobnie jak wiosną i latem 2017 r. W tych latach nie było ogólnopolskich wyborów. Przewrót nie udało się też w latach, gdy odbywały się wybory, czyli w 2019 i 2020 r. Ma się udać w roku 2021, gdy znowu nie ma w planach wyborów. Tym razem przewrót ma się jednak zgrać z utratą większości sejmowej przez Zjednoczoną Prawicę. To ma doprowadzić najpierw do powołania rządu technicznego, a potem do przedterminowych wyborów. Przy czym rząd techniczny chce tworzyć zarówno parlamentarna opozycja, wzmocniona partią i ruchem Polska 2050 Szymona Hołowni, jak i opozycja uliczna (rewolucyjna), zdominowana przez Ogólnopolski Strajk Kobiet.

Pomóc ma, tym razem skutecznie, także zagranica. W postaci unijnego

mechanizmu „pieniądze za praworządność” (nic to, że zdecydowanie ograniczonego i osłabionego), miażdżących orzeczeń Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (w kwestii statusu „nowych” izb Sądu Najwyższego) oraz nacisków administracji Joeego Bidena. Na to wszystko mają się nałożyć negatywne skutki pandemii jako najważniejszy element rewolucji. W roku 2021 miałyby dojść do synergii czterech elementów: pandemii, Sejmu, ulicy i zagranicy. I w szóstym roku rządów Zjednoczonej Prawicy pandemia ma dostarczyć argumentów rewolucji, ta (wraz z oddziaływaniem zagranicy) doprowadzić do przewrotu, a ten do kryzysu sejmowego, a potem przedterminowych wyborów.

WIOSNA NIE WASZA

Rok 2021 będzie testem dla całej sceny politycznej. Dla rządu i jego politycznego zaplecza testem na odzyskanie poparcia na poziomie co najmniej 40 proc. i przełamania kła-



tych dwóch kadencji u władzy. Dla prezydenta bojową próbą zgodnej współpracy albo chłodnej kohabitacji. Dla opozycji testem formuły Frontu Jedności Narodu, zapewne ostatnim w takiej konfiguracji. Dla Polski 2050 Szymona Hołowni próbą przełamania klątwy Janusza Palikota, Pawła Kukiza i Ryszarda Petru. Dla Lewicy testem żywotności modelu wypracowanego przez Aleksandra Kwaśniewskiego. Dla Polskiego Stronnictwa Ludowego próbą wytrzymałości wariantu chadeckiego. Dla Konfederacji testem kompleksu Janusza Korwin-Mikkego. Dla Ogólnopolskiego Strajku Kobiet zmierzaniem się z klątwą Komitetu Obrony Demokracji. W rachubach opozycji oraz zagranicy, jeśli w roku 2021 nie dojdzie do rewolucji, przewrotu i przyspieszonych wyborów, nic się nie zmienia w roku 2022 i aż do wyborów w 2023 r. (samorządowych i parlamentarnych). Niepowodzenie w 2021 r. miałyby zresztą znacznie bardziej destrukcyjne skutki niż porażki „puczu” w grudniu 2016 r. oraz „wiosny” 2017 r. Oznaczałoby bowiem permanentną niezdolność do wywołania rewolucji i przewrotu. A także klęskę modelu permanentnego przewrotu, lansowanego od jesieni 2016 r.

10 listopada 2018 r. podczas Igrzysk Wolności w Łodzi Donald Tusk mówił: „Listopad to dla Polaków niebezpieczna pora. Może dlatego warto, czując dzisiaj bohaterów naszej niepodległości, dziś i jutro, pomyśleć już o tym, co zdarzy się wiosną. Wszak mają to dla Polaków błogi raj. [...] Spróbujcie w maju, wiosną pokazać, że wiosna może być wasza, nasza, polska”. Tak ówczesny przewodniczący Rady Europejskiej zachęcał opozycję do walki. I chyba całkiem nieświadomie powtórzył tezę Wojciecha Jaruzelskiego.

Gdy w pierwszych tygodniach stanu wojennego Solidarność (na murach i w ulotkach) przepowiadała: „Zima wasza, wiosna nasza”, Jaruzelski odpowiedział: „Wiosna nie będzie »wasza«, tylko polska i socjalistyczna”. Tusk zagrzewał do mobilizacji na wiosnę 2019 r. tuż po przegranych przez opozycję wyborach samorządowych, i to mimo wygranej Koalicji Obywatelskiej (bliskiej sercu Donalda Tuska) w 19 miastach, gdzie wybierano prezydentów. Ale wiosna 2019 r. nie była żadnym przełomem: opozycja przegrała wybory europejskie (26 maja) z Prawem i Sprawiedliwością. Listopad nie był „dla Polaków niebezpieczną porą”, a PiS pobilo wszelkie rekordy w historii wyborów parlamentarnych po 1989 r. Przełomem nie okazały się także „pandemiczne” wybory prezydenckie w 2020 r. Rzutem na taśmę miał być „strajk generalny” 13 grudnia 2020 r. pod przewodnictwem Ogólnopolskiego Strajku Kobiet i z udziałem wszystkich, którzy chcieliby tę ideę wesprzeć, łącznie z „przedsiębiorcami”, czyli nową klasą robotniczą. Chciano w ten sposób zrównać rząd Zjednoczonej Prawicy z juntą generałów Jaruzelskiego i Kiszczaka. Strajk był o tyle generalny, że okazał się generalną kląpą. Nie pozostało więc nic innego jak czekanie na wiosnę 2021 r.

PREMIA PO PANDEMII

Politycznie pojawienie się szczepionki na koronawirusa jest dla opozycji i ulicy niekorzystne. Wygląda bowiem na to, że pandemia miała być na całym Zachodzie ważnym czynnikiem politycznym, a w Polsce w szczególności. Jakkolwiek fatalnie by to brzmiało, wirus miał przede wszystkim „wykończyć” rząd Zjednoczonej Prawicy. Powszechne szczepienia to „wykończenie” czynią bardzo problematycznym. Wiosną 2021 r. najważniejsza dla Polaków bę-

dzie bowiem nadzieja na opanowanie i pokonanie zarazy. A nadzieja nie jest czynnikiem rewolucyjnym, skoro wiąże się z optymizmem co do przyszłości. Tym większym, że wskaźniki gospodarcze z jesieni 2020 r. należą do najlepszych w UE, szczególnie wyniki eksportu pokazujące żywotność gospodarki. Istnieje oczywiście groźba trzeciej fali pandemii, ale ani nie musi to być armagedon, ani nie powinno to oznaczać groźby długotrwałego lockdownu. Cokolwiek zrobi w tym czasie opozycja i ulica, to nie one będą zbierać punkty za przełamanie największej traumy współczesnego świata i Polski. Tym bardziej że zagranica, a przede wszystkim UE, będzie skoncentrowana na zatrzymaniu i pokonaniu zarazy, więc nawet w pożądaną przez opozycję i ulicę wersję „mechanizmu praworządności” nic złego Polsce i rządzącym nie grozi. Pod koniec roku 2020 opozycja postawiła wszystkie swoje aktywa na pandemię i nic trwałego to jej nie dało (w sondażach rządzący zaczęli odzyskiwać poparcie), mimo wsparcia ulicy i zagranicy. Zadziałał klasyczny mechanizm jednoczenia się i szukania ochrony u tych, którzy coś robili, a nie tylko gadali.

Nigdzie w Europie, więc także w Polsce, nie widać skłonności do obarczania rządzących winą za pandemię (choć pojawia się nawet ostra krytyka przyjętych strategii) i chęci premiowania opozycji, która przecież podczas pandemii niczego nie dokonała. W 2021 r. w Polsce będą oczywiście próby zrobienia czegoś w rodzaju pandemicznej Norymbergi dla rządu Zjednoczonej Prawicy, ale to może być ocenione odwrotnie do zamiarów opozycji i ulicy, czyli jako desperacja oraz odbieranie ludziom nadziei na normalność. A Norymbergę z żadną normalnością się nie kojarzy. Trudno więc liczyć na szerokie społeczne poparcie takiego



wariantu. Tym trudniej że ani po stronie opozycji, ani ulicy nie ma lidera, który mógłby rywalizować z duetem Jarosław Kaczyński–Mateusz Morawiecki. Borys Budka nie jest w stanie być charyzmatycznym liderem opozycji, gdyż jest całkowicie wyprany z cech przywódczych. Nie jest kimś takim także Rafał Trzaskowski, w dodatku uwikłany w problemy Warszawy. Liderem nie będzie Szymon Hołownia, gdyż wprawdzie uzyskał dobry wynik (13,87 proc. w pierwszej turze), ale znacząco gorszy od Pawła Kukiza pięć lat wcześniej (20,80 proc. głosów w pierwszej turze). I Kukiz też nie został liderem opozycji, choć nie założył partii tak jak Hołownia. Jako lider partyjny Hołownia niczego nie osiągnął, a do wyborów jest tak daleko, że jego partia i ruch mogą się nawet rozpaść, a przynajmniej nie utrzymać obecnego poparcia (11–16 proc.). W szczycie obecnego powodzenia Hołownia nie jest nawet w stanie stworzyć w Sejmie trzyosobowego koła. Władysław Kosiniak-Kamysz miał historyczne okno wiosną 2020 r. i z niego nie skorzystał, a w 2021 r. nie ma już szans nawet na odbudowanie ówczesnej pozycji. Krzysztof Bosak, kandydat Konfederacji w wyborach prezydenckich, z powodów ideowych nie ma szans na przywództwo opozycji, a im dalej od wyborów, tym bardziej będzie się osłabiać jego pozycja w rodzimym ugrupowaniu. Szczyt zdaje się mieć za sobą także Adrian Zandberg z Partii Razem. W 2021 r. lidera nie wykreuje także ulica, popularność Marty Lempart jest bowiem po trzech miesiącach znacznie niższa, niż była Mateusza Kijowskiego po roku aktywności KOD. I będzie gwałtownie spadać zarówno z powodu osobowości i stylu samej Lempart, jak i niechęci do niej innych postaci utożsamianych z ulicą.

OSTATECZNY KONIEC TUSKA

Kryzys targający Zjednoczoną Prawicą od kwietnia 2020 r. nauczył jej polityków, że znacznie więcej mają do stracenia niż do zyskania, jeśli nie powstrzymają działań rozłamowych. Już

w ostatnich tygodniach 2020 r. groteskowe były rachuby opozycji w sprawie możliwości przeprowadzenia w Sejmie konstruktywnego wotum nieufności. W 2021 r. będą podejmowane kolejne próby, ale ich szanse są bez porównania mniejsze niż jeszcze kilka miesięcy temu. A właściwie nie ma na to szans. Zjednoczona Prawica raczej nie dostarczy więc w 2021 r. opozycji pretekstu do wzmacniania i rozgrywania działań rozłamowych. Tym bardziej że agresywna ulica i zapowiedzi „Norymbergi” jeszcze dodatkowo rządzące ugrupowania konsolidują. Nic nie zmienia tu już przygotowywane pod kierunkiem Borysa Budki „czarne księgi” dotyczące pandemii i działań rządu w jej

W rachubach opozycji oraz zagranicy, jeśli w roku 2021 nie dojdzie do rewolucji, przewrotu i przyspieszonych wyborów, nic się nie zmieni aż do wyborów w 2023 r. (samorządowych i parlamentarnych)

trakcie. Wszystkie dotychczasowe „czarne księgi” opozycji nie wyszły poza ramy strategii „totalnej” i antypisu, więc te dotyczące pandemii też nie zrobią większego wrażenia. Więcej tego samego nic nie da. Podobne dokumenty ma zamiar przygotować także Szymon Hołownia, ale dotychczasowe opracowania jego sztabowców mają tę wadę, że mało kto o nich słyszał, a jeszcze mniej osób traktuje je poważnie. W 2021 r. rządzący nie stworzą opozycji wielu okazji do ich rozgrywania, a poziom tego rozgrywania jest co najmniej amatorski. Raczej nic tu nie zmieni think tank PO – Instytut Obywatelski pod wodzą Jarosława Makowskiego, który już był szefem tej organizacji za czasów Donalda Tuska i nic więcej z tego nie

wynikało niż za czasów kompletnie nieaktywnego Jarosława Wałęsy. Instytut Obywatelski nie przybliży PO do władzy nawet o centymetr. Podobnie jak think tank Instytut Strategii 2050 pracujący na rzecz Szymona Hołowni. Nie będzie więc intelektualnego zaplecza rewolucji, przewrotu i restauracji, a przynajmniej nie odegra ono żadnej znaczącej roli.

Rok 2021 zanosí się na znacznie mniej burzliwy, niż mogło się wydawać jeszcze jesienią 2020 r. Pandemia może zostać okiełznana, co pozwoli rządowi na nowe otwarcie. Opozycja właściwie wystrzelała się z amunicji większego kalibru, a nowe siły nie mają jeszcze dość uzbrojenia. Ulica szczyt swoich możliwości ma za sobą, a jej liderka budzi coraz większy sprzeciw. Poskromienie pandemii, paradoksalnie, nie będzie powodować większej frekwencji na ulicach, lecz wręcz przeciwnie. Zagranica nie bardzo będzie miała czas (poza stałym ostrzałem medialnym, ale to już nie robi wrażenia) na zajmowanie się Polską. Instytucje UE mają większe problemy niż grillowanie naszego kraju. TSUE działa wolno i wcale nie jest taki skory do ignorowania traktatów, jak chciałaby Komisja Europejska i Parlament Europejski. Wreszcie, administracja Joeego Bidena ani radykalnie nie zmieni strategicznych relacji

z Polską, ani nie będzie dla niej priorytetem w pierwszym roku urzędowania przeciąganie naszego kraju na stronę postępu. Donald Tusk ma więc marne szanse na doczekanie się satysfakcjonującej go wiosny w 2021 r., a tym bardziej jakiejś „Norymbergii” dla polityków Zjednoczonej Prawicy. Będzie nawet znacznie gorzej: były premier i przewodniczący Rady Europejskiej ostatecznie w 2021 r. stanie się nikim. Przede wszystkim w polskiej polityce, w której od jej porzucenia w 2014 r. chciał cały czas mieszać. I jednak liczył na triumfalny powrót, choć bardzo się bał porażki. Istnieje chyba taka prawidłowość: im mniej Donalda Tuska, tym polska polityka i Polska mają się lepiej. Ta prawidłowość będzie szczególnie widoczna w 2021 r.

Mnóstwo przekłamań i insynuacji

Jacek Karnowski rozmawia z **Andrzejem Przylębskim**, ambasadorem RP w Berlinie

Panie ambasadorze, dość niespodziewanie panu oraz pana małżonce poświęcono dwa duże teksty w świątecznych wydaniach tygodników „Newsweek” i „Polityka”. Czy to kolejna skoordynowana akcja mająca na celu zdeprecjonowanie państwa?

Andrzej Przylębski: Zapewne tak. Jest to oburzające także dlatego, że w obu tekstach jest mnóstwo przekłamań i insynuacji.

Na przykład?

Sugeruje się, że byłem kiedyś za świeckim państwem oraz za aborcją na życzenie. Całkowita nieprawda. Za świeckim państwem byłem i jestem nadal, a nasze państwo takim jest. A za

aborcją, zwłaszcza bezwarunkową, nie byłem nigdy.

Zarzuca się panu sympatię wobec tzw. realnego socjalizmu, m.in. przynależność do ZSMP.

To kolejna nieprawda. Nigdy nie byłem w ZSMP. Jako 16-letni mieszkaniec wsi zapisałem się do Związku Młodzieży Wiejskiej (a to nie to samo), nie po to, by działać, lecz by mieć dostęp do wiejskiej infrastruktury kulturalnej i sportowej. Takie były czasy. Za „komuny” nigdy nie działałem w tej organizacji ani w żadnej innej.

Oba teksty poświęcają dużo miejsca pana karierze akademickiej. Promotor pana doktoratu

Dochodzi w tych tekstach do bezczelnego powtarzania, za „Gazetą Wyborczą”, niepopartych żadnymi dowodami insynuacji, iż moje wielokrotne wyjazdy naukowe za granicę po 1990 r. związane były z nawiązaniem współpracy z Urzędem Ochrony Państwa. Nie miałem nigdy nic wspólnego z UOP. Nie byłem też TW SB, nigdy nie podjąłem bowiem współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa

prof. Andrzejewski twierdzi, że wydobyl pana ze „studenckiej masy”, a pan okazal mu niewdzięczność swą późniejszą krytyką jego osoby.

Znowu przekłamanie. To nie prof. Andrzejewski znalazł mnie, lecz ja jego. Pod koniec studiów zafascynowałem się filozofią niemiecką, zwłaszcza myślą Heideggera, a on – z wykształcenia germanista – właśnie wrócił ze stypendium naukowego w Heidelbergu. Poprosiłem go zatem o poprowadzenie najpierw pracy magisterskiej (okazała się najlepsza na roku, dostałem za nią Nagrodę Dziekana), a potem doktorskiej. Nasze drogi w sposób dość naturalny się zbiegły.

Ale wkrótce się rozłączyli.

Po habilitacji oraz pobycie w Wiedniu na zaproszenie prof. Michalskiego (Instytut Nauk o Człowieku) przyjąłem propozycję pracy w Ambasadzie RP w Kolonii, w Wydziale Nauki. W tym czasie prof. Bauman otrzymał prestiżową Nagrodę Adorna. Ambasador, którego tam reprezentowałem, wysłał mnie zatem do Frankfurtu na jej wręczenie. Spotkałem tam, nieoczekiwanie, mego uczelnianego kolegę prof. Kubickiego, który spontanicznie zaprosił mnie do wspólnej fotografii z małżeństwem Baumanów, bo – jak powiedział – będzie to „nie spodzianka dla Andrzejewskiego”, który ponoć w tamtym czasie opowiadał na uniwersytecie, że powołanie do służby dyplomatycznej zawdzięcza żydowskiemu pochodzeniu. Sam wcześniej aplikował do dyplomacji bez powodzenia, więc być może stąd ta frustracja.

Wkrótce ukazała się książka z listami osób publicznych do ks. Jankowskiego, w tym napisane przez Andrzejewskiego. Były to antysemitki donosy na niektórych kolegów pracujących na wysokich stanowiskach państwowych. Podczas posiedzenia Rady Instytutu uznano je za kompromitujące.

Jak pan na to zareagował?

Po powrocie na uczelnię w 2001 r. poprosiłem go o rozmowę na ten temat, która – niestety – potwierdziła jego

antysemityzm. Powiedziałem mu, że w tej sytuacji musimy się rozstać, ale odejdę w sposób dyskretny, by mu nie szkodzić. Nie potrafił tego uszanować. Zwalczał mnie odtąd z całą bezwzględnością, blokował moje awanse, projekty, nagrody. Kulminację stanowiła recenzja mego dorobku na tytuł profesora.

Powołano go na recenzenta mimo konfliktu z panem?

I to była pierwsza część skandalu, sprokurowana przez ówczesnego dyrektora prof. Buksińskiego. Rada Instytutu wybiera dwóch recenzentów, dwóch

Nigdy nie byłem w ZSMP. Jako 16-letni mieszkaniec wsi zapisałem się do Związku Młodzieży Wiejskiej (a to nie to samo), nie po to, by działać, lecz by mieć dostęp do wiejskiej infrastruktury kulturalnej i sportowej. Takie były czasy

pozostałych wskazuje Centralna Komisja ds. Tytułów. Zwykle ci drudzy są ostrzejsi od tych pierwszych. W moim przypadku powstała sytuacja, która nie miała, jak sądzę, precedensu: recenzenci wybrani przez instytut uznali, że na tytuł profesora nie zasługuję, recenzenci powołani przez Centralną Komisję byli całkiem odmiennego zdania. Byłem w szoku, mój dorobek znacznie przekraczał bowiem wymagania ustawowe. Dyrektor instytutu zaczął wtedy blokować procedowanie mego wniosku. Ja zaś domagałem się decyzji, nawet negatywnej, aby móc się od niej odwołać. I tak się też stało, ówczesny dziekan, na mój wniosek, wymusił bowiem na dyrektorze postawienie wniosku na radzie. 12 osób było przeciw, a 12 – nie. Zinterpretowano to jako odrzucenie wniosku.

Pewnie to pana zaskoczyło.

Poznałem wtedy słabość charakteru wielu kolegów, którzy pod naciskiem dyrekcyi wycofywali swe poparcie dla mnie. Zrozumiałem, że w tej sytuacji nie uda się zreformować instytutu, wyprowadzić go z marazmu. Moje odwołanie, rozpatrzone przez IFiS PAN, wypadło jednoznacznie: wszystkie nowe recenzje były pozytywne i w marcu 2010 r., miesiąc przed katastrofą smoleńską, prezydent Lech Kaczyński wręczył mi nominację profesorską. Zdecydowałem się przejść do Instytutu Kulturoznawstwa.

Na placówkę pojechał pan za rządów lewicy. „Newsweek” pisze, że był pan „cimoszewcem”.

To kolejne bzdury. W 1995 r. zgłosiłem się do konkursu na dyrektora Instytutu Polskiego w Lipsku (oraz w Berlinie). Nie wygrałem, ale po jakimś czasie zgłosiło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych z propozycją pracy w ambasadzie w Kolonii na stanowisku dyplomaty do spraw naukowych. Żadne polityczne stanowisko. Dla mnie ciekawe merytoryczne wyzwanie. Nie rozważałem pozostania w dyplomacji po czteroletnim kontrakcie, a obserwacja funkcjonowania ówczesnej polskiej dyplomacji z bliska tylko upewniała mnie w tym postanowieniu. Pracowałem na tyle solidnie, że po trzech latach awansowano mnie na radcę i kierownika Wydziału Kultury, Nauki i Informacji. Były to też lata mego intensywnego dojrzewania politycznego, w zderzeniu ze wszystkimi wadami III RP. Zrozumiałem, do czego prowadzą nasz kraj rządy ludzi takich jak Cimoszewicz, Geremek czy Buzek oraz to, że jedyną sensowną alternatywę stanowią Lech i Jarosław Kaczyńscy.

Nie myślał pan o karierze politycznej? W jednym z tekstów mówi się, że pewnemu posłowi PiS polecił pana jeden z uczelnianych kolegów, ostrzegając go zaraz przed pana ambicjami.

Kolejne przekłamanie. Nigdy nie zamierzałem być politykiem czy wstępować do partii politycznej. Wspo-

mniana sytuacja dotyczyła wskazania przez PiS kandydata do rady programowej poznańskiego Radia Merkury, zdominowanego światopoglądowo przez SLD i Unię Wolności. Zasiadałem tam sześć lat. Byłem też w gronie założycielskim Akademickich Klubów Obywatelskich im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, z czego jestem dumny, bo to istotna i znacząca reprezentacja konserwatywnej części społeczności akademickiej. Jestem też członkiem rady programowej Stowarzyszenia „Polska Wielki Projekt”, co daje mi możliwość spotkań z autentyczną elitą intelektualną naszego kraju: ze Zdzisławem Krasnodębskim, Bronisławem Wildsteinem, Antonim Liberą czy Andrzejem Nowakiem na czele.

Od czterech lat jest pan ambasadorem RP w Berlinie. W obu artykułach podważa się pana kompetencje.

To jedna z dwóch najtrudniejszych dyplomatycznych placówek Polski

na świecie. Jako przykład podam wspomnianą w jednym z artykułów projekcję filmu „Smoleńsk”. Wbrew temu, co się pisze, udało mi się, sprytnym fortem, złamać początkową obstrukcję wszystkich berlińskich kin (za którą prawdopodobnie stały m.in. rosyjskie służby). Ambasada pokazała film w dużym kinie. Zrobił olbrzymie wrażenie. Na pokazie i następującej po niej dyskusji z udziałem Bronisława Wildsteina obecni byli dziennikarze TVN. Nie pokazali nic, co wystarcza za komentarz.

Tyle odnośnie do „Newsweeka”. A artykuł w „Polityce”?

Wiele z tego, co tam było przekłamane, właśnie wyjaśniłem. Odniosę się może do dwóch elementów. Po pierwsze, do bezczelnego powtarzania, za „Gazetą Wyborczą”, niepopartych żadnymi dowodami insynuacji, iż moje wielokrotne wyjazdy naukowe za granicę po 1990 r. związane były z nawiązaniem współpracy z Urzędem Ochrony Pań-

stwa. Nie miałem nigdy nic wspólnego z UOP. Nie byłem też TW SB, nigdy nie podjąłem bowiem współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Wyjaśniła to raz na zawsze prokuratura Instytutu Pamięci Narodowej. Zgromadzone na mnie materiały były ogólnie dostępne, przepisy w tej materii także są znane i jednoznaczne. Koniec, kropka.

Nie będę – to drugi element – komentował opowieści o rzekomej marginalizacji mojej osoby przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Bo to absurd. Uczestniczę we wszystkim, co w relacjach polsko-niemieckich istotne. Mogą to potwierdzić ministrowie, z którymi miałem zaszczyt współpracować. Moje wypowiedzi i działania są czasami dość niekonwencjonalne, ale jest to zamierzone. Uczestniczyłem też – wbrew temu, co twierdzi tygodnik „Polityka” – w wypracowaniu ostatniego „kompromisu brukselskiego”, bo pewne rzeczy działały się w Berlinie. Ale o tym – w moich pamiętnikach.

REKLAMA



Opowieść o przyjaźni wybitnych Polaków - Karola Wojtyły i Stefana Wyszyńskiego

Spektakularne Widowisko z udziałem Gwiazd Polskiej Estrady.
Tematem przewodnim jest siedem cnót głównych naszej nowożytnej cywilizacji. Są to: pokora, hojność, czystość, miłość, umiarkowanie, cierpliwość oraz pracowitość.
Zapraszamy do wysłuchania zarówno piosenek gwiazd jak i słów naszych przewodników, które w tych trudnych czasach wesprą i przypomną nam o tym, co najważniejsze.

OGLĄDAJ NA:



SPONSOR WIDOWISKA



REKLAMA



**DOBRE SŁOWO
NA FALI**



**SŁUCHAJ NAS
ONLINE**



www.radiowarszawa.com.pl

49/1220/F

42/1220/F

Wyobraźmy sobie następującą sytuację.

Sejm postanawia przeprowadzić referendum, w którym polscy obywatele mają zdecydować, czy można zabić śmiertelnym zastrzykiem członka rodziny przykutego do łóżka z powodu choroby.

Idźmy dalej. Po długiej debacie publicznej w polskim parlamencie posłowie obradują nad tym, jak sformułować pytanie, które zostanie w takim referendum zadane. Bo, jak wiemy, jego wyniki mogą całkowicie od tego zależeć. Nawet sondaże jasno o tym mówią. Dla tego bardzo ważne jest, jak to pytanie postavimy?

Na przykład, jeśli parlamentarzyści zdecydują się zadać pytanie w stylu „czy jesteś za podreperowaniem domowego budżetu poprzez likwidację chorego członka rodziny”, możemy oczekiwać, że Polacy zgłoszą przeciw. Ale jeśli pytanie będzie mniej bezpośrednie, bardziej ogólne, choćby takie: „Czy jesteś za tym, aby chory członek twojej rodziny doznał godnej śmierci”, możemy oczekiwać, że legalizacja zabójstwa będzie miała większe szanse w referendum.

Czy tego rodzaju rozważania nie wydają się państwu wyjątkowo cyniczne? Czy uważają państwo, że o życiu lub śmierci może decydować siła polityczna lub społeczna większości? A może jednak uważasz, drogi czytelniku, że wartość ludzkiego życia i jego nienaruszalność powinny być ponad wszelkimi gierkami politycznymi i nie zależeć od mocy propagandowych macherów. Że muszą pozostać fundamentem, na którym opieramy nasze społeczeństwo? Ponad sztuką zadawania odpowiednich pytań referendalnych?

NIE MA INNEJ DROGI?

Cóż, mają państwo rację. Kwestie życia lub śmierci nie powinny być rozstrzygane za pomocą referendum. Ale niestety w obozie Zjednoczonej Prawicy są tacy, którzy myślą inaczej.

Oto, co na ten temat twierdzi Jarosław Gowin w wywiadzie dla Gazeta.pl: „Jeszcze tydzień temu bym tego nie po-

Niebezpieczne referendum

Wartość ludzkiego życia i jego nienaruszalność powinny być ponad wszelkimi gierkami politycznymi i nie zależeć od mocy propagandowych macherów. Muszą pozostać fundamentem, na którym opieramy nasze społeczeństwo. Ponad sztuką zadawania odpowiednich pytań referendalnych



GORAN ANDRIANIĆ

wiedział, ale teraz już tak” – mówi wicepremier, minister rozwoju, pracy i technologii, a następnie kontynuuje: „Potem, gdy naruszono tzw. kompromis aborcyjny z 1993 r., którego byłem i jestem zwolennikiem, być może nie ma już innej drogi jak tylko referendum. Należałoby dobrze przemyśleć pytania i wówczas oddać głos Polakom. Działania nas, polityków, w tak kluczowych sytuacjach powinny być emanacją zbiorowej woli narodu”.

Wicepremier konserwatywnego rządu uważa zatem, że kwestię niena-

ruszalności życia ludzkiego można rozstrzygnąć w referendum. Decyduje o tym siła większości, bo to jest „demokracja”.

W tej samej rozmowie Gowin mówi o św. Janie Pawle II i nazywa go „wielkim”, nawet „największym w polskich dziejach”. Nie jest to zaskakujące, bo Gowin długo studiował duchowe i intelektualne dziedzictwo papieża Polaka.

Przypomnijmy sobie to dziedzictwo. Oto cytat z encykliki Evangelium Vitae. „Jednym z charakterystycznych zjawisk towarzyszących współczesnym zamachom na ludzkie życie jest tendencja do żądania ich uznania prawnego, jak gdyby chodziło tu o prawa, które państwo – przynajmniej w określonych warunkach – zobowiązane jest przyznać obywatelom... Nierzadko uważa się, że życie człowieka jeszcze nienarodzonego lub głęboko upośledzonego jest dobrem tylko względnym: w myśl logiki proporcjonalistycznej lub z czystego wyrachowania należałoby je porównać z innymi dobrami i ocenić w odniesieniu do nich... W każdym razie, we współczesnej kulturze demokratycznej szeroko rozpowszechnił się pogląd, wedle którego porządek prawny społeczeństwa powinien ograniczać się do utrwalania i przyswajania sobie przekonań większości i w konsekwencji winien być zbudowany wyłącznie na tym, co większość obywateli stosuje i uznaje za moralne”, pisze św. Jan Paweł II, a następnie konkluduje: „Wspólnym korzeniem wszystkich tych tendencji jest relatywizm etyczny, cechujący znaczną część współczesnej kultury. Można się spotkać z poglądem, że relatywizm ten jest warunkiem demokracji, jako że tylko on miałby gwarantować tolerancję, wzajemny szacunek między ludźmi i uznanie decyzji większości, podczas gdy normy moralne uważane za obiektywne i wiążące prowadziłyby rzekomo do autorytaryzmu i nietolerancji”.

Pytanie, jak to się stało, że Gowin, który przez wiele lat zajmował się problemami Kościoła katolickiego w Polsce oraz pontyfikatem Jana Pawła II, tak da-

leko odszedł od myśli papieża Polaka. Warto może przypomnieć w tym miejscu, że wicepremier zasiada w radzie patronackiej Krakowskiego Hospicjum dla Dzieci.

Oczywiste jest, że jego nowa opinia, ukształtowana, jak powiedział, w ciągu tygodnia, o tym, jak rozwiązać problem aborcji, dobrze obrazuje nastroje części konserwatywnej opinii publicznej w Polsce. To ci konserwatyści, którzy w orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego (TK) z 22 października ub.r. o ochronie życia nienarodzonego widzieli tylko zagrożenie dla swojego „złotego cielca”, czyli pokoju społecznego. Po prostu istnieją politycy na polskiej prawicy, dla których „kompromis aborcyjny” był wartością i teraz nad nim płaczą.

JAKI KOMPROMIS?

Paweł Milcarek, filozof i publicysta, redaktor „Christianitas”, opisuje wypowiedź Gowina jako „pokrętne wnioskowanie, oparte na spiętrzeniu nieprawd”.

„Prostuję: 1) W 1993 nie zawarto kompromisu, lecz po prostu stronie walczącej o prawo do życia dla nienarodzonych udało się wtedy uzyskać ustawę znacznie lepszą od dotychczasowej, choć niedoskonałą. 2) Być może Jarosławowi Gowinowi ten stan rzeczy odpowiada, ale nie jest on znany ani w przeszłości, ani obecnie jako ktoś zaangażowany w sprawę pozytywnie. 3) Referendum w sprawie ochrony życia? To może najpierw referendum w sprawie kary śmierci?”, mówi nam Milcarek.

Dla niego zachowanie niektórych konserwatywnych polityków nie jest zaskoczeniem. „Jesteśmy świadkami kolejnego trudnego aktu w trwającej od lat walce między polityką cywilizacji życia i polityką cywilizacji śmierci. Zawsze gdy przychodzi takie zderzenie, koniunkturaliści nagle odkrywają, że muszą powiedzieć coś nowego. Poczekajmy zatem na kolejne tygodnie i kolejne zmiany poglądów wicepremiera Gowina. Nie sądzę, by polskie prawo miało gonić za jego skokami emocji”.

Pomysł, że protesty uliczne powinny decydować, czy chronić nienarodzone życie, z konserwatywnego punktu wi-



dzenia jest całkowicie oportunistyczny. Teraz ten oportunizm chce się ukryć za pomysłem, jak to ujął Gowin, „emanacji zbiorowej woli narodu”.

Co myśli o tym Milcarek?

„Niewątpliwie władza publiczna jest zobowiązana zarówno do pilnowania przestrzegania prawa, a to obejmuje również stanowcze chronienie jego aurytetu. To oznacza, że ani partia rządząca, ani jej przedstawiciele zajmujący najwyższe stanowiska w państwie nie powinni zostawiać tego sporu na ulicy. Powinno być jasne, że są gotowi bronić prawa do życia, umieją przedstawić racje za jego wzmocnieniem w imię Konstytucji. Niestety zamiast tego mieliśmy szereg dwuznacznych wypowiedzi premiera i prezydenta, odbijających zresztą to, jak w sprawie ochrony życia postępował PiS przez ostatnie lata. I oczywiście powinno być jasne, że orzeczenia TK się drukuje. To punkt wyjścia”.

POD PRESJĄ ZAGRANICY

Oprócz ewentualnej ingerencji w porządek konstytucyjny Polski referendum w sprawie aborcji – to całkiem jasne – przyniosłoby nowe, gwałtowne podziały w społeczeństwie. Ciekawostką jest to, że proponują go ci, którzy w orzeczeniu TK widzieli „tworzenie podziałów”.

Należałoby się też spodziewać dodatkowej interwencji w sprawy polskie zagranicznych stowarzyszeń proaborcyjnych już działających w Polsce i wspierających Strajk Kobiet.

Dobrym tego przykładem jest Irlandia. Tam Open Society Foundation George’a Sorosa otwarcie finansowała kampanię proaborcyjną Amnesty International (AI) i innych organizacji w ramach kampanii na rzecz referendum w sprawie legalizacji aborcji. W Irlandii zainwestowano wówczas ogromne sumy, a jeszcze więcej zainwestowano by w Polsce, jednym z ostatnich bastionów obrony nienarodzonych. Opowiadanie się za referendum oznacza pozostawienie polskiego społeczeństwa pod wpływem stowarzyszeń takich jak AI i podobnych, które mają silne zagraniczne wsparcie finansowe i mocną logistykę w Polsce.

OCHROŃMY PRAWO DO ŻYCIA

Chociaż niektórzy piszą o tym, że wydarzenia towarzyszące orzeczeniu TK pokazały, iż polska polityka i kultura również w tej kwestii tracą swój „katolicki zarzut”, Milcarek jest przeciwnego zdania.

„To, że dzisiaj wiele osób traktuje ustawę z roku 1993 jako rozwiązanie właściwe lub nie najgorsze, jest wynikiem bardzo ciężkiej pracy – najpierw gdy przy wielu sprzeciwach tę ustawę w końcu uchwalono, a następnie gdy wchodziła ona przez kolejne lata do świadomości moralno-prawnej społeczeństwa. Na przykład mentalność w środowisku medycznym zmieniła się bardzo in plus właśnie pod wpływem ustawy. Wcześniej przecież aborcja była traktowana jak zwykły „zabieg”. To się zmieniło. Nie chcemy wracać do stanu sprzed kilkudziesięciu lat, bo od tego czasu świadomość istnienia prawa do życia bardzo się rozszerzyła. Stany emocjonalne towarzyszące fali demonstracji, związanych ze wzmożeniem politycznym na linii rząd–opozycja, nie powinny być głównym punktem odniesienia. Prawo zawsze ma moc kształtowania obyczaju na dłuższą metę. Nie wolno dopuścić, żebyśmy pod wpływem strachliwych koniunkturalistów stracili tę świadomość”.

Nie mam wątpliwości. Referendum w sprawie aborcji to dla Polski złe rozwiązanie.



Wesprzyj budowę pomnika Żołnierzy Niezłomnych

W Mielcu na Podkarpaciu powstaje pomnik Żołnierzy Niezłomnych. Największy w Polsce. – Tak twierdzi red. Tadeusz Płużański, przewodniczący Komitetu Budowy Pomnika – podkreśla Romuald Rzeszutek, wiceprezes mieleckiego stowarzyszenia Klub Historyczny „Prawda i Pamięć”, inicjator budowy monumentu. Jego odsłonięcie jest planowane na wrzesień przyszłego roku. Brakuje ok. 300 tys. zł



JAROMIR KWIATKOWSKI

Zołnierze niezłomni czekali na takie upamiętnienie kilkadziesiąt lat – podkreśla Romuald Rzeszutek. – Ci ludzie zostali potraktowani przez historię w sposób bardzo okrutny. Ten pomnik to rodzaj naszej ekspiacji za to i wyrzut sumienia, że przez 60 lat tak niewiele osób o nich mówiło. Jesteśmy winni tym ludziom to, że będziemy ich przywoływać w naszej

pamięci. A pomnik będzie stał i w sposób milczący przemawiał do nas.

55-letni Rzeszutek to w Mielcu człowiek instytucja. Jest współtwórcą tzw. Polany Niezłomnych – miejsca upamiętnienia żołnierzy niezłomnych na terenie Lasów Państwowych w Szydłowcu. Zainicjował Marsz Pamięci Żołnierzy Wyklętych w Mielcu. Współorganizował uroczystości patriotyczne, koncerty muzyki patriotycznej, konkursy wiedzy historycznej. A w szkołach prelekcje, pokazy filmów, spotkania z publicystami i historykami. Koordynował mieleckie retrospektywy Festiwalu Filmowego Niepokorni Niezłomni Wyklęci z Gdyni, podczas których odbywały się warsztaty filmowe dla młodzieży połączone z projekcjami

filmów i spotkania z ich twórcami. Publikował liczne artykuły dotyczące podziemia antykomunistycznego na łamach prasy lokalnej i ogólnopolskiej. W ubiegłym roku został laureatem Nagrody Honorowej „Świadek Historii”, przyznawanej przez IPN.

PROTEST „TRZECIEGO POKOŁENIA UB”

Monument stanie na terenie parku leśnego Góra Cyranowska. Uchwała rady miasta w sprawie lokalizacji została podjęta w 2016 r., jeszcze za rządów nieżyjącego już prezydenta Daniela Kozdęby – wskazano wtedy działkę, na której miał stanąć pomnik. W 2018 r., w ostatnich dniach urzędowania, p.o. prezy-

dent Fryderyk Kapinos (dziś poseł PiS) na podstawie przeprowadzonych badań geologicznych i możliwości technicznych uściślił to miejsce, wskazując na tej działce konkretną lokalizację.

Wtedy pojawiła się grupka niezadowolonych, którzy zaczęli kontestować tę decyzję, podnosząc m.in. argument, że Góra Cyranowska jest dla mielczan miejscem rekreacji.

– No to będzie się tu spotykało sacrum z profanum – ripostuje Romuald Rzeszutek. A skoro jest to miejsce rekreacji, to – jego zdaniem – tym lepiej, bo odwiedza je sporo ludzi, którzy zobaczą to upamiętnienie żołnierzy niezłomnych, wyklętych przez komunistów.

Wiceprezes Stowarzyszenia „Prawda i Pamięć” dodaje: – Lokalizacja budziła pewne kontrowersje, ale u ludzi, którzy byliby oburzeni bez względu na to, gdzie by ten pomnik stanął. Jest to grono kilkunastu osób, które powtarzają, że żołnierze niezłomni byli bandytami, i robią to najczęściej anonimowo. Trzecie pokolenie UB walczy z trzecim pokoleniem AK. A pomnik pięknie wpisuje się w okolicę zarówno kształtem, jak i kolorystyką.

ORZEŁ Z URWANYM SKRZYDŁEM

Monument autorstwa artysty rzeźbiarza Józef Opali z Koprzywnicy, absolwenta warszawskiej ASP, laureata wielu nagród i wyróżnień na wystawach ogólnopolskich, jest – jak podkreśla Rzeszutek – pełen symboliki. Wylano już fundament, obłożony blokami granitu polerowanego i płomieniowanego. Na postumencie stoi pięciometrowa kolumna z granitu, nieregularna, nazwana Drzewem Życia. – Przypomina trudne losy naszego narodu – wyjaśnia nasz rozmówca.

Na zwieńczeniu kolumny znajduje się odlany z brązu orzeł w zamkniętej koronie z krzyżem, wznoszący głowę ku słońcu. Podnosi on pomnik do wysokości ok. 6,5 metra. Rozpiętość jego skrzydeł wynosi ok. 3,5 metra. – Końcówka prawego skrzydła jest urwana – pokazuje Romuald Rzeszutek. – Jest to symbol bezpowrotnie utraconej w czasie wojny i po wojnie elity polskiego państwa. Kiedy dokładnie przyjrzymy się temu skrzydłu, zoba-

czymy trzy przestrzeliny, jakby ślady po kulach.

W sercu kolumny umieszczony został ryngraf z wizerunkiem Matki Bożej Częstochowskiej, patronki żołnierzy niezłomnych, ale także patronki Mielca. Podobne ryngrafy są często odnajdowane

w bezimiennych dołach śmierci podczas ekshumacji bohaterów, którzy podjęli po wojnie walkę z drugim, sowieckim okupantem. – Matka Boża nie uchroniła ich na tym świecie, ale na pewno przeprowadziła do wieczności – zauważa wiceprezes Stowarzyszenia „Prawda i Pamięć”.



Kolumna z granitu, nazwana Drzewem Życia, przypomina trudne losy naszego narodu. Orzeł ma urwane skrzydło. To symbol bezpowrotnie utraconej elity polskiego państwa

Ryngraf był pierwszym wykonanym elementem pomnika. Został poświęcony przez abp. Marka Jędraszewskiego w Bazylice Mariackiej w Krakowie w Dzień Zaduszny 2018 r. i zaprezentowany podczas ostatniej sesji mieleckiej rady miasta w Sali Królewskiej dawnego budynku rady powiatowej (obecnie mieści się tam szkoła muzyczna I i II stopnia).

Zamontowane są już także reliefs największych organizacji podziemnych – NSZ, AK i WiN.

1 marca tego roku, w Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych, został poświęcony kamień węgielny pomnika. Stanowi go łuska artyleryjska, w której umieszczono m.in. 100 kapsuł z ziemią z miejsc uświęconych męczeńską krwią bohaterów, „List do potomnych” na dwóch arkuszach miedzianych, monetę wybitą na 100-lecie odzyskania niepodległości, miniaturę ryngrafu, który znajduje się na pomniku, a także zdjęcia i dokumenty.

Czego jeszcze brakuje? Brązowych figur trzech niezłomnych (wysokości 2,6 metra), związanych z regionem: Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, Aleksandra Rusina „Rusala” i Wojciecha Lisa „Mściciela”. A także siedmiu postaci tworzących „korowód cieni”, m.in. generała Emila Fieldorfa „Nila”, rotmistrza Witolda Pileckiego, Waleriana Tumanowicza, który przez cztery lata dowodził Obwodem AK Mielec i został zamordowany w Krakowie podczas procesu II Zarządu WiN, Leona Watanowicza „Boruty”, Janiny Przysiężniak „Jagi” (podkarpackiej „Inki”) oraz płk. Łukasza Cieplińskiego „Pluga”.

– „Zapora” i „Mściciel” będą ufundowani przez IPN, podpisaliśmy już umowę – podkreśla Rzeszutek. – Ich modelowanie właśnie się kończy, niedługo figury zostaną przekazane do odlewni. „Rusala” jest już odlany. Będziemy te postacie instalować wtedy, gdy wszystkie będą gotowe.

TRZEBA BYĆ OPTYMISTĄ

Pomnik jest wznoszony głównie ze środków pozyskanych od darczyńców. W jego budowę nie są zaangażowane żadne pieniądze z budżetu miasta. – Staramy się o granty, pisząc do róż-



nych fundacji, również tych związanych ze spółkami skarbu państwa, żeby przyspieszyć dokończenie tego dzieła – przyznaje Romuald Rzeszutek. – Każdemu wpłacającemu powyżej 100 zł staramy się ofiarować ryngraf-cegiełkę – miniaturę ryngrafu, który znajduje się na pomniku. W legitymacji dołączonej do tej miniatury umieszczono słowa Prymasa Tysiąclecia: „Każda rzecz wielka musi kosztować i musi być trudna. Tylko rzeczy małe i liche są łatwe!”.

Wśród darczyńców Romuald Rzeszutek chciałby wymienić zwłaszcza Krzysztofa Witkowskiego, prezesa firmy Bruk-Bet z Niecieczy, który znacząco zasilil konto budowy pomnika, oraz Kazimierza Rogalę z Przylęka koło Mielca, właściciela zakładu obróbki kamienia budowlanego, który ofiarował granit. Janusz Rydzowski (jego ojciec był jednym z ostatnich żołnierzy „Lisa”, został skazany na dwukrotną karę śmierci, którą później zamieniono na dożywocie) współfinansował orla z brązu. Odlew orla wsparła finansowo także Fundacja ARP. Relief WiN sfinansowała Renata Nowak, wnuczka Antoniego Kopaczewskiego „Lwa”, niezłomnego zamordowanego w 1946 r. przez funkcjonariuszy MBP i MO, córka Antoniego Kopaczewskiego, pierwszego lidera rzeszowskiej Solidarności, a później działacza Solidarności Walczącej. Związek Żołnierzy NSZ Koło Chicago ufundowało relief NSZ, a rodziny Piotrowskich, Kamińskich i Wiercińskich relief AK.

Na konto budowy pomnika wpływały datki z Polski, ale także z innych krajów, w tym z USA, a nawet z Australii. Ideę pomnika promuje rozgłosia radiowa

WPNA 1490 AM z Chicago (do niedawna ten temat pilotowała Łucja Śliwa, a obecnie, po jej odejściu z rozgłosia, Andrzej Kiesz).

Romuald Rzeszutek przyznaje, że pandemia trochę przyhamowała wpłaty, bo ludzie zaczęli się obawiać utraty pracy i środków utrzymania. Ale nie zamierza rozkładać rąk. – Zrobiliśmy ostatnio materiał dla TVP Info. Tadeusz Płużański przepytal mnie przed pomnikiem.

Nasz rozmówca szacuje, że koszt budowy pomnika zamknie się w kwocie 850 tys. zł. – Umowy na wykonanie oraz koszty prac, które do tej pory wykonaliśmy, opiewają na wartość ok. 540 tys. Brakuje nam jeszcze ok. 300 tys. – podlicza. I dodaje: – Trzeba być optymistą.

Odsłonięcie pomnika jest planowane na wrzesień przyszłego roku. Podczas uroczystości zostanie wykonane dzieło muzyczne na orkiestrę symfoniczną, inspirowane losami niezłomnych, którzy znajdują się na pomniku. Pisz je Ryszard Kusek, dyrektor szkoły muzycznej w Mielcu.

– Również prezydent Andrzej Duda, z którym dwukrotnie rozmawiałem, podkreślił, że chciałby być zaproszony na uroczystość odsłonięcia pomnika – podkreśla Rzeszutek.

Budowę monumentu można wesprzeć, wpłacając pieniądze na konto mieleckiego Stowarzyszenia „Prawda i Pamięć”. **Numer konta 92 1240 2656 1111 0010 7031 5571**, wpłata z dopiskiem: darowizna na budowę pomnika w Mielcu, Stowarzyszenie „Prawda i Pamięć”, ul. Wojsławska 2d, Mielec.

*Wolność, równość, braterstwo
– nowe odczytanie*

Bogu już dziękujemy



ALEKSANDER NALASKOWSKI

Nie dowiemy się nigdy, czy Jan Jakub Rousseau, pisząc w wieku 50 lat swój traktat „Du contrat social” („O umowie społecznej”, 1762), inspirował się powszechnie panującym wówczas przekonaniem, które tylko opisał, czy był rewolucjonistą inspirowanym innych ku takiemu myśleniu. W kolosalnym, a może i trochę prostackim, skrócie rzecz ujmując, szło o to, że cały ład społeczny nie jest wynikiem woli Boga, lecz umowy między ludźmi. To tylko kontrakt, pewna konwencja, ludzki pomysł na wspólne życie. To ludzie wymyślili, że jeden jest królem i swoje królestwo przekazuje własnym potomkom, a inny jest chłopem, jeszcze inny rycerzem. Wymyślili ku temu stosowne kryteria, aby nie wszyscy mogli być królami, a niektórzy byli zmuszeni

do harowania w polu. Badacze uznają to jako początki nowoczesnej demokracji.

Rousseau był oryginałem, a nawet dziwakiem i sam siebie uważał tak naprawdę za pisarza i znawcę muzyki. Był jednak bez wątpienia wielkim filozofem, jakkolwiek byśmy jego filozofię oceniali. Osobiście widzę w nim genialnego cynika. Myśl Rousseau, albo też przez niego tylko spisana (wcześniej wszak był Locke i Hobbes), prawie po trzech dekadach przyoblekła się w czyn. Rewolucja francuska była jej najprawdziwszym dzieckiem, kością z kości i krwią z krwi. Zwłaszcza krwią. Mam wręcz wrażenie, że traktat „O umowie społecznej” był napisanym dla niej scenariuszem. Jeśli wszystko jest bowiem tylko umową, to tę umowę można wypowiedzieć, zerwać. Wcześniej z Bogiem tego zrobić się nie dało, ale z królem, arystokracją, duchownymi owszem. Kimże był król, czyż nie sprawował władzy na mocy umowy społecznej? Pomazaniec boży? A skądże! Czy ktoś widział, jak go Bóg czymkolwiek mazał?! Rewolucja w sposób szczególny wypowiadała umowę. Po prostu likwidowała jedną ze stron. Pomagał w tym

wydatnie pomysł Antoine’a Louisa, skądinąd producenta instrumentów klawiszowych, które nazwano „gilotyną”, co było określeniem krzywdzącym Józefa Ignacego Guillotine’a, chirurga z Paryża. Ktoś inny wymyślił, ktoś inny został na zawsze zniesławiony. Każde trzaśnięcie śmiertelnego ostrza oznaczało zerwanie kolejnej umowy. Tutaj nie tworzono żadnych aneksów, nie prowadzono negocjacji – po prostu umowę jednostronnie zrywano. Razem z głową.

Każda rewolucja potrzebuje hasła przewodniego, którego nasamprzód domaganie się, a po zamianie go w obowiązujące prawo, egzekwowanie jest niczym innym jak dekretem terroru. Słynne zawołanie: „Wolność, Równość, Braterstwo”, po latach i skosztowaniu owoców, które wydała rewolucja, daje się nieco lepiej rozumieć. Wyparło ono, wygoniło wręcz „Wiarę, Nadzieję i Miłość”. Przebieg wydarzeń zweryfikował wolność jako wolność nade wszystko „od”, a nie „do”. Po 150 latach można to było zobaczyć na paryskich ulicach i uczelniach. Bo ta oświeceniowa rewolucja trwa. Równość

gdzieś okazała się demokratycznym prawem wyborczym, a gdzieś indziej ideologiczną urawniówką. Najciekawsze są jednak losy „braterstwa”. To jedyne hasło z rewolucyjnego zawołania, które odnosi się do praw natury, do szeroko, a niekiedy metaforycznie rozumianych więzów krwi. To zawołanie do plemiennego podziału na „swoich” i „obcych”, na „naszych” i „tamtych”. To też się nie skończyło, a wciąż bywa tragiczne czy wręcz katastrofalne. Umowę można bowiem unieważnić na podstawie stwierdzenia odmienności plemiennej, rasowej. We francuskiej rewolucji upatrywałam więc źródeł obu wojen światowych, licznych lokalnych konfliktów XIX i XX w., a także upiornego fenomenu o nazwie Auschwitz. Ale nie tylko tego.

BRATERSTWO Z WŁASNYM CIAŁEM

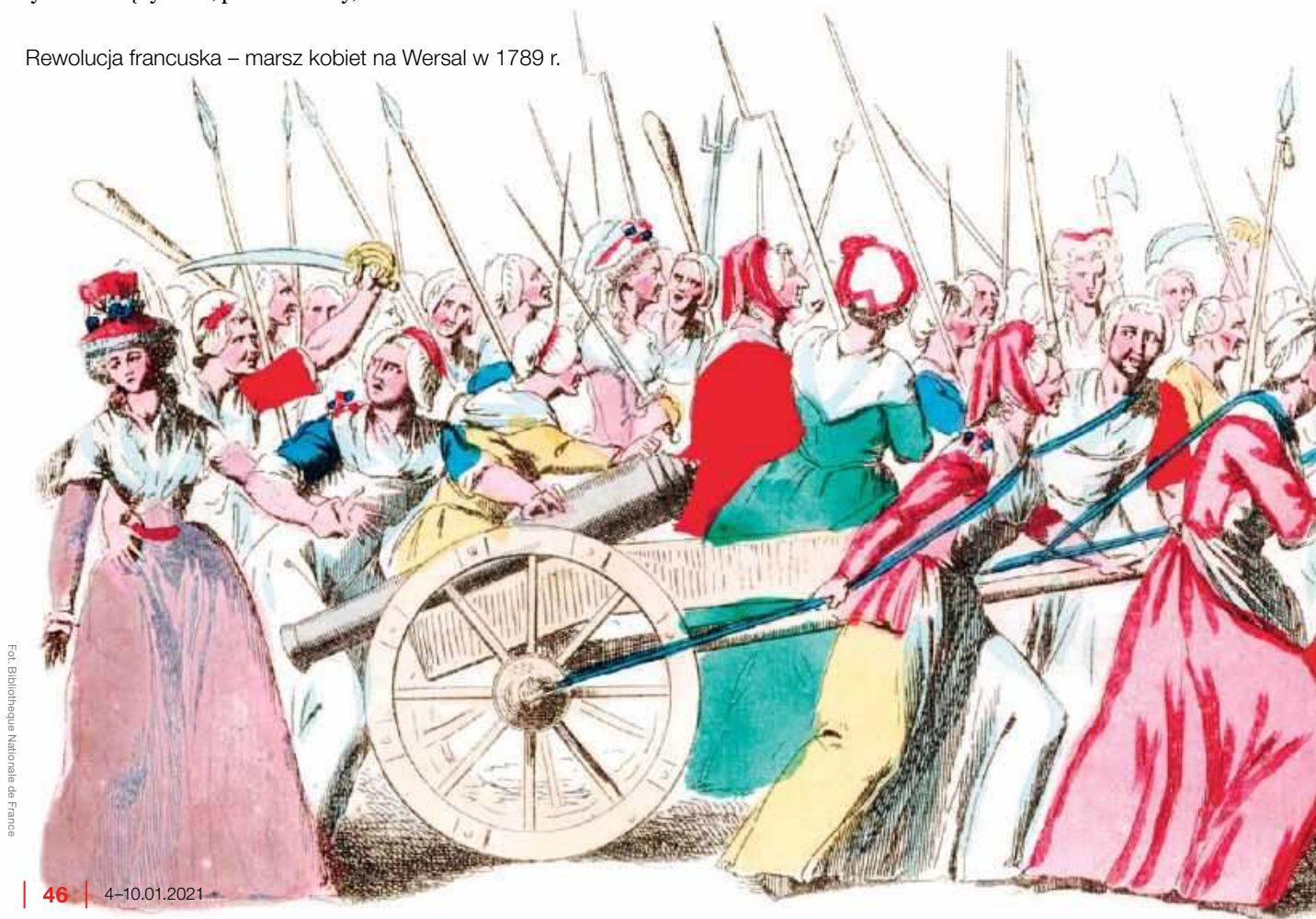
Hasło braterstwa zwróciło uwagę nie tylko na więzy krwi, prawo natury, lecz

pośrednio i na ciało. Wszak krew to życie. O ile w czasach rewolucji francuskiej można było to zaobserwować w renesansie dość „eksperymentalnych” orgii (wspomnijmy choćby markiza Donatiena A.F. de Sade’a), to dzisiaj widać jak na dłoni w zainteresowaniu ciałem jako takim. Własnym ciałem jako najbliższym naszym współplemieńcem. I bodaj współplemieńcem jedynym. Drastycznie topnieje liczba czytelników w darmowych skądinąd bibliotekach, ale przybywa osób w płatnych siłowniach, klubach fitness, które odwrotnie proporcjonalnie do bibliotek mnożą się jak grzyby po ulewnym deszczu. Jeśli tylko pod tym kątem rozrzeć się dookoła, to na ulicach zobaczymy legiony rowerzystów, biegaczy i rolkarzy. Tylko w Polsce około 4 mln jeździ na nartach (to 10 proc. wszystkich mieszkańców Polski!). Kraj usłany jest orlikami, ścieżkami dla rowerzystów czy siłowniami na otwartym powietrzu.

W telewizji większość reklam stanowią produkty medyczne lub paramedyczne. Prywatne kliniki medyczne i gabinety lekarskie mają kilkumiesięczne kolejki do fachowców. Chirurgia plastyczna czy liposukcja to niezwykle dochodowy biznes. Istnieją osobne gabinety (tzw. studia) zajmujące się tylko paznokciami, stryżeniem bród czy wymyślnymi fryzurami albo masażem. Wiele osób ma swojego osobistego trenera w przybytkach sprawności. Niezwykła jest też popularność programów kulinarnych i już bodaj każdy nadawca czy kanał ma swój cykl gastronomiczny, a prowadzący takie programy stają się prawdziwymi celebrytami. Miliony ludzi oszalało na punkcie zdrowego trybu życia, cholesterolu, pH w ustach, zdrowej żywności, diet wyszczuplających i suplementów diety. Zupełnie jakby chcieli żyć wiecznie.

Innym wymiarem somatyzacji życia są akcje i ruchy tzw. ekologiczne (zamieniające się niekiedy w prawdziwy

Rewolucja francuska – marsz kobiet na Wersal w 1789 r.



ekoterror), produkcje przyjazne środowisku, z elektrowniami atomowymi włącznie, specjalne oznakowanie takich produktów, embargo na pokazywanie w telewizji osób palących papierosa, praktycznie niepalący bohaterowie filmów fabularnych, walka ze smogiem.

Somatyzacja nie ominęła nauki. Ciało, cielesność, zdrowie stały się przedmiotem badań i kierunkami niemedycznych studiów takich jak socjologia, pedagogika, psychologia, ale i stosunkowo nowych: gender, wellness, turystyka i rekreacja, promocja zdrowia, kosmetologia, seksuologia etc. Na wielu polach dochodzi tu do zwykłych nadużyć, wyłudzenia pokąźnych grantów i publikacji prac o wartości zwykłego humbugu.

Pandemia COVID-19 podniosła somatyzację o kilka pięter wyżej na bardzo wyśrubowany poziom.

Kwestie te nie omijają systemu oświaty. Spory o „wychowanie seksualne” i słynne zalecenia WHO, „równościowy polonez” w jednym z liceów (gdzie chłopcy tańczyli z chłopcami), tęczowe piątki, lotne brygady „trenerów tolerancji i równości” to tylko niektóre symptomy tego nieomijania. Także w bliskim sąsiedztwie edukacji, na

Sprowadzenie obywatelskości i wynikających z niej praw do poziomu somatycznego, czyli „wolności od” wszelkich ograniczeń ciała, musiało zaowocować społecznym pęknięciem

rynku wydawniczym, można spotkać produkcje takie jak „Wielka księga cippek” czy „Wielka księga siusiaków” skierowane do najmłodszych. Czy somatyzacja już ma (ma mieć?) charakter dziedziczny, uniwersalny transpokoleniowy?

Seksualność stała się „dobrem powszechnym” i elementem wyrwanym nie tylko z pruderii, lecz także ze zwykłej intymności. O seksie, jak o posiłku czy spacerze, mówią otwarcie małżonkowie, nastolatki, studenci. W tej sferze nic już nie jest tajemnicą czy „prywatną sprawą”. Przekonują o tym kolejne tzw. coming outy czy rozmaite parady, gdzie perwersja miesza się z tupetem. Liczbę tzw. agencji towarzyskich, czyli zwykłych domów publicznych, w których świadczy się usługi seksualne, szacuje się na prawie

20 tys. To więcej niż liczba szkół podstawowych w Polsce. Z prostytucji żyje około 180 tys. niewiast, to nieco mniej niż połowa liczby wszystkich nauczycieli w Polsce. Jawnie działają kluby swingersów, kluby dla homoseksualistów i tematyczne portale internetowe. Istnieją też stowarzyszenia i organizacje skupiające osoby homoseksualne. Płciowość stała się na tyle istotna, że pojawiają się już kwestionariusze (nawet w badaniach naukowych), w których można zaznaczyć, że jest się kobietą, mężczyzną, osobą niebinarną.

Ostatnie manifestacje uliczne z bardzo licznym udziałem kobiet, głównie w młodym wieku, odsłoniły jeszcze jeden wymiar somatyzacji. To życie poczęte. Hasło: „Moje ciało należy do mnie”, to kwintesencja tego, co musiało przyjść po rewolucji 1968 r. (wiernej kontynuatorce haseł francuskiej rewolucji), to plemienny egoizm. Czyli ograniczenie plemienia do siebie samego, plemienia jednoosobowego. Porozumienie protestujących jest całkowicie pozorne i ogranicza się do powtarzania tych samych do znudzenia sloganów, wypisanych na takiej samej tekturze. Tak naprawdę strumienie maszerujących przez Warszawę ludzi, z których najliczniejszą grupę stanowią młode kobiety, to chaos, tyle że ogarnięty symetrycznością i geometrią ulic. To jak chmara owadów zamkniętych w sześciennym akwarium. Gdyby z tego miał się narodzić jakiś ruch społeczny, jakaś nowa – bez względu na jej ocenę etyczną – inicjatywa, to już by się to stało. Takie rzeczy powstają natychmiast albo wcale. Natychmiast się to dzieje, gdy istotnie wypełniają jakąś lukę i są w tym oryginalne. A wcale się nie dzieje, gdy są tylko zwykłą fiestą, draką, dumą indywidualizmów.

Tak było z KOD, tak było z Obywatelami RP. O coś zupełnie innego chodzi frontmankom „pokojowych spacerów” (uprawianych skądinąd pod hasłem: „To jest wojna”) – mają tu do załatwienia własny interes, a o coś innego każdemu z jego uczestników. Z sumy plemiennych egoizmów nie wyłoni się jednak żadna harmonia ani porozumienie, lecz samonapędzające się zamieszanie, które osiągnąwszy



punkt krytyczny, może poskutkować wyłącznie walką każdego z każdym, walką wielu mikroplemion naraz. O ile „dziadersi” chcą jeszcze coś wiedzieć, coś oglądać, czytać, a w porywach jeszcze nawet zwiedzać, o tyle „dziewuchy” chcą tylko doznawać. I nie idzie tu wyłącznie o seks, który trzeba tak zabezpieczyć aborcją, aby przestał niepokoić, ale o fun, o krzyk, o reakcje zgorzogniętych współobywateli, o rytualne i prawie pierwotne zachowania wynikające z tej dziwacznej plemienności rozpisanej na jednostki. Te manifestacje to odmiana „haju”, „naćpania”. Tyle że bez wspomagaczy zewnętrznych.

JEDYNIĘ SŁUSZNE JA

Sprowadzenie obywatelskości i wynikających z niej praw do poziomu somatycznego, czyli „wolności od” wszelkich ograniczeń ciała, musiało zaowocować społecznym pęknięciem. Sąsiedują tu bowiem z sobą pokolenia wychowane na Solidarności (czyli polskiej wersji braterstwa) i pokolenie naszego prząsnego kapitalizmu kojarzonego z handlem z łózek polowych czy popularnymi onegdaj straganami „szczękami” i „zachodnimi” towarami opatrzonymi dyskretnie napisami „made in Taiwan”, okresem dzikiej prywatyzacji i powstawania błyskawicznych fortun w stylu Art-B. O ile jeszcze pokolenie obecnych 60-latków ma jakiś wspólny mianownik, do którego może się odwołać – działalność opozycyjna, Solidarność, tragedia stanu wojennego, pielgrzymki Jana Pawła II do Polski czy choćby „Orły” Górskiego, o tyle obecne młode pokolenia Polaków takich trwałych punktów identyfikacyjnych zupełnie nie mają.

Moja doktorantka robiła rok temu badania nad prawie 200-osobową próbą maturzystów. Pytała między innymi o grupy rówieśnicze i skłonność do ich współtworzenia. Ponad 60 proc. tych młodych ludzi deklarowało rezerwę czy wręcz niechęć do takiej aktywności, ponad 30 proc. wystarczą media społecznościowe i kontakty z sympatią. Paczki, nieformalne grupy kontaktu bezpośredniego stanowią potrzebę

mniej niż 10 proc. badanych! Dość prosto tu upatrywać winę komputerów w ich różnych postaciach, portalach społecznościowych czy vlogów. Ale dlaczego by wykluczyć, że ta komputerowa alienacja nie jest przyczyną, lecz jednym ze skutków przekształcającym kształt życia społecznego? Może to nie magnetyzm życia online, ale wypychanie młodych w objęcia internetu, a tym sa-

Żadnych umów, żadnych reguł i żadnych zobowiązań. Tak wygląda nowa wolność. Nabluzgać Kaczorowi, policjantom, Kościołowi, wszak nabluzgać można każdemu, bo jest równość. To nowe odczytanie francuskiej triady, nowe dla nowego człowieka

mym reprodukcje jednoosobowej plemienności? Bardzo łatwo tu pomylić przyczynę ze skutkiem.

Dostępność technik rejestracyjnych zaowocowała też modą na fotografie w stylu „selfie”, co oznacza (do angielskiego self) „sobie samemu”, „siebie samemu”. Nawet jeśli na takim zdjęciu jest ktoś jeszcze, to na zasadzie „JA i Szy”, „JA i Hołownia”, „JA i Wałęsa”. Nowa, jednoosobowa plemiennność podniosła JA do rangi symbolu czy dogmatu parareligijnego. Nie bez przyczyny można spotkać hasła: „Kocham siebie” czy „Kochaj siebie, wszyscy inni są już zajęci”. Owo JA nie chce przyjmować ani wiedzy, ani żadnych komunikatów, a zwłaszcza jakichkolwiek ograniczeń. W ogóle nie chce się porozumiewać. Za to bardzo chce komunikować swoją obecność.

TREŚĆ SUROWO WZBRONIONA

Jeśli przyjrzeć się pod tym kątem „pokojowym spacerom”, to można zobaczyć

nie kobiety, matki, feministki, aborcjonistki czy homoseksualistów, lecz tyśiące JA, które cokolwiek krzyczą, cokolwiek wypisują na kartonach, to i tak zawsze jest to tylko JA.

Tutaj każdy megafon jest dobry. Czy będzie przeciwko Trybunałowi Konstytucyjnemu, czy przeciwko rządowi, przeciwko Kościołowi – nieważne. Bo nie o treść tutaj chodzi, ale o donośność krzyku. Uporczywe doszukiwanie się znaczeń czy treści jest jak pytanie banana, dlaczego jest żółty. Tu nie ma treści, tak samo jak nie ma jej w waleniu w bęben. To znakomicie zwalnia z konieczności mówienia z jakimkolwiek sensem, uwalnia od tłumaczenia plemionom nieznanego celu ich krzyku. Celem jest wrzask, a nie to, co miałby on znaczyć. Treść jest tu tak samo znienawidzona jak władza. A kto wie, czy nie bardziej.

Lecz treść można wymyślić i ją przypisać. I to właśnie robią publicyści, dziennikarze, eksperci, uczeni, a nade wszystko politycy. Odbijają się jednak od tych marszów, jak od stalowej ściany. Bo marsze nie chcą treści ani tych, którzy z nimi przychodzą. A ich frontmanki za nic na świecie nie oddadzą nawet skrawka swojej pozycji, bo jest im ona potrzebna do walki o stare, a rzecz by konserwatywne i dobrze znane profity, takie jak pieniądze, władza, popularność i dostatnie życie. Nie po to posłuchały Rousseau, żeby teraz z kimś zawierać umowę. Nie zawrą jej nawet z jednoosobowymi plemionami skandynawskimi: „W...ć”. Zwłaszcza nie z nimi. Daleko zza wszelkich kul i z głębokiego cienia dopilnuje tego pewien miliarder żydowsko-węgierskiego pochodzenia.

Żadnych umów, żadnych reguł i żadnych zobowiązań. Tak wygląda nowa wolność. Nabluzgać Kaczorowi, policjantom, papieżowi, prezydentowi, premierowi, Kościołowi, wszak nabluzgać można każdemu, bo jest równość. To nowe odczytanie francuskiej triady, nowe dla nowego człowieka. I prędzej czy później, to tylko kwestia czasu, w tej klatce pojawią się prawdziwi pogromcy dziczy, którym też będzie wszystko wolno. Tylko kwestia, którą bramą wejdą i z której strony.

Nawalny uderza w Putina w Dzień Czekisty

Leonid Gozman, rosyjski publicysta i opozycyjny polityk, napisał, że „nie może sobie wyobrazić lepszego prezentu na Dzień Czekisty niżli ten, który zrobił nam wszystkim Aleksiej Nawalny”. Filmy opublikowane przez Nawalnego, bo o nich tu mowa, ukazują kulisy państwowego zamachu na jego życie



MAREK BUDZISZ

Z kolei Jewgienij Sawostianow, emerytowany generał Federalnej Służby Bezpieczeństwa, z goryczą napisał na swojej stronie na Facebooku: „Nigdy nie widziałem takiego profesjonalnego upokorzenia: mieszanka bandytyzmu i debilizmu na całej linii. Dzięki organizatorom i wykonawcom zamachu honor naszego kraju został tak upokorzony, że teraz biały to kolor ciała Nawalnego, niebieski to kolor jego majtek, czerwony to trucizna na szaszetce”.

Z pewnością niebieskie męskie bokserki, takie jak te, na które agenci – nieudacznicy z FSB – nanieśli truciznę nowiczok, a potem dwukrotnie je czyścili i prali, aby usunąć jej ślady, są jedną z najpopularniejszych w ostatnich dniach

części garderoby w Rosji. W Petersburgu zwolennicy Aleksieja Nawalnego usypali nawet z męskiej bielizny stos na schodach lokalnej delegatury FSB i umieścili obok tablicę, na której napisali: „Uprać do jutra, ojczyzna nie będzie czekać”.

Te wypowiedzi, happeningi, pikety odwołują się do opublikowanej przez Aleksieja Nawalnego długiej, ponad 40-minutowej, rozmowy z Konstantinem Kudriawcewem, chemikiem, członkiem specjalnego zespołu FSB (choć raczej należałoby napisać „szwadronu śmierci”), który przez lata śledził rosyjskiego polityka i próbował go otruć w sierpniu tego roku. W rozmowie, którą w ciągu sześciu dni obejrzało niemal 21 mln osób, Kudriawcew powiedział, że



nowiczok został naniesiony na szwy bielej opozycjonisty, a następnie, jak ten trafił nieprzytomny do szpitala w syberyjskim Tomsku, specjalny zespół agentów dwukrotnie je czyścił, aby usunąć ślady przestępstwa.

Poprzedni film Nawalnego, opublikowany 14 grudnia, w którym rosyjski opozycjonista, wykorzystując materiały śledztwa dziennikarskiego „The Bellingcat” oraz „The Insider”, ujawnił, że w ramach rosyjskiego FSB powstała specjalna grupa agentów – lekarzy i chemików – którzy od 2017 r. śledzili go i co najmniej dwukrotnie wcześniej próbowali otruć, obejrzało już 21 mln ludzi. Te liczby są istotne – dla porównania: niedawną konferencję prasową Władimira Putina, która w zamyśle władz jest wielkim propagandowym show rosyjskiego prezydenta (transmitowaną na żywo przez wszystkie kanały telewizyjne kraju), oglądała raptem 7,5-milionowa widownia.

ŚMIECH I POLITOWANIE

Z badań opublikowanych przez opozycyjny portal Otkrytyje Media wynika, że w ubiegłym roku Aleksiej Nawalny był na czwartym miejscu wśród polityków najczęściej wymienianych w rosyjskich mediach. Mówiono o nim ponad 330 tys. razy. Nie miał szans z Władimirem Putinem (ponad 4 mln), ale przewaga innych nie była już tak wielka (drugi w tym rankingu był premier Michaił Miszustin (837 tys.), trzeci mer Moskwy Siergiej Sobianin (670 tys.)). Jak na opozycjonistę, którego nazwiska Putin nie chce wymienić, nazywając Nawalnego w czasie konferencji prasowej „pacjentem berlińskiej kliniki”, to i tak świetny wynik, świadczący o tym, że monopol informacyjny władzy jest nadwątlony, a w przypadku młodej generacji Rosjan w ogóle nie można mówić o tym, że przekaz Kremla konstruuje to, jak postrzegają oni i interpretują świat.

Ale nie to jest dziś głównym problemem Kremla. Otóż Nawalny, publikując w tygodniowym odstepie dwa materiały na temat swego otrucia, w istocie zastawił pułapkę na Władimira Putina, w którą rosyjski prezydent dał się złapać. Obnażone zostały jego kłamstwa, ale też ośmieszono wizerunek profesjonalnego

czekisty, człowieka, który zna się na tajnej robocie. Nic tak nie osłabia autorytarnych reżimów jak to, że strach, które one wzbudzają, przeobraża się w śmiech i politowanie.

SPECJALNA GRUPA

Opublikowany przez Nawalnego 14 grudnia bardzo dobrze udokumentowany film udowodnił, że rosyjskie władze, a konkretnie FSB, powołały specjalną grupę złożoną z chemików, wcześniej pracujących w rzekomo zlikwidowanych laboratoriach wytwarzających śmiertelne substancje w rodzaju nowiczoka, oraz lekarzy. Jej członkowie przez trzy lata kilkadziesiąt razy latali po całej Rosji, śledząc opozycjonistę, a w co najmniej dwóch wcześniejszych przypadkach można mówić o tym, że podjęte zostały próby jego zgładzenia. Akcja zaczęła się po tym, jak w 2017 r. Nawalny poinformował, że zamierza rywalizować z Putinem w zbliżających się wyborach prezydenckich.

Do tych rewelacji nie mógł się nie odnieść prezydent Federacji Rosyjskiej w trakcie swej corocznej wielkiej konferencji prasowej. – Tak śledziliśmy go – odpowiedział na pytanie jednego z dziennikarzy – ale gdybyśmy chcieli, to doprowadzilibyśmy sprawę do końca.

Jak się uważa, w świetle przedstawionych przez opozycjonistę materiałów „pójście w zaparte” nie było możliwe i w związku z tym Putin musiał potwierdzić fakt istnienia specjalnej grupy operacyjnej, która „nadzorowała” Nawalnego. Dlaczego była złożona z lekarzy i chemików, rosyjski prezydent, co mu zresztą Nawalny od razu wytknął, nie wyjaśnił. Kolejne elementy oficjalnej narracji Putina składały się na przekaz, który potem w tysiącach artykułów w kontrolowanych przez władze mediach został powtórzony – dochodzenie Nawalnego oraz „The Bellingcat” są w istocie legalizacją materiałów zgromadzonych przez zachodnie służby specjalne, co wskazuje na to, że rosyjskie władze dobrze robiły, mając oko na opozycjonistę, bo jest on nim tylko z nazwy, a w istocie ma wiele wspólnego z dywersyjną robotą Zachodu wobec Federacji Rosyjskiej. Podobne tezy zawierało specjalne oświadczenie FSB.

Drugi materiał Nawalnego, nagrany w tym samym czasie co pierwszy, ale

celowo opublikowany z opóźnieniem, obala tę narrację Kremla zupełnie, co zresztą widać było po reakcji oficjalnej propagandy, która nie do końca wiedziała, jak się do tego odnieść. Otóż Nawalny dodzwonił się do jednego z członków specjalnej grupy FSB, która śledziła go przez cztery lata. Podając się za asystenta sekretarza rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa Nikołaja Patruszewa, który uchodzi w Rosji za jastrzębia, nagrał 40-minutową rozmowę z Konstantinem Kudriawcewem, chemikiem z FSB, który miał za zadanie m.in. zacieranie śladów przestępstwa. Z rozmowy wynika, że operacja jego otrucia nie powiodła się z dwóch powodów. Po pierwsze, pilot samolotu lecącego z Omska do Moskwy, na którego pokładzie opozycjonista źle się poczuł, zdecydował się zawrócić i awaryjnie lądował w Tomsku. Gdyby poleciał kilkanaście minut dłużej, „byłoby po wszystkim”. Po drugie, zespół z pogotowia ratunkowego, który przyjechał na tomskie lotnisko, podał opozycjonistę atropinę, co osłabiło zabójcze działanie nowiczoka. Lekarz wydał takie zalecenie, bo miał wątpliwości co do objawów, a że pacjentem był Nawalny, to mogło dojść – jak przypuszczał – do otrucia. Trochę to też mówi o stanie nastrojów w Rosji, gdzie lekarz z pogotowia w prowincjonalnym syberyjskim Tomsku, który widzi nieprzytomnego opozycjonistę, wie, że może chodzić o zamach na jego życie.

Kudriawcew powiedział też Nawalnemu, że latał dwukrotnie do Tomska, aby przy użyciu specjalnych odczynników zetrzeć ślady nowiczoka z jego bielej, co oczywiście nawet w świetle rosyjskiego prawa stanowi przestępstwo, polegające na fałszowaniu dowodów.

NIETYDOLNY, SKORUMPOWANY SYSTEM

Julia Łatynina, znana rosyjska publicystka powiązana z opozycją, zwróciła uwagę na jeszcze jedną intrygującą okoliczność całej historii. Otóż o tym, że system zmurszał, działa niewydolnie i jest już niesprawny, świadczy jej zdaniem również to, że Nawalny nagrał rozmowę z Kudriawcewem 14 grudnia, a 17 grudnia Putin miał swoją „wielką” konferencję prasową, podczas której przedstawił ofi-

cialną narrację władz na temat pierwszego materiału Nawalnego, najwyraźniej nie wiedząc, że został nagrany członek grupy specjalnej. A to świadczyć ma o tym, że agent specjalny Kudriawcew nie złożył raportu z rozmowy, która – co też ciekawe – nie odbywała się przy użyciu specjalnego, bezpiecznego połączenia. Nawalny po to, aby zmylić swego rozmówcę, posłużył się jedynie programem zmieniającym numer telefonu, z którego dzwonił.

Christo Goziew, bułgarski dziennikarz śledczy uczestniczący w międzynarodowym śledztwie dziennikarskim, które przyczyniło się do ujawnienia istnienia grupy trucicieli z FSB, wyjawiał w jednym z wywiadów, że w posiadaniu „The Bellinca”, z którym jest związany, znajdują się liczne rosyjskie bazy danych – telefonów komórkowych, billingów, logowania się telefonów do stacji bazowych, pasażerów samolotów, dokumentów, akt, w tym paszportowych i z ewidencji ludności, rejestracyjnych samochodów, włącznie z pojazdami używanymi przez resorty siłowe. Wszystko to „za niewielkie pieniądze” można kupić na rosyjskim czarnym rynku.

Zdaniem rosyjskich komentatorów, którzy potwierdzają dostępność tego rodzaju z założeń tajnych informacji, świadczy to o tym, że państwo, nie wyłączając służb specjalnych, jest już tak przeżarte korupcją, iż handluje się wszystkim, co ma jakąkolwiek wartość, a urzędnicza bezmyślność i prowizorka osiągnęły rozmiary porównywalne z późną epoką Breżniewa, kiedy już wszyscy wiedzieli, że system dożywa swych ostatnich dni.

Jeden z komentatorów napisał, że różnice między czasami Putina a zmierzchem ZSRR widać gołym okiem. Kiedy w 1987 r. na placu Czerwonym wylądował swą cesną Mathias Rust, kompromitując w ten sposób rosyjskie siły zbrojne, do dymisji natychmiast podał się ówczesny minister obrony Siergiej Sokołow, plotki wręcz głosiły, że ośmieszony chciał dopełnić samobójstwo, a z wojska zwolnionych zostało 2 tys. oficerów, którzy zdaniem władz zaniedbali swe obowiązki. Teraz podobnej reakcji, w jego opinii, nie będzie. I rzeczywiście, władza idzie w zaparte.

PRZEKONAĆ SWOICH

Media nadal lansują tezę o tym, że rewelacje Nawalnego to w istocie rozgrywka zachodnich służb specjalnych, a żaden Kudriawcew nie istnieje. Nieco przeczy temu to, że Liubow Sobol, współpracowniczka opozycjonisty, która chciała nagrać wypowiedź Kudriawcewa i w tym celu udała się do jego mieszkania, została już oficjalnie oskarżona o „naruszenie miru domowego”, ale rosyjskim władzom tego rodzaju drobne niekonsekwencje naj-

Nawalny, publikując w tygodniowym odstepie dwa materiały na temat swego otrucia, w istocie zastawił pułapkę na Władimira Putina, w którą rosyjski prezydent dał się złapać. Obnażone zostały jego kłamstwa, ale też ośmieszono wizerunek profesjonalnego czekisty, człowieka, który zna się na tajnej robocie

wyraźniej nie przeszkadzają. Przecież oficjalna propaganda przekonywała już, że Nawalny zażywał narkotyki i w wyniku ich przedawkowania wpadł na pokładzie samolotu w śpiączkę, potem była mowa o cukrzycy, o tym, że w czasie swej syberyjskiej eskapady pił samogon niewiadomego pochodzenia, wreszcie w oficjalnym komunikacie lekarskim pojawiły się informacje o „naruszeniu metabolizmu”. Głoszono, że to sam opozycjonista się otruł, aby wywołać sensację i sprawić kłopot rosyjskim władzom. Inna z wersji mówiła o tym, że otruł go jego współpracownicy albo wręcz niemieckie służby specjalne podały mu już w Berlinie nowiczołka po to, aby oskarżyć o to Rosję. Zgodne ekspertyzy laboratoriów z Niemiec, Francji i Szwecji uznano za sfałszowane, a ostatnio opublikowany przez niemieckich lekarzy w renomowanym periodyku medycznym

„The Lancet” raport z leczenia Nawalnego pominięto milczeniem.

Paradoksem jest to, że w Rosji nawet nie wszczęto oficjalnego dochodzenia w celu wyjaśnienia okoliczności otrucia własnego obywatela. Władze zasłaniają się brakiem informacji i pomocy prawnej ze strony niemieckiej, ale wystarczyło im determinacji i stanowczości, gdy chodzi o ściganie protestujących przedstawicieli opozycji.

Charakterystyczna jest tu wypowiedź rzecznika Kremla Pieskowa (już po opublikowaniu obydwu filmów przez Nawalnego), który dość nieskładnie argumentował, że opozycjonista ma obsesję na własnym punkcie, uważa się za Chrystusa, a jego opowieści na temat zatrucia bielizny byłyby dobrym materiałem dla Freuda.

Strategia rosyjskich władz z oczywistych względów (na świecie Putin i jego ekipa mają zerową wiarygodność) zogniskowana jest na rodzimej opinii publicznej. Wydaje się zresztą, mimo jawnej toporności propagandowych klisz, skuteczna. Z ostatniego badania przeprowadzonego przez Centrum Lewady wynika, że 30 proc. z grona tych, którzy słyszeli o otruciu opozycjonisty (78 proc. Rosjan wie o wydarzeniu), jest zdania, że „żadnego otrucia nie było, wszystko to inscenizacja”, a kolejne 19 proc. uważa, iż za całą sprawą stoją zachodnie służby specjalne. Chyba że mamy do czynienia ze zjawiskiem kilkakrotnie już w historii obserwowanym, kiedy autorytarna władza w sondażach cieszyła się poparciem, bo ludzie wiedzieli, co trzeba mówić, a potem następował wybuch.

Czy Rosję czeka podobny scenariusz, czy ruszy lawina? Trudno powiedzieć. W czasie niedawno odbywającego się spotkania partii komunistycznych wodzących się z krajów byłego ZSRR zgromadzeni aktywiści zapowiedzieli powtórkę z białoruskiego scenariusza wiosną w Rosji. Jeśliby tak się stało, to zapewne po latach historycy, tak jak genezy polskiego Sierpnia szukają w pierwszej pielgrzymce Ojca Świętego do ojczyzny, tak źródeł rosyjskich protestów poszukiwaliby w filmach ujawniających kulisy państwowego zamachu na życie Aleksieja Nawalnego.

Brexitowe wigilijne cuda

Nigdy dotąd Unia Europejska nie dała żadnemu krajowi tak korzystnych warunków handlu i współpracy – jak te, które w traktacie wigilijnym otrzymała Wielka Brytania



JAN ROKITA

Zapewne byli tacy (na przykład niżej podpisany), którzy się spodziewali, iż brawurowy styl negocjacyjny Borisa Johnsona przyniesie mu niezłe efekty, jednak takiej skali negocjacyjnego triumfu chyba mało kto się mógł spodziewać. W samym finale rokowań Unia pogodziła się ze spektakularnym odejściem od zasady, którą od czasu sławnego brytyjskiego referendum 2016 r. ogłaszała dziesiątki razy, jako granicę, której nigdy nie wolno przekroczyć: integralności jednolitego rynku i niepodzielności tzw. czterech swobód. Znaczyło to, iż jeśli ktoś z zewnątrz chce mieć swobodny dostęp handlowy do unijnego rynku, to musi podporządkować się także unijnemu prawu, unijnym normom i unijnym sądom. Tymczasem Johnson zagwarantował swobodny dostęp dla brytyjskich towarów wedle reguły „zero cel i zero kwot”, odzyskując jednocześnie pełnię brytyjskich praw suwerennych, gdy idzie właśnie o prawo, normy i sądy. Od 1 stycznia 2021 r. Wielka Brytania może nadal handlować swoimi towarami w Europie w zasadzie tak samo jak do tej pory, ale nie musi respektować ani unijnych dyrektyw, ani wyroków unijnych trybunałów; może za to sama ustalać reguły działania brytyjskiego biznesu oraz wszelkie normy dla swych produktów. Jakby tego nie było dosyć,

Premier Wielkiej Brytanii
Boris Johnson

Szefowa
Komisji
Europejskiej
Ursula
von der Leyen

Unia zgadza się, aby Londyn zniósł swobodę podróżowania, studiowania, tworzenia biznesu i podejmowania pracy w Wielkiej Brytanii. Czyli zgadza się na rozdzielenie „czterech swobód”: z Europejczykami z kontynentu Anglicy będą nadal swobodnie handlować, ale z tego wcale nie wynika, że przez to będą obowiązywać na równych prawach do swojego kraju.

CUDA, CUDA OGŁASZAJĄ

Wszystko to wydarzyło się ostatecznie w ubiegłoroczne wigilijne popołudnie i doprawdy trudno było tamtego dnia nie odnieść wrażenia, że w roku 2020 Wigilia Bożego Narodzenia staje się czasem politycznych cudów. Sam muszę przyznać, że późną wigilijną nocą, po powrocie z pasterki, z narastającym zdumieniem czytałem sprawozdania z kolejnych punktów zapadłych właśnie uzgodnień. Bo przecież nie tylko przywódcy państw i instytucji unijnych musieli tamtego dnia w pewnym sensie zjeść własny język, zaprzeczając faktami swoim wcześniejszym twardym deklaracjom. Zdarzyły się także inne cuda.

Prezydent Macron nie wspominał nawet o możliwości francuskiego weta, choć jeszcze całkiem niedawno Paryż z całą solennością zapewniał, iż użycie tego suwerennego prawa, jeśli traktat miałby nie odpowiadać unijnym pryncypiom. Kompletnie bez znaczenia okazały się także sztywne wymogi czasowe, które miały definitywnie uniemożliwić zawarcie i ratyfikację traktatu przed końcem roku. Teraz się okazało, że choć Parlament Europejski nie ma zamiaru pracować między świętami i sylwestrem (choć do pracy przystąpiła niezwłocznie Izba Gmin), to nie ma prawnych przeszkód, aby traktat wszedł w życie już 1 stycznia „tymczasowo”, nawet bez wymaganych

procedur prawnych. Swego rodzaju cud polityczny zdarzył się także w Londynie. Najwyraźniej opozycyjna Partia Pracy była na tyle zaskoczona efektami negocjacji, że z dnia na dzień zerwała z dotychczasową polityką bezwzględnej krytyki stylu negocjacyjnego premiera, zapowiadając... poparcie brexitowej umowy w głosowaniu w Izbie Gmin.

ZERO CEŁ I ZERO KWOT

Zróbmy zatem kalejdoskopowy przegląd wigilijnych ustaleń, bo przecież tylko na ich podstawie można sobie wyrobić opinię o nowym traktacie. „Zero cel i zero kwot” – to swoisty rdzeń, wokół którego budowana jest cała umowa. Brytyjskie produkty mogą zatem być nadal sprzedawane na wielkim rynku unijnym „as usual”. Ale co to znaczy „brytyjskie produkty”? Johnson nakłonił Unię do uznania, iż za produkt „made in Britain” będzie uznawane to wszystko, co zawiera materiały i technologie brytyjskie, ale także (uwaga!)... któregoś z krajów Unii. Nawet produkt faktycznie japoński czy kanadyjski może się stać „made in Britain”, o ile tylko brytyjsko-unijny wkład w jego wytworzenie wyniesie 60 proc. Normy i standardy produktów brytyjskich będzie określać tylko brytyjskie, a nie unijne prawo. Jeśli zatem producenci zechcą eksportować swoje wyroby, to będą zmuszeni respektować normy zarówno angielskie, jak i europejskie.

Tylko Londyn będzie miał prawo określać, (uwaga!) jaki biznes może otrzymywać pomoc publiczną. To wyłom w samej konstrukcji jednolitego rynku, na którym Komisja Europejska jest bezwzględnym strażnikiem zakazu pomocy publicznej dla firm, zgodnie z regułami uczciwej konkurencji. Brytyjskie media są zgodne, że to ustępstwo Brukseli jest bodaj największe i najmniej oczekiwane.

Traktat określa „minimalne wspólne standardy” ekologiczne, socjalne oraz w dziedzinie prawa pracy. Ale Unia niemal do końca walczyła o tzw. level playing field. Czyli o regułę, wedle której każda zmiana standardów ekologicznych, pracowniczych czy socjalnych w Unii zmuszałaby Wielką Brytanię do pójścia tym samym tropem, pod rygorem jednostronnych unijnych retorsji. Johnson

odrzucał to kategorycznie, nabijając się, iż Bruksela by chciała zmusić fryzjerów londyńskich, aby zawsze strzygli wedle mody brukselskiej. Unijna reguła została odrzucona, a jej śladem w traktacie jest zaledwie prawo każdej ze stron do wszczęcia przeglądu minimalnych standardów i doprowadzenia do arbitrażu, jeśli by poczuła, że wzajemne pole gry w biznesie przestaje być dostatecznie równe. Konstrukcja owego arbitrażu jest kluczowym efektem suwerennościowych postulatów Johnsona. Unia chciała, aby sprawowały go unijne sądy i Trybunał Luksemburski, tak jak to się dzieje pomiędzy państwami członkowskimi. Traktat tymczasem postanawia o stworzeniu brytyjsko-europejskiej komisji międzyrządowej, która faktycznie będzie nadzorować wprowadzanie nowych reguł w życie, zarazem w ciągu 30 dni rozstrzygać spory w trybie arbitrażowym. Na pierwszy rzut oka widać, że w ten sposób Bruksela wyrzeka się wszelkich możliwości narzucenia Londynowi takich reguł, których rząd angielski nie chciałby uznać.

Ostatecznie upadła idea tzw. backstopu, który miał polegać na groźbie wprowadzenia granicy celnej wewnątrz kraju, pomiędzy Brytanią i Irlandią Północną. Backstop upadł, gdyż w obliczu zasady „zero cel i zero kwot” przestał być do czegośkolwiek potrzebny. Ale warto przecież pamiętać, że jeszcze niedawno premier May straciła władzę na rzecz Johnsona właśnie dlatego, że za uchylene groźby backstopu była gotowa zapłacić dalszym podporządkowaniem kraju unijnemu prawu i unijnym sądom. Johnson odrzucił taką cenę za dostęp do jednolitego rynku i uzyskał go bez takiego upokarzającego warunku.

Na dobrą sprawę jedyną porażką negocjacyjną Johnsona jest wyjęcie z traktatu rynku audiowizualnego. W efekcie ok. 1,4 tys. nadawców brytyjskich (1/3 dotychczasowego rynku unijnego) nie może już sprzedawać swoich usług na kontynent, chyba że umieszczą w którymś z krajów unijnych część swego biznesu. To było kategoryczne żądanie prezydenta Macrona, który w odizolowaniu anglojęzycznych nadawców zobaczył zapewne szansę na ekspansję języka i kultury francuskiej. To z jednej strony tradycyjna polityka francuska,

z drugiej zaś – cena, jaką Johnson zapłacił za brak francuskiego weta do traktatu.

Rybacy europejscy muszą zmniejszyć swoje połowy w brytyjskiej strefie ekonomicznej (300 mil) o 1/4, a na wodach terytorialnych (12 mil) będą mogli łowić tylko na mocy rocznych umów zawieranych z Londynem. Pracowników delegowanych obie strony będą mogły wysyłać tylko na 90 dni, i to pod warunkiem uzyskania pozwolenia na pracę (wyjątek zrobiono dla specjalistów i menedżerów). Londyn przestanie automatycznie uznawać zagraniczne dyplomy lekarzy, pielęgniarzek, inżynierów, architektów, farmaceutów i weterynarzy. Wielka Brytania rezygnuje z Europejskiego nakazu aresztowania oraz unijnej współpracy policyjnej i sądowej w ramach Europolu i Eurojustu. Kończy się swoboda poruszania się, zatrudnienia, studiowania i prowadzenia biznesu: wjazd obcokrajowców na czas powyżej 90 dni będzie wymagać brytyjskiej wizy. Johnson zrezygnował także z unijnej wymiany studentów w ramach programu Erasmus, gdyż Unia zażądała za to zbyt wysokiej sumy pieniędzy. Zapowiedział przy tym, że zamiast tego Londyn zawrze umowy o wymianie studenckiej z najlepszymi uniwersytetami świata (jeśli te standardy Johnsona faktycznie zostaną utrzymane, to z pewnością nie będą to niestety polskie uniwersytety). Transport i lotnictwo pozostają jak dotąd, Londyn zostaje bowiem członkiem unijnej Jednolitej Przestrzeni Powietrznej.

MOŻLIWE POLA KONFLIKTÓW

Z tego rzutu oka na główne postanowienia traktatu dwie rzeczy przebijają bardzo wyraźnie. Pierwsza to ta, że sporo oczywistych konfliktów zostało w ostatniej chwili „wypchniętych” w przyszłość, więc staną zapewne wkrótce na forum nowo tworzonego unijno-brytyjskiego arbitrażu. To dotyczy np. wrażliwej kwestii „równego pola gry” dla biznesu, gdyż na kontynencie panuje strach, iż za chwilę torysi przemienią Anglię w Singapur nad Tamizą, deregulując gospodarkę, czyszcząc ją z unijnej nadregulacji i dając jej tym samym im-

pet konkurencyjności. Można się zatem spodziewać, że pod hasłem owego arbitrażu kłótnie i spory brytyjsko-unijne staną się nową polityczną codziennością Europy. I zapewne wkrótce pojawi się cały zastęp urzędników i ekspertów tylko od tego problemu.

Rzecz druga zaś – to fakt, iż wbrew temu, na co jakiś czas temu była gotowa się zgodzić premier May, Johnson prze-forsował w Unii faktyczne uznanie dla suwerenności monarchii brytyjskiej. Bruksela wycofała się w końcu z wszystkiego, co prowadziłoby do obowiązku podporządkowania się Wielkiej Brytanii jakimkolwiek decyzjom organów Unii. Żadnych sporów Anglii z UE nie może rozstrzygać Unia, co na zdrowy rozsądek może się wydać truizmem,

Z Europejczykami z kontynentu Anglicy będą nadal swobodnie handlować, ale z tego wcale nie wynika, że przez to będą obowiązani wpuszczać ich na równych prawach do swojego kraju

czego jednak Bruksela przez długi czas absolutnie nie chciała akceptować. A dla Johnsona jest to kwestia kluczowa, gdyż stanowi ona wypełnienie obietnicy, jaką złożył Anglikom jeszcze jako lider referendum kampanii „Leave”, a następnie jako premier, który z tego powodu doprowadził do dymisji Theresy May. Krótko mówiąc – tu właśnie tkwi istota wiarygodności Johnsona dla brytyjskiej opinii publicznej.

Oczywiście Johnson ma ogromną zasługę dla swego kraju, ale też miał niesłychanie dużo szczęścia w tych negocjacjach. Jego zasługą jest przede wszystkim to, że na przekór niezliczonym przeciwnościom i oskarżeniom, także we własnym kraju, potrafił ustawić się w negocjacjach w roli sui generis szaleńca, który dla brexitu i suwe-

renności kraju gotów pójść nawet na najbardziej szalone ryzyko. Taką gebę wyrobiły mu też europejskie media, nieświadome tego, że w ten sposób tańczą wedle muzyki granej właśnie na 10 Downing Street. W polityce dobrze znana jest prawda, iż najtrudniejsze negocjacje wygrywa ten, komu uda się przekonać partnera, iż sam jest „szaleńcem”, więc jeśli mu się nie ustąpi, to doprowadzi do katastrofy. Z pełną premedytacją Johnson zapowiadał więc tzw. bezumowny brexit, czynił doń ostentacyjne przygotowania i usuwał z list wyborczych „rozsądnych” torysów, którzy domagali się szybkich ustępstw wobec Brukseli.

Jednak ta ryzykowna taktyka nie musiałaby wcale przynieść sukcesu, gdyby nie kluczowa rola jeszcze jednej, nieeksploatowanej w bezpośrednich negocjacjach postaci, która od początku dbała o pokojowe i życzliwe dla Wielkiej Brytanii warunki rozstania z Unią. Tę przyjazną Anglikom rolę odegrała odchodząca w tym roku kanclerz Merkel. To fakt znamienity, że dramatyczny finał negocjacji nie toczył się już pomiędzy wyznaczonymi delegacjami, ale telefonicznie i na wideo-konferencjach samego Johnsona z niemiecką szefową Komisji Europejskiej. Nawet jeśli przesadne byłoby wyobrażenie, iż von der Leyen w toku tych rozmów w jednej ręce trzymała słuchawkę do brytyjskiego premiera, a w drugiej do swojej przyjaciółki – niemieckiej kanclerz, to nie ma wątpliwości, że zarówno spektakularne ustępstwa Unii w ostatniej chwili, jak i pacyfikacja Macrona niekryjącego się ze swą wrogością wobec brytyjskich interesów musiały być dziełem najwyższego autorytetu politycznego Unii, jakim ciągle jest jeszcze Merkel. Niemieckiej kanclerz zależało na tym, aby jej ostatnia prezydencja w Unii oznaczała rozwikłanie wszystkich największych perturbacji dręczących Unię od lat. Tylko tak mogła bowiem potwierdzić swoją własną historyczną rolę jako rozjemcy i lidera Europy, a zarazem – na chwilę przed swym odejściem – ugruntować niemiecki wpływ na przyszłą europejską politykę.



FERIE PO KRÓLEWSKU ONLINE

W SIEDMIU REZYDENCJACH KRÓLEWSKICH

Wirtualne spotkania dla dzieci i młodzieży

od 4 do 17 stycznia 2021

na stronach internetowych i kanałach mediów społecznościowych: **Facebook, YouTube, Instagram, Twitter**

- ★ **Muzeum oczami dziecka** wirtualne zwiedzanie
- ★ **Zamkowe Trendy** spotkania ze znanymi youtuberami
- ★ **Muzyczny spacer po Rezydencjach Królewskich** warsztaty wokalne
- ★ **Królewskie bajki** dla najmłodszych na dobranoc
- ★ **Konkursy z nagrodami**

Rezydencje Królewskie

Zamek Królewski w Warszawie

Zamek Królewski na Wawelu

Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie

Muzeum Zamkowe w Malborku

Muzeum Okręgowe w Zamku Królewskim w Sandomierzu

Muzeum Narodowe w Lublinie

Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka

Znajdź nas #feriepokrólewsku



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



MUZEUM
ŻUP KRAKOWSKICH
WIELICZKA

Patronat medialny:



enpresa.pl/760bd646b3



Instalacja czasu zarazy

Gdyby ktoś nieznający Ewangelii znalazł się w czasie ostatnich świąt na placu św. Piotra w Rzymie i na podstawie znajdującej się tam szopki bożonarodzeniowej miał wyrobić sobie zdanie o religii chrześcijańskiej, to spokojnie mógłby ją uznać za kult kosmiczny, w którego centrum stoją istoty z innych planet



GRZEGORZ GÓRNY

Watykańska szopka sprawia wrażenie, jakby powstała na podstawie książek Ericha von Dänikena, a nie Ewangelii św. Łukasza, w Betlejem zaś doszło do „bliskich spotkań trzeciego stopnia”, a nie narodzin Jezusa.

SZOPKA MARSJAŃSKA?

W mediach na całym świecie pojawiło się wiele interpretacji wyjaśniających, co mogą oznaczać tajemnicze postaci zaprezentowane w watykańskiej szopce. Wśród setek najróżniejszych wytłuma-

czeń brakowało zazwyczaj jednej – że jest to scena narodzin Jezusa w Betlejem, przedstawiająca Dzieciątka, Maryję, Józefa, trzech mędrców, pasterzy i zwierzęta. Dziwna instalacja przypominała wszystko, tylko nie wydarzenie znane z kart Ewangelii św. Łukasza.

Jedna z bardziej oryginalnych interpretacji mówiła, że jest to szopka czasu zarazy, ponieważ figury poustawiane zostały w znacznej odległości od siebie (zachowują dystans społeczny) oraz nie patrzą na siebie nawzajem, lecz gdzieś daleko w przestrzeń (chcą uniknąć zarażenia drogą kropelkową).

Znany włoski polityk i historyk sztuki Vittorio Sgarbi przestrzegł rodziców, by nie zabierali swych dzieci na plac św. Piotra i nie pokazywali im szopki. „Nie patrzcie na mędrców. Nie spoglądajcie na Dzieciątka Jezusa. Nie spoglądajcie na Dziewicę. Nie patrzcie na św. Józefa. Nie patrzcie na owce, na osła ani na woła, ani na indyki i różne zwierzęta

blakające się w tej przestrzeni. Nie spoglądajcie na nie, bo nie będziecie wiedzieć, co widzicie. Nie rozpoznacie żadnej z wymienionych przeze mnie postaci”.

Jego zdaniem owe karykaturalne figury przypominające bardziej Marsjan niż mieszkańców naszej planety mówią o braku wrażliwości estetycznej i religijnej tych, którzy zdecydowali się na wystawienie takiej szopki. Przez wiele wieków sztuka i wiara spotykały się z sobą, ale w tej instalacji – jak zauważa Sgarbi – nie ma ani sztuki, ani wiary.

SZOPKA GEJOWSKA?

Warto przypomnieć, że sporo emocji wzbudziła już szopka watykańska w roku 2017. Na powierzchni 80 mkw. wyeksponowano wówczas 20 posągów dwumetrowej wysokości. Wśród nich znalazły się postaci, których obecność zaskoczyła wszystkich. Centralną



Fot. Grzegorz Galarita/SIPA/SIPA/Esti News

figurą był leżący na sianie nagi, doskonale umięśniony mężczyzna. Po prawej stronie na stole operacyjnym leżało ciało przykryte prześcieradłem, spod którego zwisała bezwładnie trupioblada ręka. Pochylał się nad nią człowiek w średnim wieku z wyrazem przerażenia na twarzy. Po lewej stronie z kolei widać było wystającą zza krat głowę skazańca. Nad całością górowała zniszczona kopuła bazyliki św. Piotra oraz postać Archaniola Michała z tęczową girlandą z kwiatów.

Jak donosił Breitbart, początkowo Facebook zablokował zdjęcie przedstawiające nagiego mężczyznę w watykańskiej szopce, powołując się na naruszenie regulaminu zabraniającego umieszczania „obrazów o zabarwieniu seksualnym lub prowokacyjnym”. Fotografia została przywrócona dopiero po interwencji.

Komentatorzy zwracali wówczas uwagę, że w przedstawionych scenach nie ma radości, ciepła i zachwyty, charakterystycznych dla tradycyjnych wyobrażeń o wydarzeniach z Betlejem. Potwierdził to zresztą sam twórca owego dzieła, włoski rzeźbiarz Antonio Cantone, który przyznał, że jego zadaniem było przede wszystkim prowokowanie i niepozostawianie nikogo obojętnym.

Na pewno obojętnym nie pozostały włoskie środowiska gejowskie, które szybko uznały szopkę za szczególnie bliską ich sercu. Lider włoskiej organizacji LGBT Arcigay w Neapolu Antonello Sannini nie krył zachwyty: „Obecność tej szopki w Watykanie to dla nas powód do jeszcze większej radości w tym roku. Dla społeczności homoseksualnej i transseksualnej w Neapolu jest to ważny symbol włączania i integracji”.

Głos musieli zabrać przedstawiciele Watykanu, którzy wyjaśnili, że w bożonarodzeniowej szopce zawarte zostały sceny przedstawiające siedem uczynków miłosierdzia względem ciała, np. nagich przyodziać, więźniów pocieszać, umarłych pogrzebać etc.

SZOPKA NIELUDZKA

O ile w szopce sprzed trzech lat znajdowały się alegoryczne sceny odnoszące się w jakiś sposób do Ewangelii, o tyle w tegorocznej instalacji trudno się ich dopatrzeć. Jest w eksponowanych figurach, przypominających roboty lub androidy, coś niezmiernie ludzkiego. Coś zaprzeczającego istocie święt, które są ziemskie, ponieważ Bóg zszedł na ziemię, i ludzkie, ponieważ Bóg stał się człowiekiem.

Pierwszą szopkę w historii zaprezentował w roku 1223 w Greccio św. Franciszek z Asyżu, który prowadził wówczas ożywioną polemikę z katarami. Głosili oni nienawiść do fizycznego świata, ponieważ uważali materię za zło stworzone przez niedobrego demiurga. Ich zdaniem Bóg nie mógł się wcielić w człowieka, gdyż bóstwo nie może być obecne w plugawej materii. W opozycji do nich św. Franciszek głosił pochwałę stworzenia, które musi być dobre, ponieważ pochodzi od najlepszego Stwórcy. Dlatego wymyślona przez niego szopka była afirmacją stworzenia i wcielenia. Miała mieć ludzki, swojski, cielesny wymiar, emanować ciepłem, podkreślać więź z naturą.

Instalacja ustawiona na placu św. Piotra stanowi zaprzeczenie idei św. Franciszka. Jest zimna, bezduszna, sztuczna. Przypomina „bliskie spotkania trzeciego stopnia” i kontakt z „obcymi”.

Nie ma w watykańskiej szopce tego, co przez wieki stanowiło stały element tego typu przedstawień: miłości Najświętszej Maryi Panny do Dzieciątka, opiekuńczej troski św. Józefa, pełnego czci podziwu pasterzy i mędrców, radości emanującej z aniołów. Nic nie pobudza wiernych do adoracji wobec tajemnicy Wcielenia i do zachwyty nad miłosierdziem Boga. Zamiast tego instalacja z antropomorficznymi, totemicznymi figurami budzi niepokój i zamieszanie.

Nie wiem, kto podjął osobiście decyzję o ustawieniu tego dziwadła, ale widać w tym wpływ pokolenia '68. Dziś na szczytach Kościoła znajduje się generacja, której młodość przypadła na czasy kontrkultury lat 60. ubiegłego wieku. Widocznie niektórym pozostała jeszcze fascynacja przebrzmiałą awangardą z tamtych lat. Podobnie jak w przypadku jesiotra z powieści Bułhakowa, mamy do czynienia z szopką „drugiej świeżości”. Powstała bowiem w roku 1965 w szkole designerów w Castelli i nie wiadzie czemu po 55 latach została zainstalowana na placu św. Piotra.

Niby drobiazg, ale – jak pisał Marshall McLuhan: „The medium is the message”.

Biały postrach czerwonoarmistów

Podczas wojny fińsko-bolszewickiej zabił ponad 700 Rosjan, nic też dziwnego, że ci ostatni nazywali go „Białą śmiercią”. Simo Häyhä do dziś uznawany jest za najsukuteczniejszego snajpera w dziejach wojen



WOJCIECH LADA

Pewnego dnia Simo Häyhä postanowił się upić. Zasadniczo pił bardzo niewiele, tego jednak dnia po raz pierwszy w życiu był w Helsinkach, restauracje kuśły przytulnymi wnętrzami, a on i tak zaraz miał wracać na front. Odwiedził więc kilka lokali, a kiedy już mocno chwiało się na nogach, zagadnął przypadkowo spotkanego mężczyznę ubranego w nieznany mu mundur. „Hej, portier! Zamów mi pan taksówkę” – poprosił. „Czy kapral nie widzi, że jestem oficerem marynarki wojennej?” – odparł tamten wzburzony. „No to załatwcie mi okręt” – zaproponował rezolutnie.

Zamiast na okręt trafił ostatecznie do aresztu, a z niego pod eskortą do pociągu wiozącego go na front. Bo był tam bardzo potrzebny.

LEGENDA Z PRZYPADKU

Gdyby oficer marynarki wojennej wiedział, z kim ma do czynienia, być może zachowałby się inaczej. Już w tym momencie Simo Häyhä był legendą Fin-

landii i postrachem czerwonoarmistów. O jego wyczynach rozpiswały się gazety, a każdy dzieciak bawiący się w wojnę chciał być właśnie nim. Sam Häyhä zdawał sobie z tego sprawę o tyle o ile. Z natury był typem bliskim Szwejkowi Jaroslawa Haška – pogodnym, dobronurczym człowiekiem, nigdy niepodnoszącym głosu i unikającym wszelkich awantur. Tak naprawdę trudno nawet powiedzieć, czy walczył za Finlandię. W gruncie rzeczy walczył o własne gospodarstwo Matilla, które w przypadku wejścia Rosjan zapewne by mu przypadło.

Bo Häyhä był przede wszystkim rolnikiem i jedyne, o czym marzył, to powrócić do domu, by wykonywać wszystkie te gospodarskie czynności, których uczył się od dziecka. Nie miał wielkomiejskich ambicji, gospodarstwo pozwalało na dość wygodne życie, a dzikie, lesiste okolice umożliwiały uprawianie jedynej rozrywki, jakiej oddawał się bez reszty – polowaniom. Był niewysoki – 160 cm wzrostu – ale krzepki: mięśnie wyrobił sobie codziennym rąbaniem drewna. Nie był też przesadnie wysportowany, a jednak wytrzymałość: zahartował się, uczestnicząc w ćwiczeniach oddziałów samoobrony, gdzie też nauczył się doskonale strzelać.

„Pewnego razu obserwujący ćwiczenia koledzy wystawili go na ciężką



próbę. Wyznaczyli mu minutę, dali garść nabojęw i ustawili tarczę w odległości stu pięćdziesięciu metrów. Häyhä miał za zadanie wystrzelić tyle razy, ile zdąży. I Simo zdążył. Zamek chodził tam i z powrotem, a karabin Szpic szczekał. W minutę Häyhä odpalił broń szesnastście razy i na tarczy pojawiło się tyle samo otworów. Ludzie zaczęli o tym opowiadać” – pisał jego biograf Petri Sarjanen.

Czy szybkość i precyzja były jego największymi atutami? Sarjanen zauważył, że zdarzali się od niego celniejsi snajperzy, tym bardziej że fińska armia strzelała zasadniczo celnie – brakowało jej po prostu nabojęw. A sowiecka armia była o wiele liczniejsza. Czyli kto nie trafił, ten nie żył. Rzecz w tym, że Simo potrafił strzelać celnie nawet przy 40-stopniowym mrozie, przez kilka godzin leżąc płasko na śniegu. Przy takiej temperaturze zamek karabinu zamarał, a zgrabiące palce traciły czucie. Dla Simo były to jednak warunki naturalne – w takich właśnie polował i odbywał ćwiczenia samoobrony. I takie też warunki panowały zimą z 1939 na 1940 r., kiedy Sowietzi zaatakowali Finlandię.

POZYCJE BĘDĄ UTRZYMANE

Ta wojna była jednym z najbardziej niezwykłych epizodów II wojny światowej. Nawiasem mówiąc, a rzadko się o tym pamięta, że wybuchła na mocy tego samego tajnego protokołu do paktu Ribbentrop–Mołotow, który dokonywał rozbioru Polski przez III Rzeszę i sowiecką Rosję. Oddawał on Stalinowi nie tylko pół Polski, lecz również terytoria państw bałtyckich, w tym właśnie Finlandię. Zapomina się także o tym, że właśnie „wojna zimowa” miała olbrzymie znaczenie propagandowe. To właśnie brutalne bombardowania fińskich miast pierwszy raz otworzyły Zachodowi oczy na to, że sowiecka Rosja jest państwem równie agresywnym co hitlerowskie Niemcy. Mit krainy pokoju i równości runął właśnie gdzieś na rozciągającej się zaledwie 30 km od ówczesnego Leningradu granicy.

Ale w listopadzie 1939 r. wydobyło się znacznie więcej. Małeńka Finlandia ze zdumiewającą łatwością powstrzymała armię, która już wkrótce przetoczy się walcem po Europie, dosłownie miażdżąc swoim impetem olbrzymie siły III Rzeszy. Finowie mieli po swojej stronie naturę: niezliczone jeziora i gęste lasy dawały oparcie i schronienie znającym teren żołnierzom, a taktyka błyskawicznego ostrzału i ucieczki sprawdzała się w tych warunkach doskonale. Mróz był może mniejszym atutem, bo i Rosja była mroźna. Ale w lasach Sowietów walczyć nie potrafili. Po pierwsze – bali się zasadzki, więc ich morale było bardzo niskie. Po drugie, większe kolumny z ciężkim sprzętem musiały się poruszać drogami, stając się łatwym celem dla ukrytych strzelców fińskich. Byli też bardzo źle dowodzeni. Oficerowie stosowali starą taktykę zalania terenu masą żołnierzy, których życie miało dla nich zerową wartość. Sarjanen opisywał, jak całe ich bataliony szły prosto na fińskie karabiny i szereg za szeregiem padali, bo Finowie strzelali do nich jak do tarcz na ćwiczeniach.

Dysproporcja sił była miażdżąca. Finlandia była w stanie wystawić nie-

wiele ponad 30 tys. żołnierzy – Rosja miała do dyspozycji ok. 2,5 mln, a różnica w sprzęcie wojennym była jeszcze większa. Oczywiście Sowietów nie rzucili wszystkich sił, ale 450 tys. żołnierzy, którzy 30 listopada wdarli się na fińskie terytorium to było i tak ponad 10 razy więcej, niż mieli do dyspozycji

Simo potrafił strzelać celnie nawet przy 40-stopniowym mrozie, przez kilka godzin leżąc płasko na śniegu. Przy takiej temperaturze zamek karabinu zamarzał, a zgrabiące palce traciły czucie. Dla Simo były to jednak warunki naturalne – w takich właśnie polował i odbywał ćwiczenia samoobrony

obrony. Mimo to postępy Rosjan były minimalne. Finowie cofali się, ale bardzo powoli. Stać ich było na brawurowe kontrnatarcia, a dobre przygotowanie żołnierzy sprawiło, że ich skuteczność w walce była piekielna. Poza tym, tak jak Simo, wszyscy mieli osobistą motywację, by bronić kraju. Rosjanie padali jak muchy, w lasach zalegały dziesiątki wraków rosyjskich czołgów. Fińskie morale było tak wysokie, że nawet w momencie najgorętszych walk dowódcy ślali do rządu raporty, że pozycje będą utrzymane i nie należy dążyć do pokoju za wszelką cenę.

KONTROLA GRZESZNIKA

Häyhä czuł się w tej sytuacji doskonale. Codziennie wychodził na wybraną pozycję, ubrany w grube warstwy bluz, kurtkę i, rzecz jasna, biały płaszcz maskujący. W kieszeniach miał odrobinę suchego prowiantu, ale przede wszyst-

kim cukru, by zachować przytomność myślenia. Zazwyczaj polewał otaczający go śnieg wodą, by stwardniał i po wystrzale nie zdradzał jego pozycji unoszącymi się drobinami. Grube ubranie zapewniało ciepło i minimalizowało odrzut karabinu, ale jednocześnie krępowało ruchy i podduszało – podobnie jak samo leżenie wiele godzin na klatce piersiowej. Dużym problemem był też wzrok. Simo widział doskonale, ale nieustanne wpatrywanie się w dal powodowało, że w końcu kontury rzeczy rozmywały się, pojawiały się majaki i optyczne złudzenia. Musiał też bardzo precyzyjnie ładować karabin, bo nawet najdrobniejsze zadrapanie pocisku mogło mieć wpływ na celność strzału, zwłaszcza gdy strzelał się na naprawdę duże odległości. A celność była kluczowa. Nie mógł pozwalać sobie na drugi strzał, bo fińscy snajperzy wzbudzali taki postrach u Rosjan, że każdy wykryty strzelec skupiał od razu na sobie ostrzał artylerii.

Mimo to skuteczność Häyhya szybko stała się legendarna. W Wigilię 1939 r., a więc niespełna miesiąc po rozpoczęciu walk, żołnierze stawili się do spowiedzi. „No, Simuna, grzeszniku jeden.

Wyznaj tu pastorowi, ilu Iwanów masz faktycznie na sumieniu” – rozkazał mu dowódca, dodając głośno: „Pewną rękę ma ten chłopak z Rautjarvi. Snajperzy Woroszyłowa nie mogą mu dać rady. Simuna, podaże, jaką dziś masz liczbę?”. „Panie poruczniku, będzie ich prawie sto trzydzieści siedem, tych pewnych przypadków” – skromnie odparł Sima. „To prawda, szanowni panowie. Gdy dzienny łup Simuny przewyższył dziesięć, zaczęto notować liczby co wieczór. Oprócz tego kapral dostał oficjalnego kontrolera, który pilnuje, żeby dane były prawdziwe. Naliczyliśmy stu trzydziestu siedmiu, a wojna się nawet porządnie nie rozpoczęła. Niedługo zacznie się robić cicho w szeregach naszych sąsiadów” – oznajmił porucznik zgromadzonemu.

Sława Simy rosła więc z dnia na dzień. Zdarzało się, że oddziały wypożyczały go sobie na specjalne misje, które wypełniał z zabójczą precyzją. Finowie

go kochali, a Rosjan przerażał – nic dziwnego, że wkrótce zdobył sobie u nich przydomek „Biała śmierć”. Wielokrotnie próbowano go zlikwidować, stosując wszelkie możliwe metody: od wysłania własnych snajperów po naloły bombowe. Bezskutecznie. Blisko byli tylko raz, ale nawet wówczas, skoncentrowanym na jego osobie ostrzałem artyleryjskim udało im się tylko przypadkiem zniszczyć odłamkiem szrapnela płaszcz Simy.

HALUCYNACJE NA KONIEC WOJNY

Wojna nie pozwalała zyskać przewagi żadnej ze stron, a w tej sytuacji zwyciężali w zasadzie Finowie. W większości bitew straty po stronie sowieckiej zazwyczaj były trzykrotnie większe niż po fińskiej. Stalin się niecierpliwił. Stracił nadzieję na szybkie zwycięstwo, a Finlandia nie była strategicznie aż tak ważna, by zrekompensować mu międzynarodową kompromitację. Tym bardziej że świat stawał jednoznacznie po stronie walczących Finów. Nie tylko Europa. Manifestacje poparcia dla nich odbywały się nawet w Ameryce Południowej, a stanowisko Zachodu stało się coraz bardziej stanowcze.

Stalin miał w Moskwie przygotowany fiński rząd komunistyczny i początkowo cynicznie twierdził, że w rzeczywistości przychodzi Finom z pomocą. Brawurowy opór sprawił jednak, że stopniowo miękł. Walki toczyły się zażarcie, granicę przekraczały coraz nowsze oddziały, ale i one w żaden sposób nie dawały sobie rady z zakamuflowanymi fińskimi „duchami”, często błyskawicznie przemieszczającymi się na nartach i dokonujących aktów szaleńczo wręcz brawurowego sabotażu, ale też precyzyjnych kontruderzeń.

Sarjanen opisuje plastycznie jeden z nich: „Atak był od samego początku niezwykle krwawy. W porannej szarówce Finowie dotarli – wspierani ogniem karabinów maszynowych – do brzegu bagna szerokiego na około trzysta metrów. Po drugiej stronie rozpoczęto szturm na nieprzyjaciela, który znajdował się już całkiem blisko. W pewnym momencie Häyhä, kryjąc się przy ziemi, dotarł na odległość



dwóch metrów od nieprzyjaciela. Karabin sprawował się dobrze, Häyhä oceniał, że powalił śmiertelnie prawie czterdziestu wrogów, a przecież to dopiero połowa dnia”.

Tego jednak akurat dnia nie zabił ich już wielu więcej. Ok. godz. 14, w bitwym zamęcie, znalazł się niepostrzeżenie kilka kroków od lufy sowieckiego karabinu maszynowego. Nie zauważył, kiedy trysnął z niej ogień. Nie zapamiętał też bólu, kiedy pocisk trafił go w szczękę. Zachował jakieś wspomnienia o saniach, krwi zalewającej mu szyję i opatrunku. Morfina sprawiła jednak, że szybko odpłynął, a w głowie kłębiły mu się tylko jakieś halucynacje. W ich objęciach całkiem przeoczył koniec wojny.

NORMALNY ROLNIK

W gazetach napisano, że Häyhä poległ, ale z nekrologiem znacznie się pospieszono. Kula zdruzgotała mu szczękę, rozerwała policzek, deformując już na zawsze jego twarz, ale nie była śmiertelna. Simę odtransportowano do sanatorium Kinkomaa, gdzie powoli dochodził do siebie. Nigdzie się nie spieszył, bo wojna się skończyła. Formalnie Finlandia przegrała, bo podpisała traktat pokojowy odbierający jej terytorium większe, niż zdołała zająć wroga armia. Ale koniec końców zwyciężyła, ponieważ zachowała niezależność od sowieckiej Rosji i po wojnie pozostała po zachodniej stronie żela-

znej kurtyny. O skali nienawiści do Rosji wiele mówi to, że wszyscy mieszkańcy utraconego na jej korzyść terytorium – a było to 12 proc. wszystkich Finów – opuścili domy i przenieśli się w głąb kraju, oddając Sowietaom bezludne obszary. Zresztą przegrali raczej politycy niż żołnierze. Poległych po stronie sowieckiej było ponad 100 tys. więcej.

Twarz Simy została zdruzgotana. Najprawdopodobniej trafił go pocisk eksplodujący – zakazany w traktatach międzynarodowych, ale Finowie znaleźli wiele takich w zdobytej na czerwonoarmistach amunicji. Tak samo jak kości, bolała go jednak z pewnością wiadomość, że jego gospodarstwo znalazło się za granicą i w zasadzie chwilowo jest bezdomny. Pewnym pocieszeniem było zapewne to, że jako pierwsza i jedyna osoba w dziejach Finlandii otrzymał od marszałka Gustawa Mannerheima awans z młodszego sierżanta od razu na podporucznika, nie wspominając o wszelkich innych możliwych odznaczeniach.

Podobno chciał jeszcze walczyć z Rosjanami, ale nikt nie zamierzał wciągać zasłużonej legendy w bardzo niepewną wojnę. Po pierwsze, jego rany były ciężkie i ubytek na zdrowiu spory. Po drugie, jak na żołnierza już podczas wojny zimowej nie był człowiekiem młodym. Urodził się bowiem w 1905 r., czyli był wiele starszy od większości swoich kolegów z okopów.

Sarjanen przytacza anegdotę, że pewnego dnia, po wspólnym ataku Niemców i m.in. Finów na Sowieków w 1941 r., Sima znalazł się po raz pierwszy od kilku lat w swoich rodzinnych stronach. Został tam obóz dla jeńców sowieckich. „Ludzie opowiadają, że gdy Häyhä przechadzał się wzdłuż ogrodzenia obozowego, pewien znający języki strażnik przekazał Rosjanom, że »ten człowiek 542 waszych«, więźniowie umilkli, a potem któryś z nich zapytał ostrożnie: »Czy ten człowiek jest już normalny?«. Pomijając pomyłkę o 150 ofiar, odpowiedź brzmi: był.

I co najważniejsze. Häyhä resztę życia spędził tak, jak marzył: uprawiając rolę i polując, nie bardzo też interesując się własną legendą. Ubytek na zdrowiu nie okazał się zresztą aż tak poważny. Zmarł dopiero w 2002 r., spokojnie dożywając blisko setki.

K

ULTURY

*O iskrzeniu w piosence,
wspólnym śpiewaniu,
szczęśliwych
spotkaniach
i niedawnych
pożegnaniach, a także
o szokujących kreacjach
sprzed lat i nowych
wyzwaniach mówi
jurorka programu
„The Voice Senior”
Izabela Trojanowska*

Krótkie spiećcie

Z **Izabelą Trojanowską**, piosenkarką, aktorką, nowym jurorem „The Voice Senior”, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

„Piosenka to skrót. Krótkie spięcie, trzy, cztery minuty, w których musi coś zaiskrzyć... jak nie zaiskrzy, to koniec”. Mówi pani w tym zdaniu o własnych wykonaniach czy również o utworach, których pani słucha?

Izabela Trojanowska: Moja wypowiedź dotyczy wszystkich piosenek. Kompozytorzy pytani, jak powstaje hit, często odpowiadają, że nie ma na to żadnego przepisu. Zdarza się, że jadąc samochodem, ściszamy jakiś utwór, a inny rozkręcamy na cały regulator. Oczywiście o gustach muzycznych się nie dyskutuje. Piosenka, która u mnie podnosi ciśnienie, kogoś może irytować, ale w momencie, kiedy dostaję jakąś kompozycję, raczej czuję, czy ma szansę stać się przebojem.

Przy jakim utworze pojawiło się ostatnio „iskwienie”?

Poczułam to „coś”, słuchając utworu „Aura” w wykonaniu Mrozu. Supersekcja, wokół, klimat...

Co pani sądzi o programach typu talent shows, zwłaszcza wokalnych?

Bardzo dobrze, że powstały. My nie mieliśmy szansy brać udziału w takich programach. Do wyboru była Zielona Góra z piosenką radziecką, Kołobrzeg z piosenką żołnierską, a jak ktoś miał szczęście – debiuty polskie.

Jerzy Stuhr zapewniał kiedyś ze sceny: „Śpiewać każdy może”. Pani też tak uważa?

Jest duży odsiew, ci, którzy nie potrafią śpiewać, odpadają przy pierwszych przesłuchaniach. Na wizję wchodzi tylko ci, których warto posłuchać.

Podobno przy jedzeniu i śpiewaniu najlepiej zacieśnia się międzyludzkie więzi. Zgadza się z tym pani?

Jeżeli chodzi o muzykę, zdecydowanie tak.

Czy zdarzyło się pani uczestniczyć we wspólnym śpiewaniu, które do dziś budzi pani emocje?

Najlepszym przykładem jest moja wieloletnia współpraca z zespołem Budka Suflera. Wielokrotnie zapraszali mnie, Urszulę, Felka Andrzejczaka na swoje trasy koncertowe. Razem występowaliśmy w Polsce, byliśmy w Kanadzie, USA, Australii... Romek Lipko koncertuje już w niebie, a to on był duszą zespołu. Bardzo go brakuje.

Zadebiutuje pani w roli jurorki „The Voice Senior”. Czego będzie pani szukać u uczestników?

Każdy wykonawca jest inny i potrzebuje indywidualnego podejścia. Będę im się przyglądać na warsztatach muzycznych, zobaczymy, kto z nich zrobi największe postępy. Ważna jest pasja i pracowitość, potem naturalnie dobór repertuaru – czyli gust muzyczny.

Jacy ludzie, pani zdaniem, zgłaszają się do programu „The Voice Senior”? Czego w nim szukają?

Myszę, że do programu zgłaszają się głównie ludzie pragnący spełnić swoje zaniedbane kiedyś, z jakiegoś powodu, marzenia o śpiewaniu, a naszym zadaniem jest im w tym pomóc.

Czy jest utwór, który sprawiłby, że na przesłuchaniach, w ciemno, od razu odwróciłaby pani fotel?

Odwróciłabym fotel raczej na świetne wykonanie piosenki, nie samą piosenkę.

Jak reaguje pani na swoje przeboje w czyimś wykonaniu? Wolalaby pani usłyszeć wierne naśladownictwo czy ciekawą interpretację?

Wierne wykonanie nie, bo już jest. Bardziej podoba mi się, jak ktoś proponuje swoją wizję utworu, a jeszcze bardziej, jak mnie do niej przekona.

Słowa z pani piosenek powtarzane są do dziś: „Podaj cegłę...”, „Tyle samo prawd, ile kłamstw...”, „Wszystko, czego dziś chcę...”. Celny tekst, wykonanie czy może moment, w którym dotarł do słuchaczy. Co, pani zdaniem, jest ich siłą?

Miałam szczęście trafić w odpowiednim czasie na odpowiednich ludzi. W piosence wszystko jest ważne – zarówno muzyka, jak i tekst. Zwieńczeniem jest interpretacja. Dużą rolę w moim życiu odegrał Andrzej Mogielnicki, on był pierwszym producentem muzycznym, w czasach kiedy w Polsce nie mieliśmy pojęcia, że ktoś taki istnieje.

Odważnie budowała pani sceniczny wizerunek. Czy którąś z kreacji wspomina pani szczególnie?

Miałam kilka szokujących kreacji, ale chyba najbardziej zadziwiłam dyrektora Festiwalu Interwizji w Sopocie, przywożąc z Londynu garsonkę z bordowego aksamitu z wielkimi ramionami, mojego ukochanego projektanta mody Thierry’ego Muglera. Ów dyrektor nie pozwolił mi w tej garsonce wystąpić. A po roku już cała Polska nosiła te wielkie poduszki w ubraniach. Zresztą widzę, że ta moda znowu wraca.

Czy jako jurorka w telewizyjnym show zdecyduje się pani na sceniczną ekstrawagancję?

Dzisiaj trudno szokować, w sklepach można kupić wszystko. Są styliści, o których kiedyś można było tylko pomarzyć, ale oczywiście coś zaproponuję.

W jakim gronie, pani zdaniem, warto oglądać „The Voice Senior” i dlaczego?

Ze względu na „koronę” nie proponuję dużego grona, ale serdecznie zapraszam przed telewizory. Ci wspaniali, zdolni i odważni ludzie dostarczą państwu niesamowitych wrażeń. 

Staliśmy się świadkami tajemnicy

Gdy Janusz puścił światło, naukowcy zobaczyli szczegóły, których wcześniej nie widzieli. Zobaczyli wzrok Pana Jezusa, wyraz jego twarzy. Rozpętała się wtedy gorączkowa dyskusja

Z Grażyną Kasprzyczką-Rosikon i Januszem Rosikonem, twórcami wydawnictwa Rosikon Press, rozmawia Dorota Łosiewicz

Trzy dekady działalności wydawnictwa Rosikon Press za wami. Pamiętacie jeszcze początki?

Grażyna Kasprzyczka-Rosikon: Jak najbardziej, rejestrowałam wydawnictwo w ostatnim możliwym dniu 1990 r., to był piątek 21 grudnia. Później urzędy już nie pracowały. Inspiracją do założenia wydawnictwa było bogate archiwum fotograficzne Janusza Rosikonia, m.in. zgromadzone w poprzedzającym 10-leciu zdjęć maryjnych w Polsce. Materiał był na tyle unikalny, że było mi żal, aby powstała znów książka wydana byle jak.

A wasze książki byle jakie nie są. Skąd pomysł, by wydawać je w takiej formie?

G.K.-R.: Własne wydawnictwo daje pewną wolność. Sięgamy po tematy nieopracowane, często karkołomne. Mamy ten przywilej, że autorzy rangi Normana Daviesa, Elżbiety Dzikowskiej, Grzegorza Górnego czy Hanny Suchockiej chcą z nami pracować. Bardzo dbamy o kwestie merytoryczne. Książki są konsultowane przez ekspertów danej dziedziny. Pisane są tak, żeby zrozumiane były dla szerokiego odbiorcy.

Czy któryś z autorów jest dla was szczególnie ważny?

G.K.-R.: Praca z każdym autorem jest wielką przygodą. Większość naszych



czy badania naukowe. Powstają kolejne tomy, kolejne wydania. Sami chcemy zrozumieć pewne fakty, procesy historyczne, dzieje naszych bohaterów. Czasami mogę towarzyszyć tandemowi Górny-Rosikon w ich fascynujących podróżach, co bardzo mi ułatwia wizję publikacji, nad którą pracujemy, ale również docenić ich ciężką pracę.

Gdy zaczynaliście swoją działalność, nie było internetu. Czy mocno zmieniła się wasza praca przez trzy dekady?

G.K.-R.: I tak, i nie! Kluczowym elementem jest tzw. content, innymi słowy – zawartość, treść, przesłanie, materiał fotograficzny, opisy wydarzeń. W książce przybiera różne formy, wypracowaliśmy dość wyjątkową formułę publikacji, które znajdują uznanie również u naszych partnerów w Ameryce i wielu krajach europejskich. Internet pomaga nam w badaniach i komunikacji z całym światem, co bardzo przyspiesza nasze działania. Pamiętam, jak Janusz latał jeszcze do Hongkongu na druk naszych książek, które zdobywały prestiżowe nagrody we Frankfurcie, potem wysyłał filmy. Dzisiaj przesyłamy wszystko przez internet i ku naszej radości już od ponad 10 lat możemy drukować w Polsce, bo nasze drukarnie gwarantują światową jakość. Kiedy robiliśmy „Madonny Europy”, trzeba było czasami tygodniami czekać na listowne odpowiedzi z całej Europy,

projektów powstaje na przestrzeni dwóch-trzech lat. Poświęcamy każdemu z nich dużo uwagi. Inaczej wyglądała praca z ks. Janem Twardowskim przy cyklu poezji, jeszcze inaczej z Elżbietą Dzikowską przy książkach o sztuce czy podróżowaniu. Wielką przygodą była też praca z Normanem Daviesem, a w szczególności wspólna podróż szlakiem Andersa przez Bliżni Wschód, Półwysep Apeniński po Wielką Brytanię. Również spotkania ze świadkami tych wydarzeń.

Mówimy „wydawnictwo, książki”. Ale to jest przecież coś znacznie więcej, to sposób na życie, to odsłanianie prawdy...

G.K.-R.: Często powtarzamy, że dla dobra śledztwa nie ujawniamy szczegółów, dopóki nie ukaże się książka. Seria „Świadkowie Tajemnicy” żyje, ciągle ją uzupełniamy o nowe odkrycia

ustalenie terminów zdjęć, rezerwację hoteli itp. Było to prawdziwe wyzwanie.

Dużo miejsca w pracy poświęcać Matce Bożej. Czy w życiu prywatnym jest ona dla was równie ważna?

G.K.-R.: Janusz stracił swoją Mamę, gdy miał rok. Od kiedy go znam, wizerunki Matki Bożej zawsze go fascynowały, po mistrzowsku pokazywał szczegóły twarzy, ręce, objechał całą Europę – od Irlandii po Malte, od Portugalii po Ural – fotografując nie tylko wizerunki Matki Bożej, ale też lokalny kult. Myślę, że jesteśmy coraz niej bliżej. Wiele razy powtarzamy, stając przed kolejnymi wzwzaniami, że jeśli sobie tego życzy, to zrobimy to!

Janusz Rosikoń: Kiedyś byłem pewny, że całe to gadanie o Bogu jest bez sensu, że nauka potrafi wytłumaczyć wszystko. Jednak Matka Boża działała w moim życiu, dzięki niej spotkałem żonę i cały mój światopogląd uległ zmianie. Każdego dnia jej za to dziękuję. Sfotografowałem ok. 400 sanktuariów w Polsce.

A jak doszło do tego, że zaczął pan fotografować sanktuaria maryjne w Europie?

J.R.: Zamówiono u mnie zdjęcia z La Salette. Pojechaliśmy z żoną i uderzyło nas wtedy to, że kult maryjny nie jest kultem wyłącznie polskim. W laickiej Francji przyciąga mnóstwo ludzi. I tak zrodził się pomysł, żeby pokazać, że to także kult europejski. Podróżowanie po Europie wydawało się wtedy szaleństwem, bo przecież nie mieliśmy pieniędzy, ale udało się i powstały „Madonny Europy”. Sfotografowałem pewno 100, a może więcej sanktuariów w całej Europie.

Co łączy „Madonny Europy”?

J.R.: Modlitwa wiernych. Niektóre są z punktu widzenia kanonu piękna brzydkie. Jednak urody dodaje im modlitwa. Jeżeli ktoś malował Madonnę, nie umiając tego robić, ale modlił się przy tym, to jest w niej piękno.

Jak było iść tropem Armii Andersa?

J.R.: To był prawdziwy szlak nadziei. Rozpoczęliśmy opowieść 17 września 1939 r. Tego dnia Związek Sowiecki zaatakował broniącą się Polskę i wojna



Pielgrzymka Warszawska w stanie wojennym. Mstów.
Po burzy wyszło słońce i msza św. była kontynuowana

dla nas była praktycznie skończona. Dlaczego? – odsyłam do książki. Byłem we Lwowie, potem w Moskwie, robiłem zdjęcia autorowi Normanowi Daviesowi na tle Łubianki, gdzie był więziony Anders, czy na schodach ambasady rosyjskiej, tak jak było zaaranżowane słynne zdjęcie Wielkiej Trójki w listopadzie 1943 r. Potem podróż do Buzułuku, Iranu, który był ziemią obiecaną dla zesłańców, liczne cmentarze z nagrobkami „lat kilka, nieznany”, Palestyna, ze skomplikowaną historią i wyborami żydowskich żołnierzy, i wspaniały szlak włoski. Pełnym zaskoczeniem była pamięć i sympatia dla polskich żołnierzy. Uczynili oni wiele dobra dla miejscowych Włochów. Oprócz bohaterstwa w walkach zapisali się tym, że wiedzieli, co znaczą głód, samotność, rozpacz, i jak mogli, pomagali. Spotkania z dziećmi, teraz starszankami pamiętającymi tamte czasy, były pełne radości i wzruszeń.

A tropem Trzech Króli? Czy te doświadczenia da się w ogóle porównać?

J.R.: Nie. To jednak nie to samo. Historia jest zbyt stara i fragmentaryczna. Można ją łatwo kwestionować. Oczywiście byliśmy w miejscach opisanych w Ewangeliach i apokryfach, ale pierwsze skrzypce w tej książce gra nauka. Pokazujemy, jak wielkie jest prawdopodobieństwo zdarzeń opisanych w książce „Trzej Królowie. Dziesięć tajemnic”. Pamiętam z dzieciństwa wyjaśnienia w szkole, że tradycja Bożego Narodzenia opiera się na przekazach będących raczej pobożnymi legendami. Teraz nauka odpowiada i potwierdza zapisy Ewangelii. Ku przestrodze dla wielu.

Jakie to uczucie zobaczyć wzrok Pana Jezusa, wyraz jego twarzy? Mam na myśli Chustę z Manoppello.

J.R.: Trudne pytanie. Nim zacząłem robić zdjęcia, przyglądałem się z dosyć daleka wizerunkowi. Ale trudno wyłączyć myślenie – jak ten obraz przekazać czytelnikom? Kiedy byłem centymetry przed twarzą, jedyną myślą było: muszę pokazać to, co widzę jak najlepiej. Bo to niezwykle wizerunek. W tym momencie zapomniałem o sporach naukowców: acheiropoietos czy namalowany? Najbardziej wyjątkowe zdjęcie nie powstało, gdy byłem w Manoppello z Grzegorzem Górnym, ale później, gdy pojechałem tam z żoną. Poszliśmy do siostry Blandiny Paschalis, ale kościół był zamknięty. Weszliśmy do niego i zobaczyliśmy, że siostra akurat wyjmuje relikwiarz, bo przybyła grupa naukowców, którzy mieli Chustę obejrzeć. Dostałem zgodę na fotografowanie. Sfotografowałem oczy i okazało się po wywołaniu, że są niebieskie.

G.K.-R.: Chusta jest szczególnie chthonia. To jest bisior, jedwab morski, utkany z nici uzyskanych z małży, i nie wiadomo jak się zachowa w reakcji ze światłem. Gdy Janusz puścił światło, naukowcy zobaczyli szczegóły, których wcześniej nie widzieli. Zobaczyli wzrok Pana Jezusa, wyraz jego twarzy. Rozpętała się wtedy gorączkowa dyskusja. Zresztą taka jest rola Janusza, by pokazywać ukryte detale szerokiej publiczności. On, korzystając z obiektywu, widzi jak pod mikroskopem.

Janusz Rosikoń zajął też w oczy Madonny z Guadalupe. Z tak bliskiej odległości, jak chciał?

J.R.: W Bazylice Matki Bożej z Guadalupe oglądałem obraz wiele razy, aż uzyskałem pozwolenie ustawienia statywu i sprzętu w odległości kilku metrów od obrazu. Zajęło mi kilka godzin (fotografowałem dwukrotnie) zrobienie szczegółów Matki Bożej, tak by móc zilustrować wspaniały tekst Grzegorza Górnego o znaczeniu kodów zawartych w obrazie. Kodów, które zmieniły historię Ameryki. Oczy z niezwyklejmi kształtami, które można było wyodrębnić dopiero w XX w. i zinterpretować, używając narzędzi stosowanych do zdjęć satelitarnych.

G.K.-R.: Ten obraz skrywa wiele tajemnic, a oczy Madonny są niesamowite. Nawet okuliści nie mają wątpliwości, że oko Matki Bożej z Guadalupe zachowuje się jak oko żywego człowieka. Wskazuje na to widoczny w źrenicach obraz. Inny w lewym oku, inny w prawym. Z wyników badań wynika, że to, co widać w oku Matki Bożej, to obraz, który ona zobaczyła w chwili prezentacji tilmu, na której obraz jest wykonany.

Czujecie się świadkami tajemnicy?

J.R.: Tak. Niektóre tajemnice w świetle współczesnej nauki stają się pewnikami. Na odpowiedzi w wielu kwestiach musimy poczekać. Teraz możemy określić prawdopodobieństwo. Staramy się pokazać, jak duże ono jest. Myślę, że jednak nie uzyskamy pewności w zasadniczych kwestiach. Bóg pozostawił nam wolność (czasami myślę „niestety”) i pozwolenie na nieposiadanie wątpliwości byłoby jej



podważeniem. Musielibyśmy wszyscy przyjąć jego istnienie.

Które zdjęcia są szczególnie cenne dla waszego wydawnictwa?

J.R.: Te, które akurat powstają. Ale w archiwum mamy kilkadziesiąt zdjęć pokazanych na wystawie z okazji poprzedniego jubileuszu Rosikon Press i 50 lat mojej pracy. Chciałbym, by zapisały się one w historii fotografii. Może to wygórowane, pyszne ambicje... Tym bardziej że cały czas robię nowe.

Które mogłyby się w tej historii zapisać?

J.R.: To już nie mnie oceniać. Mogę jednak powiedzieć, które są dla mnie szczególnie ważne. Np. zdjęcie Willy'ego Brandta pod pomnikiem Bohaterów Getta, który tam ukląkł, wywołując

wtedy konsternację. Cieszę się, że nie zadrżała mi wtedy ręka. Mam kilka ulubionych zdjęć z pielgrzymek warszawskich czy z drogi do El Rocío. Ważne jest dla mnie zdjęcie „podróżującej” figury Matki Bożej Fatimskiej zrobione na placu Czerwonym. Publikujemy je, z tą niezwyklej symboliką, w „Tajemnicach Fatimy”. Moje ukochane zdjęcie to Jan Paweł II w koronie dzieciątka Jezus. Zrobiłem je w Kielcach na lotnisku, podczas mszy św. Wyrzucono mnie spod ołtarza i z daleka złapałem w kadru Jana Pawła II, gdy cały zmoknięty odchodził po koronacji obrazu i korona Dzieciątka wpasowała się dokładnie w jego głowę. Totus Tuus!

G.K.-R.: Długo zastanawialiśmy się, czy to zdjęcie publikować, bo jego symbolika jest szczególna. Gdy pokazaliśmy je na audyencji Janowi Pawłowi II, uśmiechnął się serdecznie.

Czy za 10–20 lat będzie jeszcze popyt na wasze książki? Pytam, bo dziś świat nie widzi miejsca dla Boga, Maryi i Jej Syna.

G.K.-R.: Mam nadzieję, że będzie. Proszę mi pozwolić zacytować naszego syna Jana: „Styl życia moich rodziców, którzy z wielką pasją, przez tyle lat współpracują z niezwyklejmi ludźmi, których nazywamy autorami, grafikami, redaktorami, ludźmi o dużej wrażliwości, wiedzy, o mocnych poglądach, którzy z radością dzielą się swoją wiedzą i przemyśleniami. A dla mnie... to fantastyczny, inspirujący sposób (moich niezwyklej rodziców), aby żyć ciekawie, w podróżach (w przestrzeni i poprzez przeróżne tematy), żyć godnie, żyć w prawdzie, żyć pełnią życia, spełniając swoje pasje i marzenia!”

Rosikon Press to również jakość w każdym wymiarze, którą potwierdzają nagrody, wierni czytelnicy, jak również wydawnictwa m.in. z USA, Francji, Hiszpanii, Chorwacji, Włoch, Wielkiej Brytanii, Słowenii, które zdecydowały się, aby książki Rosikon Press wydać na swoich rynkach w tej samej oprawie graficznej, formule i formacie.

Skoro Sony kupuje „chrześcijańskiego Netflix’a”, a ewangelizacja w popkulturze ma kolejny wymiar, to jest dla nas dobry sygnał i zagrzewa do dalszej pracy!



3 MIŁOŚCI

Uśmiechnięta rozpacz

Opuściliśmy królestwo zwierząt dzięki aktowi miłości. Dzięki empatii i poświęceniu. Człowiek jest stworzony do relacji

Wszystko zaczęło się od miłości. Również historia homo sapiens. Pierwsza zrosnięta kość udowa znaleziona przez archeologów pozwala wyznaczyć moment powstania kultury. Zwierzę, które łamie nogę, ginie. Aby pierwszy okulały człowiek przeżył, potrzebna była wielotygodniowa opieka. Wspólnota, która ją zapewniła, to już homo sapiens. To my.

Podoba mi się ta definicja. Opuściliśmy królestwo zwierząt dzięki aktowi miłości. Dzięki empatii i poświęceniu. Człowiek jest stworzony do relacji.

Za nami kolejny rok. Czym żyłem przez te 12 miesięcy? Karmiłem swoją wyobraźnię, rozum i serce obrazami dobra czy przykładami nienawiści, interesowności, zawiści, przemocy? Tym, co mnie łączy z drugim człowiekiem, czy wprost przeciwnie, tym, co czyni mnie coraz bardziej samotnym? Jesteś tym, czym się żywisz.

Wspólnotowość rodzaju ludzkiego jest Bożym podpisem. Obrazem Boga odcisniętym w ludzkiej naturze. Bo Bóg jest jednością trzech Osób. Najdoskonalszą wspólnotą.

Aby powstała relacja, potrzeba zaufania. Zaufanie rodzi wiarę. Wierzmy komuś, że nas nie skrzywdzi, że mu na nas zależy. Stąd chrześcijaństwo jest nie tyle wiarą w Boga, ile wiarą Bogu, że On opiekuje się każdym człowiekiem, że Mu na mnie zależy.

Chrzest jest warunkiem koniecznym bycia chrześcijaninem, ale nie wystarczającym. Chrześcijaninem człowiek staje się, dopiero szczerze mówiąc: ufam

Tobie. Dopiero powiedzenie Bogu wielkiego TAK czyni mnie członkiem chrześcijańskiej wspólnoty.

O czym się dowiedziałem w 2020 r.? Jeden z najbardziej utytułowanych polskich seksuologów twierdzi, że seks z dziećmi od dziewiątego roku życia nie powinien być karany, gdy jest „dobrowolny i świadomy”. W Australii procedowane jest prawo stanowiące, że grozić tam będzie 10 lat więzienia za modlitwę o nawrócenie geja. We Francji aborcja ma być możliwa do końca ciąży, jeśli matka odczuwa „niepokój psychospołeczny”. Komisja ds. narkotyków Organizacji Narodów Zjednoczonych przegłosowała usunięcie marihuany z listy środków objętych specjalną kontrolą. Starbucks zwolnił baristkę za odmowę noszenia koszulki z hasłem ruchu LGBT. Minister sprawiedliwości Szkocji zapowiedział wprowadzenie nowego prawa, według którego akceptowane będzie wyśmiewanie i obrażanie religii. Niemiecki sąd skazał pastora za krytykę homoseksualizmu. Hiszpański Kongres przyjął ustawę wprowadzającą edukację seksualną sześciolatków; jak zadeklarowano, „chodzi o ograniczenie wpływu rodziców na dzieci”. Unia Europejska będzie karać Węgry za zapis w konstytucji mówiący, że „matką jest kobieta, a ojcem mężczyzna”, i wymusi akceptowanie małżeństw jednopłciowych w całej UE. Jak takiemu światu powiedzieć TAK?

Diabłol oznaczają „ten, który dzieli”. Alko, porno, narko. Zdradzałaś, byłeś molestowany, pijesz, wszystko w twoim



ROBERT TEKIELI

życiu się rozwała, nie możesz odciąć pępownicy. Zły łamie, niszczy i bierze w niewolę. Święte miejsce spustoszone, zamek zdobyty, na ulicach miasta leżą martwi żołnierze, zakrwawione dzieci i zgwałcone kobiety. Idziesz w niewolę, zmienił ci imię ten, który cię pokonał. Wszystkie obrócone w perzynę, zwalone mury, kruki szarpiają ciała, krew wokół i sperma, nikt już nawet nie ucieka. Nie masz siły żyć? Jeździsz samochodem bez zapiętych pasów. Rozważasz, jak byłoby skoczyć z mostu. Z okna. Wokół ciebie, nie śpiewają ptaki. Masz komfort picia, ćpania czy szlajania? Cyfrowy smog, różowe policzki, emocje kupione. Każdy kombinuje jak może, wyjdź, córciu, za dentystę, będziesz miała dobrze. Nasza cywilizacja. Uśmiechnięta rozpacz. Ostro umalowana 70-latką w obcisłych jeansach.

Każdy, kto był w rozpacz, wie, czym jest piekło. Absolutna samotność. Wielkie i ostateczne powiedzenie Bogu: NIE. Cierpisz, gdy jesteś podzielony, oddzielenie od tych, których kochasz, boli.

Opuściliśmy królestwo zwierząt dzięki aktowi miłości. Dzięki empatii i poświęceniu. Dziś oddaje się rodziców do szpitali na święta, a miarą naszego zbiorowego egoizmu jest eutanazja, aborcja, antykoncepcja. Odrzucenie odpowiedzialności, a w efekcie samotność. Człowiek jest stworzony do relacji. Stąd więzienia. Nasza cywilizacja zatoczyła koło.



✓ Warte

POP KULTURA

Jeszcze w świątecznym klimacie chcę polecić film nakręcony w poprzedniej epoce. „*Świąteczna historia*” jest dostępna na YouTube. Może być odtrutką na współczesne produkcje. A nielatwo na tę fabułę trafić, ponieważ, nie wiedząc czemu, pomijana jest w mediach w zestawieniach świątecznych filmów koniecznych do obejrzenia. Branżowy portal pisze o „Świątecznej historii” tak: „Pewien chłopiec stara się zrobić wszystko, by uszczęśliwić swą ciężko chorą matkę”. Łatwo więc można tę opowieść zlekceważyć, ale nie warto. Niesie prawdziwe emocje. Proste wzruszenia. Robert Layton (Rob Lowe – „*Outsiderzy*”, „*Prezydencki poker*”) zaniedbuje bliskich. Znajomość z Maggie (fenomenalna Kimberly Williams-Paisley), nauczycielką muzyki, odmienia życie całej jego rodziny. A zaczyna się od spotkania jej syna, gdy Robert w Wigilię w ostatniej chwili przypomina sobie o prezentach dla żony oraz córki i przychodzi do centrum handlowego. Przed kasą zauważa płaczącego chłopca. To Nathan, syn Maggie. Chce kupić umierającej mamie buty, by „ładnie wyglądała, gdy pójdzie do nieba”. By zarobić na ten prezent sprzedawał puszki znalezione na ulicy. Okazało się jednak, że nie zbierał wystarczającej ilości pieniędzy. Robert po wysłuchaniu historii Nathana płaci za buty. Ta sytuacja odmienia jego życie. Uświadamia sobie, że rodzina, którą zaniedbał, jest najważniejsza. Prosta historia o życiu mieszkańców małego miasteczka. Uniwersalna, dobrze zagrana. Film ma piękne chrześcijańskie przesłanie, a tego nie ma we współczesnych filmach o świątach. Mamy w nim non stop odwołania do Boga, wiary. Nawrócenie Roberta jest cudem. Film pokazuje też siłę wiary: umierająca Maggie nie boi się śmierci, bo wie, że spotka się z Bogiem. Po prostu.

Reż. Andy Wolk, dramat obyczajowy/świąteczny, USA, premiera 2002



skarbu. Ponadto można już zobaczyć m.in. następujące produkcje: „*Wszyscy moi przyjaciele nie żyją*”, „*Policjanci i złodzieje*”, „*Hulk*”, „*Pan Peabody i Sherman*”, „*Agenci bardzo specjalni*”, „*Dziennik Bridget Jones*”, „*E.T.*”, „*Dracula: Historia nieznana*”, „*Wikingowie*”, „*Smerfy*”, „*Niekończąca się miłość*”, „*Abby Hatcher*”, „*Blade Runner 2049*”, „*Hotel Transylwania*” i „*Love Story*”.

Pod koniec grudnia usunięto natomiast z biblioteki polskiego Netflixu „*Teorię wielkiego podrywu*”, jeden z najpopularniejszych sitcomów w historii gatunku, oraz niezwykle popularny serial „*Przyjaciele*”.

Zniknęły też filmy z serii „*Harry Potter*” i „*Władca Pierścieni*”, trylogia Batmana od Christophera Nolana, „*Grawitacja*” oraz „*Powrót do przyszłości*”. Łącznie serwis zdyktował prawie 130 tytułów.



✓ Warte

Platforma HBO GO dodała właśnie do swojej oferty film „*Na noże*”, ze świetnymi aktorami Danielem Craigiem, Chisem Evanssem, Jamiem Lee Curtisem i Donem Johnsonem. Produkcja opowiada o sprawie rzekomego samobójstwa bogatego pisarza, którą bada detektyw Blanc (Craig). Podejrzаныmi są wszyscy członkowie ekscentrycznej rodziny nieżyjącego twórcy kryminałów. Film jest inteligentny i zabawny, trzyma fason. Nie jest ani cyniczny, ani naiwny. Bogaci państwo otaczają się murem, a Craig wchodzi nieomalże w klasowe buty detektywa Columbo. Przesłanie filmu jest niby banalne – świat jest niesprawiedliwy, pieniądze psują, a pozory mylą – ale...

Reż. Rian Johnson, dramat/komedia/kryminał, USA, premiera 7 września 2019

Robert Tekieli Polskie Radio

POP KULTURA

Itak, i nie W polskiej części serwisu Netflix pojawiło się w ostatnich dniach 40 nowych filmów i seriali. Między innymi nowa, druga w cyklu, animowana produkcja platformy „*Transformers: Wojna o Cybertron*”, której premierowy sezon zyskał bardzo pozytywne recenzje, film „*Godzilla: Król potworów*” oraz jeden z najlepszych filmów braci Coenów, „*Bracie, gdzie jesteś?*”, opowiadający historię trzech skazańców, którzy uciekają z więzienia i wyruszają na południe w poszukiwaniu wielkiego

POP KULTURA



Ten film odbiera się wszystkimi zmysłami



Jedno z największych zaskoczeń koszmarnego dla kina roku 2020? Paradoksalnie było ich kilka. Ba, udało mi się nawet ułożyć listę 10 najlepszych filmów roku, którą wygrał film kinowy, mimo że kina były przez większą część roku zamknięte albo wykastrowane z premier. Numer jeden na mojej liście to „Zdrajca” 80-letniego maestra Marca Bellocchia. Tuż za nim wspaniałe katolickie dzieło Terence’a Malicka „Ukryte życie”. O obu pisałem w tej rubryce w ostatnich sześciu miesiącach. Podium zamyka na mojej liście „40-letnia raperka” Radhy Blank, która dowiodła, że drapieźny duch Spike’a Lee jest obecny w niezależnym amerykańskim kinie. Blank to przyszłość afroamerykańskiego kina. Teraźniejszością jest natomiast Steve McQueen. Jest Brytyjczykiem, ale nakręcił jeden z najważniejszych filmów o amerykańskim rasizmie ostatniej dekady.

Zdobywca Oscara za hollywoodzkiego „Zniewolonego” i reżyser przenikliwych niezależnych filmów „Głód” oraz „Wstyd” porwał się na bardzo ambitny projekt. Nakręcił dla telewizji BBC pięć (sic!) filmów o społeczności afrokaraibskiej w Londynie. Antologia filmów „Mały topór” obejmuje okres od 1960 r. do lat 80. XX w. i opowiada o losach Murzynów w stolicy Anglii. Siłą antologii jest brak schematów i łopatologicznej politpoprawności. Wszystkie filmy mają autorski sznyt i stylistykę. Pokazują sprawną rękę reżyserską McQueena. W każdym dostajemy wyraziste kreacje aktorskie (wśród gwiazd m.in. znany ze „Star Wars” John Boyega), co najmniej dobre scenariusze i znakomitą reżyserię. McQueen chciał



Internet

nakręcić klasyczny serial telewizyjny, ale zdał sobie sprawę, że każda z pokazanych historii może być oddzielnym filmem.

Wszystkie filmy uświadamiają, jak trudną drogę mieli nie tylko Afroamerykanie w kraju, gdzie segregacja rasowa obowiązywała jeszcze do lat 60. XX w., lecz również imigranci w Wielkiej Brytanii. „Mangrove” opowiada o narodzeniu się brytyjskich Czarnych Panther i ich słynnym procesie w 1970 r. To najbardziej przewidywalna część antologii. Świetny jest natomiast „Red, White and Blue” o czarnoskórym chłopaku, który wstępuje w szeregi rasistowskiej policji, by zmieniać od środka wizerunek policji w oczach czarnoskórych braci. Jest też biografia pisarza Alexa Wheatle’a oraz ciekawy „Education” o systemowym wykluczaniu w systemie oświaty.

Mnie jednak porwała najmocniej druga część serii pod tytułem „Lovers Rock”. Najmniej ideologiczna i najbardziej subtelna. Trwający niewiele ponad godzinę film o jednej imprezie, dziejącej się jednej nocy na początku lat 80. w Londynie, jest uczta wizualną. Jest to też uczta muzyczna, która w podskórny i nieoczywisty sposób wykracza poza prostą historię miłosną. „Lovers Rock” opowiada o imprezie w Ladbroke Grove w zachodnim Londynie w 1980 r. Z pozoru jest to

godzinna „jazda kamery” przez pokoje wynajętego na imprezę domu, z towarzyszącym nam reggae, soulem i rodzącym się z tego hip-hopem.

Scena gotujących, siekających wargi kobiety, które nagle zaczynają a cappella śpiewać karaibską pieśń, zostanie ze mną na zawsze. Z taką czułością dawno żaden reżyser nie pokazał matek, siostr czy ciotek swoich braci ze społeczności. Scena godna najlepszych musicali! Precyzyjny scenariusz, będący owocem współpracy Steve’a McQueena z pisarzem i muzykiem Courttią Newlandem, uwypuklająca wszystkie aspekty jamajskiej kultury hipnotyzująca muzyka reggae i fenomenalne zdjęcia Shabiera Kirchnera – wszystko składa się na małą, ale gęstą średniometrażową perelkę. Napięcie seksualne, zazdrość, poczucie niższości, rozpalająca się miłość, nienawiść – wszystkie te uczucia wybrzmiewają między słowami i między beatami oraz między wersami i krokami w hipnotyzującym tańcu na parkiecie wynajętego domu. Steve McQueen jest najlepszy, gdy pracuje poza Hollywood i robi szczerze, płynące z serca filmy. „Lovers Rock” należy do jego największych osiągnięć.

„MAŁY TOPÓR: LOVERS ROCK”,
DOSTĘPNY NA HBO GO

Bez kiczu o umieraniu 🍷🍷🍷🍷🍷🍷

Ten film również widnieje na mojej liście najlepszych filmów 2020 r. W końcu można go obejrzeć w domowym kinie. Nagrodzony na festiwalu w Wenecji „Babyteeth” (nagroda Mastroianniego za aktorski debiut Toby’ego Wallace’a i nagroda katolickiej SIGNIS za reżyserię) to kawał mądrego i poruszającego kina. Żaden film dotyczący tematu śmierci na raka nie poruszył mnie w takim stopniu, jak australijskie dzieło debiutującej w fabule Shannon Murphy. Jej film jest pozbawiony moralnego szantażu oraz kiczu „rakowego kina”. Jest za to sporo ironii, mimo że jest to opowieść o umierającej nastolatce Annie (Eliza Scanlen), jej rozpadających się emocjonalnie i duchowo rodzicach (Essie Davis i Ben Mendelsohn) oraz Mosesie (Toby Wallace), którego pojawienie się przemeblowuje jeszcze bardziej życie rodziny. Anna jest w trakcie powrotu choroby nowotworowej. Jej apogeum zbiega się z końcem liceum. Koleżanki przygotowują się do balu maturalnego. Testują kolejne fryzury i szukają przystojniaków na parkiet. Anna może jedynie zmieniać peruki zakrywające jej łysą głowę. Nie będzie slifoci. Nie będzie radości z wchodzenia w dorosłość. Będzie on. Intruz.

„Babyteeth” pozwala zrozumieć ból kogoś, kto traci podstawowe, życiowe przyjemności przez śmiertelną chorobę. Przyjemności, które dla zdrowych są niezauważalną oczywistością.

Anna jest pogrążona w depresji i apatii. Nie ma siły na kolejną walkę. Wszystko się zmienia, gdy spotyka na ulicy społecznego wyrzutka. Moses jest bezdomny. Handluje narkotykami. Ona jednak dostrzega w nim iskrę dobroci, skrywaną pod maską cynicznego chuligana. A może to jej chciejstwo? Moses jest przeciwieństwem Anny. Ona staje przed ostatecznością. Nienawidzą go jej rodzice. Jednak i oni widzą, że ukochana jedynaczka znalazła przy nim skrawki sensu życia. A więc kolejna odsłona klasyku z 1970 r. „Love Story”? W żadnym razie.

Nie ma tutaj szpitali. Nie ma też pornografii umierania i cierpienia. Na dodatek kamera zostaje skierowana na tych, którzy zostaną sami po stracie dziecka. Przeżywający szczyt kariery po roli w „Bloodline” Ben Mendelsohn wcielił się w psychologa,



który mimo zawodowego przygotowania do wyprowadzania z psychicznych dolków innych ludzi nie potrafi poradzić ani sobie, ani swojej żonie. Ona łyka coraz więcej tabletek. Otumnia się, odsuwając myśl o najgorszym. On zaczyna fascynować się ciężarną młodą sąsiadką. Czy dlatego, że traci więź z żoną, co dzieje się często podczas dramatycznej choroby dziecka? Czy może dlatego, że w tej prostej dziewczynie z sąsiedztwa rodzi się nowe życie?

„Babyteeth” to kolejny aktorski popis znanej z kapitalnej roli w „Ostrych przedmiotach” Elizy Scanlen. Jednak to Mendelsohn swoim kunsztem wznosi film na jeszcze wyższy poziom. Bez fajerwerków i popisowych solówek oddaje cały dramat bezsilnego przez nadchodzący kres ukochanego dziecka ojca. To wielka rola.

„Babyteeth” trafia tam, gdzie filmowcy nie chcą zaglądać. A może się boją? Wchodzi w codzienność naznaczoną walką z intruzem. Intruzem dewastującym wszystkie zasady, rządzące najbardziej harmonijną rodziną.

„BABYTEETH”, REŻ. SHANNON MURPHY, DYSTR. BEST FILM

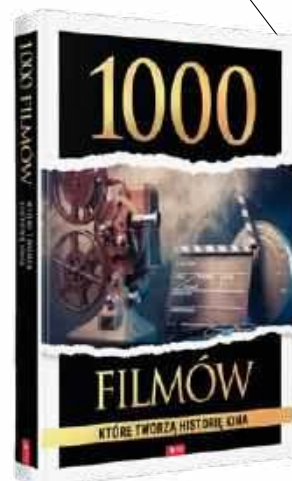
Książka

Nie tylko dla kinomanów 🍷🍷🍷🍷🍷🍷

Stara szkoła rządzi i ma się dobrze! W dobie internetu w telefonach, gdzie każdą informację można sprawdzić w ułamku sekundy, na rynku pojawia się to wydawnictwo. „1000 filmów, które tworzą historię kina” jest pięknie wydana, więc można nią popisywać się na półce w pandemicznych rozmowach na Skypie. To żart oczywiście. Dla każdego kinomana ta książka będzie czymś więcej niż zbiorem informacji o filmach, po które można sięgnąć z poczuciem przynależności do elity intelektualnej wybierającej papier, nie zaś internet. Zredagowana przez wybitnego fil-

moznawcę prof. Piotra Kletowskiego książka album jest kopalnią nieoczywistej wiedzy o kinie. Dostajemy rzetelny, ciekawy i naładowany ciekawostkami opis tysiąca filmów od „Wyjścia robotników z fabryki” braci Lumière z 1895 r. aż do „Parasite” Bonga Joon-ho z 2020 r.! Autorzy nie pomijają przy tym kina popularnego i komiksowego, które jest ważną częścią nie tylko popkultury, i zderzają je z kinem zapomnianym, a wybitnym. Pozycja obowiązkowa dla kinomanów!

„1000 FILMÓW, KTÓRE TWORZĄ HISTORIĘ KINA”, RED. PIOTR KLETOWSKI, WYD. DRAGON IMAGINE





Biznes chce się szczepić

Jeśli rozpoczynająca się akcja szczepień zatrzyma pandemię koronawirusa, polska gospodarka może wzrosnąć w 2021 r. nawet o 5 proc.

Dawno już nie wchodziliśmy w nowy rok z taką nadzieją. Wszyscy liczą, że 2021 r. będzie początkiem odbicia zarówno w całej gospodarce, jak i w naszym prywatnym życiu. Nadzieję na wygranie z wirusem i wyprowadzenie gospodarki na prostą daje Narodowy Program Szczepień, który w Polsce na dobre ma się rozpocząć w styczniu 2021 r. Szczepienia ruszyły już m.in. w Wielkiej Brytanii, USA i Kanadzie, a podobne akcje zapowiedziała większość krajów Unii Europejskiej. To bardzo ważna informacja, bo – jak wynika z dotychczasowych doświadczeń – walki z koronawirusem nie da się wygrać inaczej. Bez radykalnego stłumienia zarazy maleją szanse na normalnie funkcjonowanie setek tysięcy małych i średnich biznesów restauracyjnych, turystycznych, handlowych oraz całej wielkiej branży związanej z kulturą. Konsekwencją przegranej będzie wzrost bezrobocia, problemy ze

splacaniem kredytów i regulowaniem należności, czyli po prostu narastająca bieda.

I choć na forach internetowych nie brakuje krytycznych opinii na temat szczepionki na COVID-19, a zwłaszcza na tempo wprowadzania jej na rynek, to jedno jest pewne: zdrowotne, społeczne i gospodarcze koszty zaniechania szczepień mogą się okazać znacznie większe niż utrzymywanie obecnego stanu rzeczy, w którym koronawirus okazuje się silniejszy od człowieka.

PODSUMOWANIA

Polska gospodarka do tej pory w miarę skutecznie opierała się niszczycielskiej sile wirusa w gospodarce, co zawdzięczamy m.in. wprowadzaniu kolejnych tarcz antykryzysowych, utrzymywaniu reżimu sanitarnego oraz dostępowi do środków europejskich. Jednak wiele firm notuje znaczące spadki obrotów,

część stanęła na krawędzi bankructwa, zwalnia pracowników. Choć obecnie, jak zapewnia Ministerstwo Finansów, sytuacja finansów publicznych jest dobra i pieniądze na pomoc dla firm są, to nie ma wątpliwości, że kolejne lockdowny źle odbijają się na kondycji polskiej gospodarki i domowych budżetach.

Z dotychczasowych szacunków ośrodków analitycznych zarówno polskich, jak i zagranicznych (m.in. KE, Banku Światowego, MFW czy NBP) wynika, że spadek polskiego PKB w 2020 r. wyniesie od minus 2,9 do minus 4,5 proc. Dla porównania gospodarka UE miała w ubiegłym roku się zmniejszyć o 7,4 proc. Z prognoz Komisji Europejskiej wynika, że w najtrudniejszej sytuacji będzie Hiszpania, gdzie ubiegłoroczny regres PKB wyniesie 12,4 proc. Duże spadki zanotują także Włochy (9,9 proc.), Francja (9,4 proc.) i Chorwacja (9,6 proc.).



Fot. Shutterstock

tw. odporność stałą, która powoli zapanować nad pandemią” – powiedział główny ekonomista PKO Banku Polskiego Piotr Bujak. Zaznaczył, że dopiero wówczas „zniknie ryzyko dotkliwych dla gospodarki restrykcji”.

Z projekcji PKO BP wynika, że jeśli pandemia znajdzie się pod kontrolą, to polska gospodarka, która uniknęła głębokiej recesji i zachowała w miarę zdrową strukturę, już w drugim kwartale

Z projekcji PKO BP wynika, że jeśli pandemia znajdzie się pod kontrolą, to polska gospodarka, która uniknęła głębokiej recesji i zachowała w miarę zdrową strukturę, już w drugim kwartale 2021 r. będzie w stanie wejść na ścieżkę mocnego i trwałego wzrostu

4,2 proc. „Polska nie uniknie ujemnego wzrostu gospodarczego, ale będzie to wynik lepszy, niż przewidywano we wrześniu” – napisał Goldman Sachs (wcześniej zakładano minus 3,5 proc.). Co ciekawe, analitycy banku prognozują, że wzrost gospodarczy Polski w 2021 r. wyniesie 6,1 proc. w 2022 r. – 4,8 proc., a w 2023 r. i 2024 r. – 3,5 proc.

A co z inflacją? Goldman Sachs przy-
muje, że w 2020 r. wzrost cen wyniesie

3,4 proc., w 2021 r. – 1,7 proc. a w 2022, 2023 i 2024 r. – 2,4 proc. Natomiast z prognozy KE wynika, że inflacja w 2020 r. przyspieszy do 3,6 proc., w 2021 r. wyniesie 2 proc., a w 2022 r. – 2,1 proc.

Z kolei z najnowszej projekcji inflacji NBP wynika, że wskaźnik CPI w minionym roku znajdzie się na poziomie 3,4 proc., natomiast w następnych latach będzie spadać. W 2021 r. ma wynieść 2,6 proc., a w 2022 r. – 2,7 proc. Jeżeli zaś chodzi o rynek pracy, to na koniec 2020 r. stopa bezrobocia sięgnie 6,1 proc. i w 2021 r. nadal będzie utrzymywać się na zwiększonym poziomie. „Dopiero w połowie przyszłego roku będzie możliwe

zahamowanie negatywnych tendencji” – napisał.

NBP zaznacza też, że wraz z częściowym przywracaniem trybu pracy sprzed pandemii, nastąpi sukcesywny wzrost dynamiki płac w gospodarce. Będzie on skutkiem odbudowy intensywności pracy, przywracania dodatków pozapłacowych lub zaniechanych dotychczas, a planowanych wcześniej podwyżek wynagrodzeń. Na kształtowanie się płac wpływać będzie również planowany wzrost płacy minimalnej o 7,7 proc. od stycznia 2021 r. „Przy podwyższonej stopie bezrobocia dynamika wynagrodzeń w horyzoncie projekcji nie osiągnie jednak poziomu z lat 2018–2019” – podkreślono w raporcie.

Wszystko wskazuje więc na to, że to, jaki będzie ten rok w gospodarce, zależy od skutecznej walki z wirusem, czyli od tego, ilu z nas zdecyduje się zaszczepić.

Jadwiga Marcińska

PROGNOZY

Co z prognozami na rok 2021? Eksperci nie mają złudzeń, że wzrost gospodarczy zarówno w krajach UE, jak i w Polsce będzie silnie uzależniony od rozpoczynającej się właśnie akcji szczepień. 21 grudnia Europejska Agencja Leków wydała pozytywną opinię naukową na temat szczepionki przeciw COVID-19 wyprodukowanej przez firmy Pfizer i BioNTech. „To decydujący moment w naszych staraniach o dostarczenie Europejczykom bezpiecznych i skutecznych szczepionek!” – napisała na Twitterze zaraz po decyzji EAL przewodnicząca KE Ursula von der Leyen. Akcja szczepień ruszyła w ostatnich dniach grudnia ubiegłego roku.

„Jeżeli w ciągu pół roku zarówno liczba osób zaszczepionych, jak i tych, którzy przeszli już COVID-19, przekroczy 60 proc. populacji w najważniejszych gospodarkach świata, to osiągniemy

2021 r. będzie w stanie wejść na ścieżkę mocnego i trwałego wzrostu. Istotne znacznie dla rozwoju gospodarczego Polski będą mieć środki z unijnego budżetu na lata 2021–2027 oraz z tzw. unijnego funduszu odbudowy. W sumie ma to być ok. 770 mld euro. Co prawda, jest mała szansa, że pieniądze te trafią do polskiej gospodarki już w 2021 r., ale – jak twierdzi Bujak – przyczynią się one do utrzymania szybkiego wzrostu naszego PKB przez kilka najbliższych lat. Według PKO BP po wygranej z pandemią polska gospodarka może się rozwijać w tempie ok. 5 proc. rocznie.

Dosyć optymistyczne wyliczenia dla polskiej gospodarki przedstawił w grudniu Goldman Sachs, który wziął pod lupę nie tylko Polskę, lecz i inne kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Z publikacji wynika, że nasze PKB spadnie w 2020 r. tylko o 2,3 proc., podczas gdy w Czechach recesja wyniesie 6,5 proc., na Węgrzech 6,2 proc., a w Rumunii



Ile może wielki

Sprzedaż w internecie to nowa normalność dla małych i średnich polskich firm. Państwo powinno chronić ich interesy, zwłaszcza że do gry wejdzie niebawem zawodnik z zupełnie innej ligi – Amazon ze swoją polskojęzyczną platformą sprzedażową



PIOTR FILIPCZYK

Jeszcze kilka lat temu można było powiedzieć, że przyszłość handlu to internet. Dziś przyszłość ta jest już właściwie teraźniejszością, której nadejście przyspieszył wirus z Wuhanu. Tylko w marcu, w pierwszym miesiącu

narodowej kwarantanny, detaliczna e-sprzedaż wzrosła w Polsce o 80 proc., by w kwietniu stanowić niemal 12 proc. krajowej sprzedaży detalicznej ogółem. Wartości te wzrastają z miesiąca na miesiąc i nikt nie ma wątpliwości, że będą rosnać także wtedy, kiedy wreszcie uporamamy się z pandemią.

W PODWÓJNEJ ROLI

Część firm na tym rynku to zupełnie nowi niedoświadczeni gracze. Na e-boisko weszło wiele małych polskich przedsiębiorstw szukających szansy (bo w internecie jest więcej miejsca niż na sklepowych półkach) lub walczących o przetrwanie (bo inaczej nie są dziś w stanie dostarczać swoich towarów). Juniorzy muszą szybko się uczyć, zwłaszcza że za chwilę warunki gry mogą stać się jeszcze trudniejsze. Jak głosi stugębna plotka, zapowiadane od dawna uruchomienie polskiej platformy Amazona tym razem jest już tylko kwestią najbliższego czasu.

Firma stworzona przez Jeffa Bezosa jest, by trzymać się piłkarskich porównań, bramkostrzelnym napastnikiem i jednocześnie głównym sędzią wielkiego meczu o sukces (lub przetrwanie) w e-commerce. Wynika to ze stosowanego przez Amazon modelu działalności, polegającego w uproszczeniu na tym, że firma jednocześnie pośredniczy w sprzedaży produktów niezależnych podmiotów i sama sprzedaje ten sam asortyment, korzystając z własnej infrastruktury i morza pozyskiwanych za jej pośrednictwem danych. Amazon nie jest rzeczą jasną jedyną platformą działającą w ten sposób. Obsługując ponad połowę transakcji sprzedaży na świecie i notując przychody grubo przekraczające ćwierć biliona dolarów, jest za to z całą pewnością firmą największą. I znaną z ostrej gry.

MOCNA (ANTY)KONKURENCJA

Trudno się dziwić, że mocno poturbowana przez COVID-19 Polska czeka na uruchomienie polskojęzycznej platformy Amazona w pewnym napięciu.

– To jest firma, która w tym roku na rozwój sieci e-commerce wydała kilkadziesiąt miliardów dolarów. To są kwoty niewyobrażalne dla jakiegokolwiek firmy w Polsce czy w Europie. Z tym budżetem nikt nie jest w stanie konkurować – mówi Tomasz Janik, prezes Polskiego Towarzystwa Gospodarczego, zrzeszającego m.in. małe i średnie krajowe biznesy, dodając nieco ironicznie, że choć Amazon de facto jest u nas obecny od lat, to „można zapytać, dlaczego w Polsce ma wyłącznie magazyny, a działalność handlową prowadzi z Niemiec”.

– Amazon słynie z tego, że bardzo mocno konkuruje z firmami, które korzystają z ich platformy. Prowadzą sprzedaż równoległą, która w dużej mierze jest zagrożeniem dla sprzedawców z jednej strony zmonopolizowanych przez Amazona, z drugiej zaś przekazujących mu unikatowe dane. Systemy informatyczne je analizują, dzięki czemu Amazon może sprzedawać swoje produkty, lepiej je plasując. Przedsiębiorcy często nie mają na to wpływu i muszą się poddać systemowi – przekonuje Tomasz Janik.

Czy sytuacja, w której największy dostawca usług sprzedaży online to jednocześnie najpotężniejszy konkurent niezależnych sprzedawców z tej usługi korzystających, jest jednoznacznie chora?

– Może być zdrowa, jeśli podmiot wykorzystujący taki model sprzedaży przestrzega prawa i nie dyskryminuje swoich użytkowników komercyjnych – mówi Patrycja Sass-Staniszevska, prezes Izby Gospodarki Elektronicznej. – W przypadku Amazona pojawiają się jednak wątpliwości, które są przedmiotem postępowań prowadzonych w Unii Europejskiej. Organy antymonopolowe coraz częściej zauważają, że udostępnianie infrastruktury mniejszym przedsiębiorcom i jednocześnie bycie ich konkurentem na własnej platformie rodzi pokusę nadużywania swojej pozycji i wypychania małych podmiotów z rynku – dodaje.

Chodzi m.in. o raport zaprezentowany jesienią przez komisarską konkurencji Margrethe Vestager, w którym podsumowano dochodzenie prowadzone w sprawie „antykonkurencyjnego modelu biznesowego” Amazona i nadużywania danych przekazywanych przez przedsiębiorców korzystających z serwisu. Dokument stwierdzał oczywistość – firma Bezosa to nie tylko platforma sprzedażowa, ale też spółka big data. W konkluzjach zawarto surową ocenę praktyk Amazona, które, zdaniem urzędników KE, mają naruszać pozycję rynkową niezależnych sprzedawców. Pozycję i tak osłabioną w związku z covidowym pandemium.

AMAZON POD LUPĄ

Dochodzenia w obszarze zasad konkurencyjności wszczęło ostatnio także wobec Amazona kilka urzędów krajowych. Garść najświeższych przykładów: od końca października 2020 r. niemiecki Federalny Urząd Kartelowy bada, czy stosowany przez firmę wobec niektórych sprzedawców zakaz oferowania określonych produktów (sprzedawanych bezpośrednio przez Amazon) jest zgodny z tamtejszym prawem. Także w październiku francuski rząd interweniował w sprawie domniemanego dumpingu stosowanego przez Amerykanów w ramach oferty „pre-Black Friday”, a we wrześniu miejscowy sąd gospodarczy ukarał giganta grzywną w wysokości 4 mln euro za rozmaite naruszenia w kontraktach z małymi firmami sprzedającymi na platformie. Niemal rok temu hiszpański urząd antymonopolowy badał, czy Amazon nie jest spółką pocztową (choć nie ponosi kosztów, jakie są udziałem lokalnych pośredników pocztowych), a już w kwietniu 2019 r. swoje dochodzenie wszczęła włoska Autorità Garante della Concorrenza e del Mercato. Zarzut? Ten sam co zwykle: rzekome nadużywanie dominującej pozycji na rynku i dyskryminacja kontrahentów.

– Wszystkie duże organizacje przyciągają uwagę organów regulacyjnych i w Amazonie jesteśmy otwarci na taką analizę – komentuje Magdalena Węglewska, CEE PR manager Amazona. – Jednak duże firmy nie są z definicji dominujące, a założenie, że sukces może być jedynie wynikiem antykonkurencyjnych działań, jest po prostu błędne. Pomimo wielu dowodów na to, że jest inaczej, ta niepoprawna teza stanowi fundament antymonopolowych postulatów regulatorów.

Według Amazona „to błędne założenie spowodowałoby przede wszystkim konieczność opuszczenia sklepów internetowych przez miliony niezależnych sprzedawców detalicz-

nych i pozbawienia ich jednego z najszybszych i najefektywniejszych sposobów dotarcia do klientów”.

– Skutkiem tego byłby znacznie mniejszy wybór produktów i wyższe ceny dla konsumentów. Stosowanie niewłaściwych pojęć w kontekście wzmacniania konkurencji w efekcie ją ogranicza – przekonuje przedstawicielka firmy Bezosa.

NADZIEJA I OCZEKIWANIA

– Mam nadzieję, że ta międzynarodowa korporacja będzie przestrzegała prawa i nie będzie wykorzystywać swojej światowej pozycji dominującej do jego obchodzenia – mówi rzecznik małych i średnich przedsiębiorców Adam Abramowicz. I dodaje, że „polski rynek jest jednak już dość mocno rozwinięty, więc wejście nowego gracza, nawet tak znanego, nie musi należeć do łatwych”.

Nadzieję na elementarną uczciwość i zdrową konkurencję mają oczywiście także inni przedstawiciele polskich przedsiębiorców. Ale nie ukrywają, że potrzeba tę nadzieję umocnić, wprowadzając regulacje prawne wspierające małych – najlepiej jeszcze przed wejściem tego wielkiego.

– Inne kraje mają swoje ograniczenia i wypracowane wzorce, z których można korzystać. Nawet duże firmy francuskie czy niemieckie boją się konkurencji ze strony giganta, jakim jest Amazon – mówi Tomasz Janik, prezes PTG.

– Nie możemy oczekiwać, że małe i średnie przedsiębiorstwa będą w stanie na równych zasadach mierzyć się z firmą tak dużą jak Amazon. Oczekujemy więc, że państwo zadba o wprowadzenie odpowiednich przepisów prawa, które będą chronić krajową gospodarkę przed naruszeniami konkurencji ze strony globalnego giganta – dodaje Patrycja Sass-Staniszevska.

Oboje wskazują, że duża – historyczną można rzec – funkcję do spełnienia będzie miał tu Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, pokazujący ostatnio, że potrafi postawić się moźnym tego świata.

– Jestem przekonany, że pan prezes jest sojusznikiem małych i średnich firm i bez wątpienia odpowiednie regulacje w e-commerce zostaną wprowadzone – puentuje Tomasz Janik.

Urząd na razie oszczędnie wypowiada się na temat własnych ocen sposobu funkcjonowania platformy Amazona i ewentualnych działań państwa polskiego wobec tej firmy. Przedstawiciele UOKiK podkreślają, że działania dotyczące firmy Bezosa prowadzi Komisja Europejska, która „nie kwestionuje samego modelu biznesowego Amazon, lecz bada, czy przedsiębiorca ten nie nadużywa swojej pozycji dominującej w związku z możliwym wykorzystywaniem przez niego informacji wrażliwych pochodzących z platformy na cele własnej działalności sprzedażowej”.

– Analizujemy funkcjonowanie platform handlu elektronicznego w Polsce. Z pewnością będziemy reagować w przypadku wykrycia nieprawidłowości i naruszenia reguł konkurencji, tak aby zapewnić uczciwą rywalizację podmiotów na tym rynku – czytamy w informacji przesłanej nam przez UOKiK.

Kiedy to wszystko się na dobre zacznie?

„Nie komentujemy pogłosek odnośnie do naszych planów rozwoju, ale będziemy cały czas wspierać polskie firmy w osiąganiu sukcesów sprzedażowych w serwisie Amazon” – czytamy w stanowisku firmy przekazany nam przez Magdalenę Węglewską. ▀

Królewskie paszteciki

Lena Góra, grająca w serialu Annę Ziemińską – dobrze urodzoną i wykształconą warszawiankę, która nie zawsze zachowuje się jak dama – chętnie wspomina scenę kręcącą w barze U Głajszmitki. Zbudowane od podstaw ciasne wnętrza przedwojennego żydowskiego baru okazały się niezwykle realistyczne również za sprawą pewnego niewidzialnego detalu. – Pamiętam zapach bigosu, który unosił się wszędzie, a nawet go w tej scenie nie jedliśmy – wspomina aktorka. – Po prostu tam był, Anna flirtowała z Jakubem w jego oparach. Takie elementy scenografii nadają scenom niesamowitą prawdę.

W sytuacjach restauracyjno-barowych swoją rolę do odegrania miały też m.in. smakowicie wypieczone i eksponowane rogaliki czy chętnie zamawiane przez głównego bohatera Jakuba Szapiro (Michał Żurawski) paszteciki.

Serial „Król” (według powieści Szczepana Twardocha i w reż. Jana P. Matuszyńskiego) pieczołowicie i z dbałością o najmniejszy detal odtwarza świat przedwojennej Warszawy. Nawet potrawy uchwycone okiem kamery, a stanowiące element dekoracji – czy to w luksusowej restauracji, czy w podrzędnym barze – przedstawiają się bardzo wiarygodnie. Ponoć smakowały i pachniały, nadając dodatkowo autentyzmu scenografii stworzonej na potrzeby filmowej produkcji.

W roku 1937, w którym rozgrywa się większość akcji serialu, „zilu-strowanego” wspinał się przez Kacpra Fertacza (zdjęcia), Grzegorza Piątkowskiego i Katarzynę Sikorę (scenografia), Emilię Czartoryską (kostiumy), Polę Guźlińską (charakteryzacja) i Atanasa Valkova (oryginalna muzyka) – niezwykle popularnością, zarówno w Warszawie, Poznaniu, jak i we Lwowie, cieszyły się przepisy Marii Disslowej. Znaleźć je można było w wydanej w 1930 r. książce „Jak goto-

wać: Praktyczny podręcznik kucharstwa”.

Z wydawnictwa tego pochodzi m.in. przepis na paszteciki jarskie w naleśniku – przykład domowej gospodarności, tak propagowanej przez autorkę. Na farsz zużywało się jarzyny z zupy (poza marchewką, pietruszką i selerem znajdowały się tam też kalarepa, kapusta i kilka grzybów). Posiekane drobno i podduszone na maśle z cebulą, uzupełnione potem poszatkowanym jajkiem, łyżką zielonego kopru i natki pietruszki oraz utartym parmezanem, tworzyły masę, którą nakładało się na naleśniki, zawijało i smażyło.

Autorka podpowiadała czytelnikom, że „zużytkować można do takich pasztecików każdą pozostałą jarzynę, dodać można tartą bułkę, ugotowaną kaszę, ryżu, resztki mięsa, tłuszczu itp.”. A co znajdowało się w rozciągajczykach, również znakomitych jako przekąska? Przepis przytaczamy obok.

Jolanta Gajda-Zadworna

Rozciągajczyki

Składniki: Na ciasto drożdżowe: 1/2 kg mąki, 4 żółtka, 4 dkg drożdży, 1 dkg cukru, 8 dkg masła. Na nadzienie: 18 dkg łososia, 10 dkg ryżu, 6 dkg masła, kilka pieczarek, 1 cebula, 1 ugotowana marchew, seler, 1 jajko, 2 sardele.

Wykonanie: Z podanych dodatków wykonać drożdżowe ciasto zwykłym sposobem. Do nadzienia udusić na maśle posiekane pieczarki i cebulę, ryż ugotować na sypką kaszę, zmieszać z pieczarkami, dodać usiekanego sardela i jajko, posolić, włożyć wkońcu pokrajane w drobną kostkę jarzyny, wymieszać razem. Wyrośnięte ciasto dzielić po 4 dkg, rozplaszczyc w rękach lub pociągnąć wałkiem, położyć na ciasto płatek wędzonego łososia, włożyć na to łyżeczkę nadzienia, zebrać wokół ciasto i ścisnąć, aby uformowała się mała bułeczka, kłaść na posmarowaną blachę, stroną nierówną w górę, nacisnąć z wierzchu nożem, ażeby łosoś przegłądał ze środka. Gdy bułeczki urosną, posmarować jajkiem, piec w gorącym piecu 10 minut, gdy zrumienią się, posmarować roztopionym masłem i wsunąć jeszcze na minutę do pieca. Podać na stół na serwiecie.





SŁODKO-SŁONY

Kapusta z łazankami

ANNA MONICKA

A co, jeśli po świętach i witaniu nowego roku zostanie ci gar kapusty z grzybami, której nikt już nie ma siły zjeść, a zamrażarka pęka w szwach? Jest jedno danie, które odświeży oklepany kwaskowaty smak. To łazanki. Można je przygotować i z kapusty kiszzonej, i ze słodkiej. Można też obie mieszać w proporcjach, które będą każdemu pasować. Chcesz je potraktować jako sycający wegetariański obiad? Nie dodawaj mięsa. Niech twój brzuch trochę odsapnie po kilku dniach obżarstwa. Ale jeśli nie wyobrażasz sobie obiadu bez „wkładki”, podsmaż kielbasę lub dorzuć to, co zwykle łąduje w bigosie: skrawki karkówki, schabowego, polędwiczek, boczką, a nawet drobiu.

Mnie ta potrawa smakuje zawsze, niezależnie od rodzaju kapusty, chociaż teraz, zimą, wybieram raczej kwaszoną. Szukam takiej nie za mocnej i soczystej. Lubię chrupką i nie za bardzo posiekaną. Odciskam ją porządnie (soku nie wylewam, jest bardzo zdrowy i przyda się do ewentualnego podkwaszenia na koniec), a kapustę lekko płuczę. Mięsa nie używam, w moim wykonaniu danie jest wegetariańskie. Podsmażam na klarowanym maśle dwie-trzy cebule, ewentualnie poszatowanego pora (tylko delikatniejsze białe części), dosypuję kminek – i całe ziarenka, i mielony, żeby lepiej pachniało – a potem dodaję odcisniętą kapustę i wszystko razem jeszcze raz przesmażam. Zalewam bulionem warzywnym i duszę. Do kapusty można dodać kwaśne jabłka – gdy się rozgotują, zagęszczą sos.

Osobno gotuję w osolonej wodzie makaron łazanki, a więc nie wstążki, tylko małe kwadraciki. Pilnuję, żeby był al dente, przelewam go zimną wodą. Powinien być lekko twardawy i zahartowany, żeby nie zamienił się potem w kleistą papkę. Dodaję go na koniec, mieszam delikatnie i jeszcze przez chwilę podduszam. Danie musi się przegryźć przez noc, wtedy dopiero doprawiam solą, pieprzem i ewentualnie dolewam kwaskowaty sok, jeśli trzeba podkwaśić.

Gdy kapusta z łazankami łąduje wreszcie na stole, wszyscy zjadają, aż im się uszy trzęsą. Można ją podawać po prostu z garnka, a można delikatnie zapiec w płaskiej formie, oprószoną pachnącym serem, na przykład wyrazistym oscypkiem albo płatkami korycińskiego. Będzie jeszcze smaczniej i ciekawiej. 



WILCZYM OKIEM

Matka lasu

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jeżeli przyjąć, że koniec starego i początek nowego roku to okres, kiedy podsumowuje się miniony czas, rzeczą zwracającą uwagę w 2020 r. był z pewnością urodzaj bukw, czyli trójgraniastych, błyszczących nasion buka pospolitego *Fagus sylvatica*, nazywanych też orzeszkami bukowymi. Buk, jeden z najważniejszych gatunków lasotwórczych w Polsce, nie owocuje bowiem każdego roku – a raczej owocuje, lecz w bardzo niewielkim stopniu; co kilka lat natomiast przypadają tzw. lata nasienne, oznaczające się owocowaniem bardzo obfitym. Tak też było w 2020 r. Po opadnięciu jesienią bukowych liści ukazały się gałęzie oblepione kolczastymi lupinami, w których środku kryją się po dwa lub trzy nasiona. Dlaczego rok nasienny buka jest ważnym wydarzeniem?

Leśnicy nazywają buka „żywicielem” lub „matką” lasu – ściółka bukowa jest obfita, dobrze się rozkłada, daje żyzną próchnicę i zapobiega bielicowaniu, czyli ubożeniu gleb. Buki występują jako cenna domieszka lub tworzą własne zbiorowiska: buczynę pomorską i słynną buczynę karpacką.

Rok nasienny to okazja do zgromadzenia przez leśników nasion wykorzystywanych bezpośrednio w zalesieniach i w szkółkach leśnych. Zresztą obsiew buka po takim roku następuje także w sposób całkowicie naturalny. Najbliższej wiosny poszycie lasu zazieleni się niezliczonymi siewkami bukowymi o nietypowym wyglądzie. Dwa nerkowate, ułożone w koło liście, czyli pierwsze liście w siewce buka, są zupełnie inne od eliptycznych, lekko owłosionych liści, jakie drzewo wytwarza później już przez całe życie – siewka buka bardziej przypomina osobliwego kopytnika niż drzewo, którym stanie się później. W takim roku nie zabraknie pożywienia dzikom, orzesznicom, żołędnicom, popielicom, koszatkom, sójkom, grzywaczom i innym.

Młode liście buka można zjadać jako sałatkę, nie zaleca się jednak spożywania większych ilości ze względu na zawarte w liściach substancje. Bukiew natomiast przypomina w smaku orzechy. Skosztowanie jej jako ciekawostki nie zaszkodzi, natomiast surowa, zjedzona w większej ilości, jest dla ludzi toksyczna ze względu na obecność faginy. Związek ten rozkłada się podczas prażenia. Z bukw można też pozyskać pożywny olej lub przyrządzić coś w rodzaju kawy. 

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Noworoczny felieton?

No i na koniec życzenia dla redaktorów – kolegów z branży.

Nie ma w Polsce słowa „pogranicznik”, to rusycyzm



www.wojciechreszczyński.pl

Przelom roku to wdzięczny dla felietonisty czas, aby powiedzieć o tym, czego by nie chciał słyszeć, widzieć ani doświadczać w nowym roku. Na pewno skutków koronawirusa, który odebrał życie kilkunastu znanym mi osobiście ważnym ludziom. I dosyć już neobolszewickich aktów agresji wymierzonych w polski naród i Kościół katolicki. Państwo musi konsekwentnie egzekwować prawo karne, którego źródłem jest konstytucja, do niedawna przedmiot najwyższej czci, źródło ideowej inspiracji dla totalnej opozycji w walce z rządem.

To te ważne życzenia. A pozostałe? Dotyczą różnych spraw. Jak chociażby tej gminnej drogi z zapadłymi studzienkami kanalizacyjnymi, niebezpiecznie omijanymi slalomem. Czy ciągłych telefonów z różnych firm z zachętą do korzystania z kupna i usług. Skąd mają mój prywatny numer telefonu? A dlaczego z takim trudem trzeba odklejać od towaru naklejki z ceną i czy naklejki te muszą być na jabłkach?

Ciąg dalszy tych spraw, ale jakby o większym gatunku. Dlaczego tylko dwie firmy, niemiecka i holenderska, mają monopol na produkcję żarówek w Europie? Po tylu latach, od czasu Edisona, którego pierwsza żarówka podobno nadal świeci, firmy te produkują dla odbiorców w Europie równie szybko, jak ich klienci wymieniają zepsute żarówki na nowe. Ale poza tym w UE wszystko jest OK.

Nie da się słuchać młodych polskich aktorów – czy to w telewizji, filmie, teatrze – gdy mówią, nie otwierając ust. Stare pokolenie aktorów odchodzi, dlatego w ich imieniu mówię do młodych, macie mówić, szeroko otwierając usta.

Mówić, pisać i czytać po polsku. A jak się można czuć, kiedy po zakupieniu za-

granicznego towaru okazuje się, że nie ma instrukcji w języku polskim. Jest po rosyjsku, ukraińsku, nawet armeńsku, ale nie po polsku. Jak rodzimy eksporter może się godzić na to, aby po 16 latach od wejścia Polski do UE sprzedawać w Polsce towar bez poszanowania polskiego nabywcy?

Zawsze irytację wywołuje moment, gdy na komputerze włączy się nieproszony caps lock. Trzeba robić krótkie przerwy, a teksty szybko zapisywać. Komputerowa łatwość zachęca rynkowych gigantów do zamiany papierowych rachunków wysyłanych pocztą do klientów na łączność e-mailową. Oni oszczędzają na papierze i cenie wysyłki rachunków pocztą, ty jesteś zmuszony odbierać internetową pocztę. A w niej coraz częstsze monity z żądaniem opłacenia rachunków w terminie. Niby dlaczego?

Ostatnio firma Cyfra Plus wrzuca na ekran telewizora klienta tekst z licznikiem czasowym: „Za chwilę wyłączy się dekoder”. Kto ich do tego upoważnił? Czy za chwilę nie pojawi się na telewizorze jakaś roznegliżowana pani z wypowiedzią: „Czekam na pana”? Jakim prawem ta firma decyduje o tym, ile i do kiedy ktoś korzysta z opłaconego przecież dekodera?

Podobnie firma Orange, dawna polska TP SA, sprzedana Francuzom za paciorki, dzięki zapobiegliwości Jana Kulczyka, nie jest w stanie powstrzymać się od uporczywego przypominania klientowi o zapłaceniu rachunku zaledwie dzień po terminie. Ta troska o zachowanie płynności finansowej francuskiej firmy państwowej działającej w Polsce jest wyjątkowo upokarzająca.

No i na koniec życzenia dla redaktorów – kolegów z branży. Nie ma w Polsce słowa „pogranicznik”, to rusycyzm. W II RP był Korpus Ochrony Pogra-

nicza, w PRL – Wojska Ochrony Pogranicza, a teraz jest Straż Graniczna. Należy mówić: żołnierze, oficerowie, funkcjonariusze Straży Granicznej, a nie „pogranicznicy”. Rusycyzm to także sformułowanie „póki co”. Wyeliminowano w ten sposób takie określenia jak: w takim razie, w tym czasie, do chwili, jak dotąd, tymczasem, aczkolwiek, w międzyczasie, do teraz itd. Używanie tego rosyjskiego zwrotu „rozgrzeszył” niestety prof. Jerzy Bralczyk. No i ta nieśmiertelna „bezpośrednia transmisja”, jakby transmisja mogła nie być bezpośrednia. Albo „transmisja na żywo”. Zatem tylko „transmisja”, „relacja”, „program na żywo”. Nie ma też sformułowania „w cudzysłowie”. Żeby zapamiętać, że prawidłowo mówi się „w cudzysłowie”, podawałem studentom jako przykład słowo „rów”. Można przecież wyładować w rowie, a nie w rowiu.

Szkoda, że angielskie „wow” wyeliminowało aż 17 polskich słów wyrażających zachwyt: hurra, och, ach, cudownie, świetnie, wspaniale, nadzwyczajnie, niesamowite, niebywale, nieprawdopodobne, bajeczne, prze cudownie, fenomenalnie, fantastycznie, genialne, wyśmienite, kapitalne. A czy pozostałe obce słowa wyrażające zachwyt muszą się zaczynać i kończyć na „super” i „ekstra”?

I jeszcze jedno, gdy mówimy o Polsce, o naszej Ojczyźnie, nie mówmy „ten kraj”, „w tym kraju”. To obce sformułowanie zaborcy ciągnie się za nami od czasu „Kraju prawiślańskiego”. Tak nazywali Moskale i ich wierni poddani to, co zostało po likwidacji Królestwa Polskiego, po powstaniu styczniowym. Mówmy tak, jak trzeba: „nasz kraj”, „mój kraj”.

To do siego roku!

PRZEZ ŚWIECIK

Pod okiem Stefana

Jako zwolennik niepraworządności i łamania konstytucji o prawie pojęcie mam liche, a o procesach niemal żadne. Z pomocą przyszła na szczęście przedświadczeni „Gazeta Wyborcza”, która piórem niejakej madame Ewy Ivanovej rozprawiła się z mecenasem Arturem Wdowczykiem, który miał śmiałość, czelność i beczelność wygrać ze spółką Agora kilka głośnych procesów, a kilka kolejnych prowadzi.

Lech Wałęsa mawiał, że żeby nie mieć temperatury, wystarczy stłuc termometr. Jak widać, koleżeństwo z Czerskiej idzie dalej i dochodzi do wniosku, że aby nie mieć procesów, wystarczy wyeliminować mecenasa przeciwnika. Np. domagać się karania krnąbrnego w swojej skuteczności adwokacyny przez Okręgową Radę Adwokacką. Szczególnie że jest za co.

Jeśli popełniacie państwo czyn zabroniony z przyszłego Kodeksu karnego i nie czytacie „Gazety Wyborczej” (jestem pewien, że w tej sprawie prawo będzie działać wstecz), już wyjaśniam. Wdowczyk – prywatnie nie da się ukryć jeden z moich najbliższych przyjaciół – od lat śmie bronić ludzi atakowanych przez Ministerstwo Propagandy i Oświecenia Publ... o przepraszam – przez zacny dziennik Adama Michnika. Wygrał m.in. proces, w którym tenże Adam Michnik domagał się od Rafała Ziemkiewicza surrealistycznych sum za to, że tamten zwrócił uwagę na fakt uniżoności sądów wobec wspomnianego wielkiego redaktora. Wygrać w sądzie sprawę, która dotyczy tekstu o sądach, w dodatku z Michnikiem, to nie lada sprawa. Trzeba być niezłym szelmą.

Tym razem szelma reprezentował Narodowy Bank Polski przeciwko „Wyborczej”. Złożył kilka pozwów. Po procesach zwrócił uwagę, że wyroki – niekorzystne dla NBP – były takie same! Wdowczyk naiwniak chciałby, by każdy sędzia sam niezależnie orzekał. A tu identyczne uzasadnienia wyroków w kilku sprawach! Złożył więc donos (wedle terminologii „GW”) na sędziego. Ta z kolei złożyła skargę (bo to już nie donos) na Wdowczyka.

W związku ze skargą Wdowczyka prokuratura chciała przejrzeć sędziowskie komputery, ale nie dostała zaszczytu, bo jak czytamy w „GW”: „na komputerach sędziów są projekty różnych wyroków, uzasadnień, czy ustalenia z narad”. Trochę dziwne, że sędziowie mają zawczasu wyroki na komputerach. Podobnie jak dziwne z tymi identycznymi wyrokami, ale kropkę nad i stawia Michnikowy mecenas Piotr Rogowski, tłumacząc, że skoro takie same pozwy, to i takie same wyroki.

Niby adwokat może być zdziwiony, że w różnych sprawach zapadł nie tylko identyczny wyrok, lecz i identycznymi słowami go napisano. Niby pozew można skopiować i często się to robi, ale wyroki absolutnie nie powinny być kopiowane, tym bardziej nie powinny być zawczasu trzymane na komputerach w sądzie. Niby adwokat, który na takie sytuacje trafia, może legalnie wnieść skargę. Nic z tego, panie Wdowczyk.

Nie wolno. Nie w ferworze walki o konstytucję, praworządność i inne wielkie wartości europejskie przyświecające naszej kosmopolitycznej ojczyźnie. Niestety, duchowy ojciec tego nurtu prawnego mieszka w Szwecji i nie może wam, panie Wdowczyk, zamknąć dzioba swoimi metodami, ale podopieczni brata zajmą się wami metodami bardziej dostosowanymi do wymogów etapu. A wy nic, tylko się głupio uśmiechacie, bo klienci za sprawą reklamy w „Wyborczej” do was walą drzwiami i oknami.



**Wiktor
Świetlik**



Z życia

Kościola

relacjonuje

**Agnieszka
Ponikiewska**

1. Watykan pochwalił rozpoczęcie szczepień przeciwko koronawirusowi. Zespół Ekspertów ds. Bioetycznych Episkopatu Polski w stanowisku na temat szczepionek zaznaczył, że decyzja jest kwestią wyboru danej osoby, dokonaną przez nią w sumieniu, gdyż to ostatecznie ona ponosi odpowiedzialność za swoje życie i zdrowie, a często również za zdrowie innych osób. Kard. Kazimierz Nycz, abp Wojciech Polak, bp Adrian Galbas, bp Romuald Kamiński – to niektórzy z naszych hierarchów, którzy już zadeklarowali, że zaszczepią się przeciw COVID-19.

2. Co nam zostanie, kim będziemy, jeśli pozwolimy na „odjanieprawienie” Polski? Św. Jan Paweł II jest wielką postacią w historii Kościoła i w historii Polski. Dobrze, że to świeccy czują, że nie mogą dłużej milczeć, gdy w tak zmasowany sposób atakuje się papieża Polaka. Mamy coraz więcej filmów, wywiadów, programów radiowych i telewizyjnych, które przypominają postać Jana Pawła II. Nie dajmy sobie wmówić, że papież, dla którego wolność była wielką wartością, w jakikolwiek sposób może nam ją odebrać.

3. Papież Franciszek ogłosił Rok Rodziny. Zakończą go obchody 10. Światowego Spotkania Rodzin, które odbędą się w Rzymie w czerwcu 2022 r. To niezwykle ważna inicjatywa w chwili, gdy wartość rodziny jest coraz mocniej podważana. Papież zaznaczył: „Na wzór Świętej Rodziny jesteśmy powołani do ponownego odkrycia wychowawczej wartości rodziny: musi być ona oparta na miłości, która nieustannie odnawia relacje i otwiera perspektywę nadziei”.

4. Z tego trzeba sobie zdawać sprawę. Wiara wymaga odważnego świadectwa, które może się zakończyć męczeńską śmiercią, do czego dochodzi także w dzisiejszych czasach. Na całym świecie rośnie liczba prześladowanych chrześcijan. Według najnowszego raportu międzynarodowej organizacji Open Doors w ok. 50 krajach chrześcijanie codziennie giną za wiarę.

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

20/21

Są koncepcje, głównie filozoficzne, głoszące, że czas jest subiektywnym abstraktem wytworzonym przez człowieka. Czyli że czas sobie po prostu wymyślił i w dodatku na tyle ciekawie, że tego swojego wymysłu nie potrafimy do końca zrozumieć. Trochę jak malarz, spod którego pędzla wyszedł obraz, w którym „coś jest”, coś przykuwa uwagę, ale on nie potrafi tego nazwać, a tym bardziej zdefiniować. Ale też są i takie ujęcia czasu, które widzą w nim zjawisko nadprzyrodzone, niezależne od woli człowieka i nie przez niego stworzone. A niektóre z tych teorii głoszą, że to Bóg, stwarzając świat, stworzył czas. Jedno i drugie stanowisko nie jest w stanie wygenerować pełnego zrozumienia tego fenomenu i każda próba jego definiowania jest niepełna i wysoce umowna.

Czas jest nieodłącznym towarzyszem naszego życia. Towarzyszem lekarzowi, bo jest najlepszym lekarstwem i komponentem wszystkich czynności medycznych. Chociażby w gojeniu się ran. Czas otula nasze wzrastanie, wiedzie nas do śmierci, ale też ku narodzinom. Jest cenzorem naszych poczynań i weryfikatorem życiowych planów. Jest jak powietrze – niezbędny do życia, każdego życia.

Wyrwając z kalendarza kartkę z datą 31 grudnia, nikt nie ma wątpliwości, że to zmiana szczególna. Zamykamy i otwieramy rok. A to czysta umowa, zwykły przesąd i jedyne, co tu jest realne, to Zenek Martyniuk, Agnieszka Chylińska, Sławomir i Limahl w telewizji. Całkiem nieodpowiedzialnie czas miniony, a raczej jego fragment, uznajemy za zamknięty. Świadcza o tym chociażby albumy z fotografiami rodzinnymi opatrzone informacją o roku, w którym zostały wykonane. Zupełnie tak, jakbyśmy mogli czas otwierać albo zamykać.

Kolejny rok zawsze „ma być lepszy”, „spokojniejszy”, „pomysłniejszy”, „szczęśliwszy”. To skala naszych marzeń, ale też naiwności. Bo tkwi w nas jakieś przekonanie, a może i zaboron, że czas może zmieniać świat tylko na lepsze. Że nawet gdy gdzieś tam się pogorszy, to na końcu i tak będzie dobrze.

Czy rok 2021 będzie lepszy od poprzedniego?

Po pierwsze, nie wiadomo, co to znaczy lepszy. Bo pandemia się nie skończy i będzie miała swoje nawroty, za wszelką cenę jakimś poluzowaniem. A to wakacje, a to święta, a to rozgrywki ligowe. Zagrożenie COVID-19 będzie nam tak długo towarzyszyć, że zapomnimy, iż kiedyś było inaczej. Oszalałe kobiety nie przestaną wrzeszczeć na ulicach, póki ich najdorzadniejsze i najgłośniejsze zapiewają nie umos-



**Aleksander
Nalaskowski**

*Czas jest nieodłącznym
towarzyszem naszego życia.
Jest jak powietrze – niezbędny
do życia, każdego życia*

czą się w Sejmie, europarlamencie albo w innym miejscu, gdzie będą się bardziej liczyć pieniądze niż ochrona godności niewiast za pomocą zabijania ich dzieci. Wiosną tęczowi znów wyjdą na ulicę, oczywiście w ramach spontanicznych spacerów. Określenia „faszyści”, „naziole”, „pisiory” pomału wejdą do języka publicystyki na zasadzie normalności. Tak samo było z „kibolami” – slang przedarł się do mediów i się tam już na dobre rozgościł. Dzieci i młodzież raz będą chodziły do szkoły, potem znów nie i tak w kółko. Ale to i tak nie ma już znaczenia. Kolejny rok będziemy promować tabletową wiedzę i strategię takiego uczestniczenia w lekcjach, aby w nich nie uczestniczyć, utrwali się tableto-owa kindersztuba i tableto-owa uczciwość

– uczniów i nauczycieli. Bo nauczanie zdalne jest jak spisywanie lekcji z zeszytu kolegi, gdy się było na wagarach. Ewentualne powroty do szkoły będą obarczone pytaniem: „Do kiedy?”.

Prawdziwy rejwach się podniesie, gdy w końcu wszystkie dziennikarskie kurtyzany zrozumieją, że akcja Orlenu z wykupieniem własności od Polska Press to arcyministozstwo

świata, któremu trudno będzie się przeciwstawić, bo boiskiem była tu ekonomia, a nie ideologia. Zachód z ekonomią dyskutować nie będzie. Szmal to szmal. Kupno-sprzedaż to najbardziej transparentne i demokratyczne działanie. Ale kurtyzany będą beczeć, ronić łzy, biadolić i dlatego trzeba je zawczasu przeffancować do redagowania gazetek w hipermarketach. Ofiarą tych nalożnic padły przede wszystkim lokalne popołudniówki, które jedna w drugą, bez względu na region, są takie same. Jakby dla całej Polski redagowała je jedna mafia.

Po 31 grudnia w sposób czysto umowny będziemy starsi. Ale czyż nie starzejemy się każdego innego dnia? Patrząc w ten sposób, trudno uniknąć wrażenia, że urodziny to okropnie smutne święto. Wieczność jest w imieninach, o czym już tu kiedyś pisałem.

Drodzy Czytelnicy! Życzę Wam, aby „Sieci”, dzięki Waszej pomocy, nie zbankrutowały, tak samo szczerze jak życzę bankructwa innym periodykom, z którymi mi nie podrozdze. Jeśli czytacie ten felieton, to znaczy, że jesteście w dobrej kondycji, nic Wam nie dolega i żyjecie. Niech ten stan się utrwali. A nam wszystkim życzę punktualności – abyśmy się co tydzień w tym miejscu spotykali.

„Cień Kiszczaka” w ECS

Początek roku 2021 przyniósł duże ożywienie opozycyjnej, podziemnej prasy. W tygodniku „Wolności Zorza znad Gdańskiego Morza” znalazłem atrakcyjny tekst podpisany J.J.

„W najbliższą środę wczesnym wieczorem Lech Wałęsa prawdopodobnie wygłosi w Europejskim Centrum Solidarności odczyt zatytułowany: »Źródła polskiego patriotyzmu a gry losowe«”.

Czy do spotkania dojdzie w podanym terminie oraz o której godzinie, można się dowiedzieć już od wtorku rano, pod telefonem 98 14 23, Klinika Zabiegów Specjalnych, dr Stefan Pąkróży.

Do tego czasu Lech Wałęsa zostanie poddany terapii w związku z drobną, ale w swym apogeum wywołującą dziwne reakcje przypadłością. Zwyródnieniu, które zalicza się do wyjątkowo rzadkich jednostek chorobowych, nadano termin medyczny „Cień Kiszczaka”. Podczas rzadkich, niestety powtarzających się, ataków cierpiący bezustannie, nerwowo ogląda się za siebie. Jednocześnie szeptem prowadzi dialog z niewidoczną postacią, wyrzucając z siebie głośno zwykle to samo zdanie: „Wezme, ale nie podpisze”.

Po długotrwałej obserwacji, wielu wywiadach z domownikami oraz badaniach krwi pacjenta i mierzeniu jego tętna po obejrzeniu filmu „Wałęsa. Człowiek z nadziei” dr Pąkróży wraz z zespołem zdiagnozował, że zwykle nawrót kłopotów u byłego lidera Solidarności następuje po jego ulubionym śniadaniu – jajeczniczy na bekonie. Nie zaś, jak początkowo przyjęto, wówczas gdy małżonka Danuta wkłada do pralki jego wszystkie koszulki z napisem „Konstytucja”. Hipoteza ta wydawała się wiarygodna, bo zawsze ilekroć Lech Wałęsa musiał założyć zwykłą koszulę, narzekał, że czuje się, jakby zdjęto z niego pancerz, który chroni go przed nieprawościami tego rządu.

Próbowałem u źródła poznać związek między kluczowymi pojęciami z tytułu odczytu. „Mogę tylko powiedzieć: Szczęście trzeba umieć łapać. Resztę dośpiewaj pan sobie sam. Pi-sowski kołku” – odburknął przez telefon, znany z jędrnego języka laureat Pokojowej Nagrody Nobla, najwyraźniej myśląc mnie z kimś z mediów rządowych.



**Jerzy
Jachowicz**

Tanecznym krokiem z kanapy

*Z małżeństwem **Katarzyną Cichopek** (aktorką) i **Marcinem Hakielem** (tancerzem)
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Ferie z dziećmi, zwłaszcza teraz, to wyzwanie dla rodziców?

Katarzyna Cichopek: Oczywiście. Czas jest trudny, a dzieci mają dużo energii. Trzeba ją jakoś spożytkować, coś nowego im pokazać, zaangażować.

Jako roztańczone małżeństwo i rodzice, którym nieobce jest zdalne nauczanie, przylączyliście się do cyklu programów „TVP Ferie”, który rusza 4 stycznia?

Marcin Hakiel: Byliśmy odpowiedzialni, razem z Idą Nowakowską i Izą Krzan, za odcinki taneczne zrealizowane w ramach bloku „Poczuj rytm”. Przy czym nasza rola sprowadzała się do uczestniczenia w nagraniach jako goście specjálni (udowadniałiśmy, że w 15–20 min można się nauczyć choreograficznego układu). Zajęcia prowadzili instruktorzy naszych akademii tanecznych, wyspecjalizowani w pracy z dziećmi.

Pokazujecie, że aktywnym fizycznie można być na różne sposoby?

M.H.: Dokładnie tak. Kiedy powstawał projekt „Ferii TVP”, naszym pomysłem było zorganizowanie serii tanecznej w rytmie popularnych piosenek. Wybraliśmy utwory Viki Gabor, Cleo, Roksany Węgiel, ale też Shakiry. Zależało

nam, żeby było to ciekawe dla młodego odbiorcy, który dzisiaj jest zalewany mnogością treści.

Czy w tańcu też najtrudniejszy bywa pierwszy krok?

K.C.: Najtrudniejsze to wstać z kanapy. To już jest pierwszy krok.

M.H.: W pandemicznych realiach właśnie o to chodzi, by z tej kanapy wstać. A przygotowane układy można tańczyć z całą rodziną.



Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Baza ludzi zaszczepionych

*Rok 2021 wszedł w znak
Szczepionki*

U nas walka z zarazą jest o tyle skomplikowana, że panosząca się jawnie i bez skrępowania V kolumna wzniera niepokoję, negując wszelkie posunięcia władz. Nawet bezsprzeczny sukces, czyli pomoc dla kierowców tirów uwięzionych w Anglii, też próbowano dezawuować.

Jesteśmy świadkami i uczestnikami największego eksperymentu medycznego w dziejach ludzkości. Plan docelowy zakłada szczepienie całej populacji. Z jednej strony ta metoda zwalczyła choroby dręczące człowieka przez wieki, z drugiej jest wiele obaw, które trudno lekceważyć. Na grypę trzeba się szczepiać corocznie. Ten wirus mutuje w różnych krajach Europy. Czy szczepienie trzeba będzie ponawiać?

Są dwa nieostre mity założycielskie 1. Szczepionka jest darmowa, bo nieodpłatna przy zabiegu, ale jeśli rząd wyda na nią 5–10 mld zł, to nie jest darmowa. 2. Szczepienia będą nieobowiązkowe. Ale: „Status osoby zaszczepionej rzeczywiście będzie nieco się różnił od statusu osoby, która nie przyjęła szczepionki”, mówił minister Michał Dworczyk w wywiadzie dla gazety ukradzionej przez PO przy śmietniku. I ma rację.

Wstęp do teatru, możliwość latania samolotem czy niektóre profesje mogą być dostępne tylko dla osób z zaświadczeniem. A to będzie związane ze światową bazą ludzi zaszczepionych. Nie mylić z „Bazą ludzi umarłych”.

Wszyscy chcemy powrotu do normalności. Raczej trzeba się pogodzić, że przed nami nowa normalność. Jaka? Kto to wie?

Na razie życzę z okazji nadejścia 2021 roku: Szczęśliwego Nowego Szczepienia.



**Ryszard
Makowski**

Michał Korsun prezentuje:
Smutne święta redaktora Węglarczyka



Wycinki z przeszłości

Takim zdjęciem bobaska witała redakcja „Przyjaciółki” nowy 1975 r. Był to czas urzędowego, ale i prawdziwego po czasach szarej gomulkowszczyzny, entuzjazmu. Plany były ambitne: Polska przygotowywała się do budowy elektrowni jądrowych (do dziś to czynimy), planowano ukończenie budowy Dworca Centralnego w Warszawie (udało się i do dziś korzystamy), fabryka w Bielsku-Białej szykowała się do zwiększenia mocy produkcji fiata 126p (niektóre jeżdżą do dzisiaj), zwiększano wydobycie węgla (teraz zmniejszamy).

Zimy były też inne, zatem nikogo nie dziwił reportaż ze wsi Bronowo w powiecie Nowy Dwór Gdański. Oto fragment: „Dochodzi godzina siódma. Sypie drobny śnieg i jest jeszcze ciemno. Gromadka dzieci z tornistrami na plecach stoi nie opodal drogi. Słyszycie, już jedzie – wołają mali uczniowie. Po chwili podjeżdża ciągnik z przyczepą autobusową. W drzwiach przyczepy co chwilę ukazują się nauczyciel pan Czesław Sarek, który pomaga uczniom przy wsiadaniu. Będzie im towarzyszył całą drogę”.

Takiej życzliwości życzymy na nowy już 2021 rok!

(mk)



O śpiewie aniołów...



Leszek Długosz

*Aniołowie Pańscy w niebie śpiewają
Świat przywołują
W czas się wikłają*

*Czas się zawiera w śpiewie immanentnie
– Piękno, gdy pełne
Gdy ma być zupełne
I w niebie musi być też trochę też ziemskie?*

*Lękasz się, duszo, anima mea
Jak z twym mieszkaniem potem
– co będzie?*

*Odbiwszy od ramienia mego
Do świata pójdziesz gdzie umyślonego?
Gdzie sienie, gdzie pokoje twoje
z kim tam zasiądziesz?*

– Decorum wielce tam strojne?

– Theatrum czeka sposobne?

To wiem, to w Piśmie jest

Wypowiedziane:

*– Aniołowie Pańscy w niebie śpiewają
Nad sztuki inne honor czyniąc dla Muzyki*

O radosne pienia

Świętych uniesienia

Serafinów okrzyki

Nie trwóż się – istności mojej istot

Co z egzystencją twoją, co potem?

Pomnij, bywało – zachwycona

Ze szczęścia chciałaś na Ziemi konać

Więc może tam – per analogiam

– tak dalej?

Tyle że tam już constans?

– Constans constans na amen!

Aniołowie Pańscy w niebie śpiewają

Świat przywołują

W czas się wikłają

Czas się zawiera w śpiewie immanentnie

– Szczęście, gdy pełne

– Gdy ma być zupełne

I w niebie musi być też trochę też ziemskie?

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZA

Literackie odsłanianie świata

Do zmarłego niedawno pisarza Johna le Carrégo niemal od początku miałem stosunek osobisty. Nie chodziło tylko o to, że – podobnie jak wielu utalentowanych pisarzy – ofiarował cenne poczucie głębokiego odczuwania emocji ludzi, których nigdy nie spotkamy.

Gdzieś w połowie lat 80. w antykwariacie na rynku Staromiejskim w Toruniu kupiłem książkę w języku angielskim. Tytuł niezbyt jasny: „Tinker, Tailor, Soldier, Spy”. Nie pamiętam, co skłoniło mnie do jej zakupu. Pewnie jakieś dwa-trzy zdania z tyłu okładki. Ale zaraz po zakupie nie udało mi się jej przeczytać; nawet z pomocą słownika i mimo tego że miałem już za sobą lekturę iluś powieści po angielsku.

Nie udało mi się także za drugim razem. Grzęzłem w gęstej – językowo, treściowo i emocjonalnie – narracji. Kiedyś trochę później, ale pewnie jeszcze za PRL, byłem w Poznaniu w domu u filozofa Sławka Magali (dziś emerytowanego profesora Uniwersytetu Erazma w Rotterdamie). Wśród tysięcy jego książek dostrzegłem le Carrégo. Powiedział, że to Stanisław Barańczak (nieżyjący już wybitny poeta i krytyk literacki) zwrócił mu uwagę na format brytyjskiego pisarza.

Wtedy do „Druciarza, krawca, żołnierza, szpiega” przysiadłem kolejny raz. Coraz bardziej dawałem się wkręcić w świat stworzony przez pisarza. Podziwiając hipnotyczną siłę dialogów powieści, ukończyłem ją. Później, już po polsku czytając przekłady jego książek, zauważyłem, że kłopoty z angielszczyzną pisarza miewali też jego tłumacze. Nieraz okazywało się, że gdy z jakimś fragmentem po angielsku miałem kłopoty, to w wersji polskiej był on spaprany...

ANTYKWARIAT W ANN ARBOR

W roku bodaj 1996, będąc na stypendium na Uniwersytecie Michigan, w antykwariacie w Ann Arbor kupiłem



Czy budowanie obrazu różnych instytucji na podstawie powieści to naiwność? Wszak to fikcja literacka. Tak. Ale w jakim wykonaniu!

za jednego dolara wydaną w roku 1993 powieść „The Night Manager” („Nocny recepcjonista”). Od tej lektury narastało moje zwątpienie w siłę demokracji liberalnej. Dlaczego? Przeczytajcie powieść sami.

Czy budowanie obrazu różnych instytucji na podstawie powieści to naiwność? Wszak to fikcja literacka. Tak. Ale w jakim wykonaniu! I nie chodzi wcale o to, co często bywa uwypuklane, że sam le Carré przez kilka lat pracował dla brytyjskiego kontrwywiadu i wywiadu. Może istotniejsze jest to, że gdy już zyskał sławę jako autor powieści szpiegowskich, to wiele osób pełniących ważne funkcje w tajnych służbach nie tylko świata zachodniego

dzieliło się z nim zarówno swoją wiedzą na temat warsztatu służb, jak i refleksją geopolityczną.

OLDA ČERNÝ

Najlepszym potwierdzeniem tego było dla mnie spotkanie w roku bodaj 2002, w Genewie, przy okazji konferencji poświęconej regułom demokratycznego nadzoru nad służbami, Oldřicha Černého (niestety w 2012 r. zmarł). W roku 1993 Václav Havel poprosił Černého, by objął szefostwo wywiadu zagranicznego. W Genewie przy whisky Olda opowiedział mi, jak pełnić tę funkcję, przez kolejne trzy wieczory gościł le Carrégo, dyskutując, jak sprawy tajne splatają się z jawnymi. Było to dla mnie ważne. Moja intuicja, że le Carré, który wiele swoich książek poprzedzał głębokimi analizami faktów i okoliczności, był wiernym kronikarzem skrywanych wymiarów gier społecznych, okazała się trafna.

Na początku lat 90., wątpiąc coraz bardziej w pełną postagenturalnych patologii demokrację III RP (niektóre z nich opisałem w roku 1993 w książce „W uścisku tajnych służb: Upadek komunizmu i układ post-nomenklaturowy”), sądziłem, że gdy bardziej przybliżymy się do dojrzałych demokracji Zachodu, to uzdrowimy i nasze instytucje. Nie całkiem tak się stało. „Nocny recepcjonista” (ale też np. „Wierny ogrodnik”) pokazał głębię schorzenia rdzeniowych instytucji państw demokratycznego Zachodu przez – powiedzmy – korupcję.

Co ciekawe, do dziś naiwna wiara w sprawiedliwy Zachód jest podzielana przez wielu, nie tylko Polaków, ale również obywateli niektórych innych krajów Unii, przekonanych, że instytucje unijne są lepsze od ich własnych.

A John le Carré? Pisał tak, jakby jego dewizą było: spojrzeć w oczy złu całego świata, ale mu nie ulec. Czego i Wam w nowym roku życzę.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

Nowe wydanie

w kioskach!



Nasza waluta

Polski złoty cenniejszy niż dolary

Waterloo

Kto naprawdę wygrał tę bitwę?

Boska sztuka

Dialog Jana Pawła II z Michałem Aniołem

Zamów e-wydanie **wSIECI HISTORII** i **SIECI** na www.SiecPrzyjaciol.pl

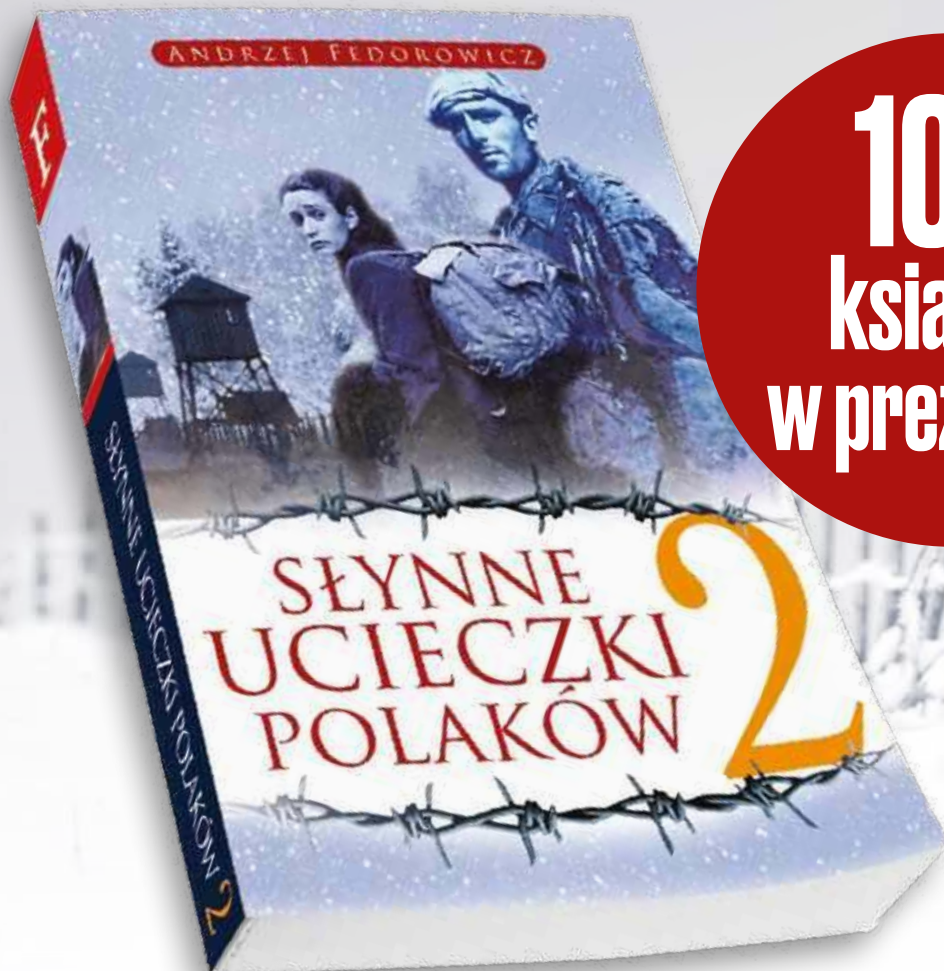
- do 70% taniej! Tylko 9,99 zł za miesiąc lub **89,99 zł za 12 miesięcy**
- do czytania na komputerze, smartfonie, tablecie



TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



**100
książek
w prezencie**

Piękna książka
o polskiej potrzebie
wolności

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl | www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:

tygodnika **SIECI** i magazynu **wSIECI HISTORII** za **280 zł**,
a książkę **Słynne ucieczki Polaków 2** otrzymasz **GRATIS!**



Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.